Boże Narodzenie. Te święta są nie tylko tradycją, ale zaproszeniem do zmiany życia

STRONY 12-13

Róża przyszła na świat wbrew prognozom lekarzy. Teraz uczy, czym jest wartość życia

STRONA 22

Dziś z gazetą program TV

Gazeta
WROCŁAWSKA
magazyn na święta

FOT. GETTY IMAGES

www.gazetawroclawska.pl

Wtorek–piątek, 23–26.12.2025
Nr 297 • Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 2353-6152 • Nr indeksu 350-206

52
9 772353 615422

Życzymy Wam, by nadchodzące święta Bożego Narodzenia przyniosły to, czego brak w trudnej i niepewnej codzienności

Miłości i nadziei wszystkim

eprasa.pl ea08fe165b

PO ŚWIĘTACH Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCŁAWSKA
● *przy* **SOBOCIE**
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK
● **DODATEK SPORTOWY**
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK
● **PULS BIZNESU**
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA
● **MAGAZYN ZDROWIE**
Jak zadbać o siebie i bliskich

PIĄTEK
● **PULS POLSKI:** Reportaże i publicystyka
● **FINAŁ AKCJI ŚWIĄTECZNE GWIAZDECZKI**

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCŁAWSKA" z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. **71 72 76 237**, e-mail: **bok.prenumerata@polskapress.pl**

Janusz Michalczyk

PO CO NAM DEMOKRACJA?

Zastanawiałem się, czego bym chciał jako obywatel, Polak. Pojawia mi się na pierwszym miejscu słowo „współpraca". (...) Współpraca to jest umiejętność ludzi mądrych, głupi nie są do niej zdolni - tak do parlamentarzystów na spotkaniu opłatkowym w Sejmie przemówił kilka dni temu abp Adrian Galbas, metropolita warszawski. Sugestia niby prosta i oczywista, ale trudna dziś do przyjęcia, bo w polityce kotłuje się niemal każdego dnia. Kto z kim ma zgodnie i dla ogólnego dobra współpracować? Prezydent z premierem? Koalicja rządząca z opozycją? Episkopat z Ministerstwem Edukacji Narodowej?

Rozejrzyjmy się wokół. Europejska demokracja, dla której fundamentem jest współpraca głównych sił politycznych, znalazła się w opałach, bo Amerykanie wzięli kurs na autokrację, by skutecznie przeciwstawić się Chińczykom i Rosjanom. Musimy się zmierzyć z diagnozą, że Zachód przegrywa ze Wschodem, dla którego indywidualizm i prawa człowieka to dziwaczne koncepcje, utrudniające zarządzanie państwem i międzynarodową rywalizację. Z różnych stron pada wezwanie, by przemyśleć demokrację, bo inaczej system się załamie, po władzę sięgną nacjonaliści i rozwalą Unię Europejską. Karol Fjałowski, jeden z bystrzejszych komentatorów na You Tube, rysuje analogię pomiędzy sytuacją Europy i Rzeczpospolitej przed rozbiorami, gdy wewnętrzne konflikty doprowadziły do destrukcji państwa. Wówczas nasze terytorium podzielili między siebie trzej sąsiedzi, a teraz grozi nam, że karty w Europie będą rozdawać Amerykanie, Chińczycy i Rosjanie.

Co to jednak znaczy: przemyśleć demokrację? W starożytnych Atenach, a potem w republikańskim Rzymie decyzje podejmowali wolni obywatele, przy czym kobiety i niewolnicy nie mieli głosu, zaś w krytycznych momentach władzę oddawano dyktatorom. Monarchia oświecona padła, gdy bezlitośnie wykorzystywany lud odważył się na rewolucję pod hasłami: wolność, równość, braterstwo. W amerykańskiej konstytucji zapisano prawo każdego do poszukiwania szczęścia. Piękne idee są potrzebne, ale popadnięcie w bezkrytyczny idealizm prowadzi na manowce.

Wciąż warto zastanawiać się, jak z Polski uczynić silniejsze i lepiej zarządzane państwo. Nie lekceważmy wezwań do współpracy, dopóki nie jest za późno.

”

Przez lata różne polskie rządy nie były skuteczne w tym, żeby uzyskać ekshumacje i przywrócić godność ofiarom zbrodni wołyńskiej

Barbara Oliwiecka (Polska 2050)

Podzielili się z bezdomnymi – 700 par butów na zimę

Michał Perzanowski
Wrocław

Zakończyła się 6. edycja charytatywnej zbiórki obuwia w centrum Wroclavia. Do potrzebujących trafiło aż 715 par butów.

Przez niemal trzy tygodnie odwiedzający Wroclavię mogli wrzucać do specjalnego pojemnika buty nowe lub używane, ale w dobrym stanie. W tym roku po raz pierwszy przyjmowano także obuwie dziecięce, oprócz męskiego i damskiego. Do akcji włączyli się również najemcy centrum: H&M i Medicine, którzy przekazali potrzebującym zimową odzież.

Zebrane buty trafiły do wrocławskiego zakładu szewskiego „Jak Nowe". Tam każda para przeszła czyszczenie, dezynfekcję i renowację. Tuż przed Bożym Narodzeniem obuwie przekazano do noclegowni przy ul. Popielskiego podopiecznym Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem, że wrocławianie po raz kolejny pokażą wielkie serca. Ta zbiórka stała się już wrocławską tradycją. Każda para przeszła przez moje ręce. Pracy było ogromnie dużo, pracownia działała niemal całą dobę, ale warto było. W zdecydowanej większości były to dobre, ciepłe buty zimowe - dokładnie takie, jakich potrzeba o tej porze roku - mówi Filip Kozak z zakładu szewskiego „Jak Nowe".

FOT. WROCLAVIA

- Nie wątpiłem, że wrocławianie pokażą wielkie serca - mówi Filip Kozak z zakładu „Jak Nowe"

Odnowione obuwie trafiło do kilku placówek Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta. Jak podkreśla Maciej Gudra, kierownik noclegowni przy ul. Popielskiego, żadna para się nie zmarnuje.

- Każda z tych 715 par znajdzie swoje zastosowanie. Buty będą używane nie tylko w naszej placówce, ale też w innych schroniskach, które prowadzimy. Na sezon zimowy to realna pomoc, która zaspokoi bardzo ważną potrzebę. Wrocławianie są niesamowici. Codziennie ktoś do nas przychodzi z darami - z ubraniami, środkami higieny, jedzeniem. Ta solidarność naprawdę robi wrażenie - podkreśla Gudra.

Jak dodaje, mimo zmian organizacyjnych i nowych lokalizacji placówek, jedno się nie zmienia - obłożenie noclegowni i schronisk przez cały rok wynosi niemal 100 procent.

- Mamy ponad 400 miejsc i są one cały czas zajęte. Ale nie odmawiamy tez pomocy innym. Dlatego takie akcje jak zbiórka butów mają ogromne znaczenie - zaznacza.

ZDJĘCIE DNIA

Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia Wojewódzki Szpital Specjalistyczny w Legnicy otrzymał 780 tys. od Fundacji KGHM Polska Miedź. Łączna wartość środków przekazanych szpitalowi przez Fundację w 2025 roku wyniosła 1,5 mln zł! Dla Oddziału Chirurgii Naczyniowej zakupiono m.in.: aparat USG, system do odzyskiwania krwi z pola operacyjnego (system autotransfuzji krwi autologicznej), analizator krzepnięcia ACT, pompę do żywienia dojelitowego. PK

FOT. WSS

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dzień sprzyja działaniu i szybkim decyzjom. Horoskop dzienny wyraźnie zapowiada, że energia Ci dopisze.

Ryby (19.02 - 20.03)
Skup się na sprawach domowych i finansach. Horoskop na dziś mówi, że spokój i konsekwencja przyniosą dziś lepsze efekty niż pośpiech.

Baran (21.03 - 19.04)
Rozmowy odegrają ważną rolę. Horoskop dzienny na wtorek wróży, że możesz dostać ciekawą propozycję lub inspirujący pomysł.

Byk (20.04 - 20.05)
Emocje będą silniejsze niż zwykle. Horoskop dzienny to wyraźna wskazówka, by zadbać o własne potrzeby.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Przed Tobą dobry dzień na pokazanie talentów. Horoskop na dziś wróży, że ktoś doceni Twoje zaangażowanie.

Rak (22.06 - 22.07)
Porządkowanie spraw da ci poczucie kontroli. Horoskop dzienny na wtorek radzi uważać jednak, by nie krytykować siebie za drobiazgi.

Lew (23.07 - 22.08)
Relacje wysuną się na pierwszy plan. Warto iść na kompromis, bo horoskop dzienny zapowiada, że zgoda przyniesie więcej niż upór.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja podpowie ci właściwy kierunek. Nie wszystko musi być głośne. Horoskop na dziś zapowiada, że cisza też działa na twoją korzyść.

Waga (23.09 - 22.10)
Poczujesz potrzebę zmiany lub ruchu. Horoskop dzienny na wtorek wróży, że nowy plan doda ci optymizmu.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Obowiązki mogą się piętrzyć, ale dasz radę. Horoskop dzienny wróży, że systematyczność i spokój pozwolą uniknąć stresu.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Kreatywność i nieszablonowe myślenie zaprocentują. Horoskop na dziś zapowiada, że postanowisz podzielić się pomysłem z innymi.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość pomoże ci zrozumieć innych. Horoskop dzienny na wtorek stanowczo radzi zadbać o poprawne relacje z otoczeniem.

eprasa.pl ea08fe165b

PRZEGLĄD

CZWARTEK, 18.12.

Rekordowy budżet 2026

Radni miejscy przyjęli na sesji budżet Wrocławia na 2026 rok. Dochody miasta wyniosą blisko 8,49 mld zł, natomiast wydatki sięgną 9,67 mld zł. Deficyt wyniesie 940 mln zł. Z kolei wydatki inwestycyjne osiągną rekordowy poziom 1,54 mld zł. 60 mln zł pójdzie na realizację zadań z zakresu ochrony cywilnej. Uchwałę poparło 25 radnych, 10 było przeciw, a 1 wstrzymał się od głosu.

Kojot odpowie po 20 latach

Do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko Rafałowi Z., ps. Kojot, który 2003 roku brał udział w zabójstwie Roberta S, właściciela hurtowni w Jeleniej Górze. W porachunkach, oprócz „Kojota", uczestniczyły trzy inne osoby. Po zbrodni Rafał Z. uciekł z Polski i ukrywał się w różnych krajach, zatrzymany został po 20 latach w Hiszpanii.

Stalker skazany

Sąd Okręgowy we Wrocławiu skazał Roberta I. na 6 i pół roku więzienia oraz 50 000 zł grzywny. Zobowiązał go również do naprawienia szkód i zapłaty zadośćuczynienia w kwocie 1 mln zł. Prokuratura zarzuciła mu ponad 20 przestępstw na niekorzyść 7 osób, w tym 6 kobiet, które zmanipulował, rozkochał, okradł, a później prześladował. Miał m.in.: włamywać się do mieszkań i kraść, a także szantażować - również tym, że opublikuje nagie zdjęcia.

PIĄTEK 19.12.

Mniej szamb na Kłokoczycach

Ponad 50 proc. inwestycji na Kłokoczycach zostało już zrealizowane. Budowa kanalizacji na osiedlu poprawi komfort życia mieszkańców tej części Wrocławia. Po zakończeniu wszystkich prac i odbiorów możliwość podłączenia do kanalizacji zyska ponad 120 budynków, zamieszkałych przez około 500 osób, pochwalił się wrocławski magistrat.
Do końca 2026 roku w ulicach Kłokoczyckiej, Złotej Lilii, Kameliowej, Czerwonych Maków, Czerwonej Róży i Białych Goździków powstaną kolejne elementy inwestycji.

Pożar w hotelu

Ponad 70 osób ewakuowano nad ranem z Hotelu HP Park Plaza Wrocław przy ul. Drobnera. Z informacji służb wynika, że płomienie pojawiły się w jednym z hotelowych pokoi, znajdującym się na czwartym piętrze. Niestety, okazało się, że w tym zdarzeniu jedna osoba poniosła śmierć, a kolejna została ranna.

Nowy blok operacyjny

W legnickim szykują się do budowy drugiego bloku operacyjnego - ma być on nadbudowany nad obecnie działającym. Na ten cel w budżecie województwa 2026 przeznaczono 10 mln zł - cała inwestycja pochłonie ponad 50 mln zł.

SOBOTA, 20.12.

Pożegnanie Danusi

W Jeleniej Górze na Starym Cmentarzu przy ul. Sudeckiej pochowano 11-letnią Danusię, która zmarła 15 grudnia. Rodzina Danusi zwróciła się z apelem do mediów o uszanowanie jej prywatności i nieobecność na uroczystości pogrzebowej. Prezydent Jeleniej Góry ogłosił sobotę dniem żałoby w mieście. Odwołano koncerty, zawody sportowe, kiermasze i inne wydarzenia. Zatrzymano o rok starszą dziewczynkę, podejrzaną o spowodowanie śmierci Danusi.

NIEDZIELA, 21.12.

Powrót żbika

Żbik europejski - jeden z najrzadszych drapieżników Europy Środkowej - znów pojawił się w Sudetach. Jego obecność potwierdzono w Górach Łużyckich, na pograniczu Czech, Niemiec i Polski. W Polsce żbiki występują m.in. we wschodnich Karpatach, Bieszczadach i w Beskidzie Niskim, ale w naszej okolicy nie były widziane od ponad 100 lat. W XIX i XX wieku zniknęły w wyniku polowań, intensywnej gospodarki leśnej i przekształcania naturalnych lasów w świerkowe monokultury.

Tragedia na przejeździe

Na ulicy Przemysłowej w Ziębicach pociąg Intercity z Pragi do Gdyni zderzył się z samochodem osobowym. Kobieta i mężczyzna podróżujący osobówką marki Kia zginęli na miejscu. (Więcej na str. 3)

FOT. POLICJA

Wałbrzych. Policjanci zaopiekowali się papugą z domu, w którym był pożar

PONIEDZIAŁEK, 22.12.

Narkotyki z paczkomatu

Lubińska prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko dwóm mężczyznom. W wynajętym domu urządzili centrum dystrybucji 10 kg marihuany. Narkotyki kupowali przez internet, odbierali w paczkomacie, dzielili na porcje i sprzedawali. Zebrał GCH

FOT. 10 WBŁ

Żołnierze 10 Wrocławskiej Brygady Łączności uczyli się od profesjonalistów walki w bliskim kontakcie

REKLAMA 0011444590

eprasa.pl ea08fe165b

nasz REGION

WAŁBRZYCH
32-latek znieważył wulgarnymi słowami ratowniczkę
Wezwana na oddział ratunkowy policja ustaliła, że awanturnik miał przy sobie marihuanę. Usłyszał zarzuty znieważenia funkcjonariusza publicznego i posiadania narkotyków.

OŁAWA
35-latek stosował przemoc wobec swoich rodziców
Policję wezwano do awantury, wszczętej przez 35-latka. Wyzywał i znieważał rodziców, groził matce śmiercią. Ma zakaz zbliżania się i kontaktowania z rodzicami.

FOT. POLICJA

DOLNY ŚLĄSK
Ukradziona w lesie choinka może nas kosztować 5 tys. zł
Policja prowadzi kontrole na targach i koło lasów. Sprawca kradzieży zapłaci karę 5 tys. zł (gdy drzewko nie przekracza wartości 800 zł). Za droższe można iść do więzienia.

KRÓTKO

WROCŁAW

Tragiczny wypadek koło przystanku „Hutmen"

Koszmarny wypadek miał miejsce na ul. Grabiszyńskiej we Wrocławiu. 78-letni mężczyzna został potrącony przez opla. Ratownicy podjęli reanimację, jednak nie udało się go uratować. Zmarł w szpitalu. Sprawę bada prokuratura.

Do wypadku doszło w sobotę (20 grudnia) na ul. Grabiszyńskiej we Wrocławiu w okolicy przystanku „Hutmen". Wojciech Jabłoński z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu przekazuje, że samochód osobowy marki Opel uderzył w starszego mężczyznę, który szedł przez jezdnię. - 78-latek wszedł na drogę w miejscu niedozwolonym - mówi komisarz Wojciech Jabłoński. I dodaje: - Wezwano zespół ratownictwa medycznego, który prowadził reanimację. Pieszy został zabrany do szpitala. Niestety, jego życia nie udało się uratować.

Na miejsce przyjechał biegły z zakresu wypadków drogowych i prokurator, który prowadził oględziny Policja wyjaśnia dokładne okoliczności zdarzenia. Policjanci sprawdzili, czy 58-letni kierujący oplem znajdował się pod wpływem alkoholu. Badania wykazały, że mężczyzna był trzeźwy. KK

POWIAT LEGNICKI

Ciężarówka z drewnem paliła się na autostradzie koło Chojnowa

FOT. PSP CHOJNÓW

Strażacy ugasili pojazd wraz z naczepą, następnie sprawdzili całość kamerą termowizyjną, aby upewnić się, że wszystkie zarzewia ognia zostały skutecznie zlikwidowane. Kierujący pojazdem nie doznał żadnych obrażeń. Do zdarzenia doszło w miniony weekend na A4 koło Chojnowa. Edyta Golisz

Szlaban był... podniesiony!

Michał Perzanowski
Wrocław

W niedzielę smochód osobowy dostał się pod pociąg Praga - Gdynia. Zginęły dwie osoby. Kolej oficjalnie przyznaje, że szlaban na przejeździe był podniesiony.

FOT. POLICJA

W internecie pojawiły się opinie, że już wcześniej były problemy z rogatkami

Prokuratorskie śledztwo dopiero ruszyło, ale już podano istotne informacje dotyczące okoliczności tragedii. - Na dzień dzisiejszy nie można udzielić kategorycznych wniosków co do przyczyny wypadku. Trwają czynności, w których sprawdzamy m.in., czy kierujący zachował się właściwie na przejeździe oraz czy sygnalizacja działała prawidłowo - mówi „Gazecie Wrocławskiej" Robert Fudali, prokurator rejonowy w Ząbkowicach Śląskich.

Pewnym jest natomiast, że podczas przejazdu pociągu i samochodu osobowego rogatki pozostały ustawione w pionie.

Prokurator wstępnie wyklucza, aby zdarzenie miało charakter aktu dywersji. - Trzy godziny po wypadku wspólnie z funkcjonariuszami policji przeprowadziliśmy test sygnalizacji i szlabanu. W momencie, gdy na przejeździe przejeżdżała drezyna, rogatki były opuszczone, a sygnalizacja funkcjonowała. Instalacja zadziałała więc prawidłowo - dodaje Fudali.

Uzyskaliśmy też oficjalną odpowiedź PKP PLK. Szlaban był otwarty w momencie, gdy samochód wjechał na tory, wprost przed pędzący pociąg!

- Do wypadku doszło około godziny 11:00, na przejeździe kolejowo-drogowym wyposażonym w urządzenia automatyczne na szlaku Ziębice - Starczów (linia kolejowa 276 Kamieniec Ząbkowicki - Wrocław) - potwierdza Marta Pabiańska z PKP PLK. - Komisja ustala przyczyny niewłaściwego ustawienia rogatek na przejeździe (co oznacza, że szlaban nie był zamknięty - przyp. red.) - dodaje rzeczniczka PKP PLK S.A.

Ofiary tragicznego wypadku to 31-letnia kobieta i 31-letni mężczyzna, małżeństwo z powiatu ząbkowickiego. W samochodzie znajdował się fotelik dziecięcy, dlatego na miejscu przez pewien czas prowadzono poszukiwania dziecka. Jak ustaliła policja, 2-letni syn małżeństwa w chwili zdarzenia przebywał pod opieką babci.

Należy również dodać, że przejazd był w pełni automatyczny, a system uruchamiał sygnały w momencie, gdy skład przejeżdżał około 1 kilometra od skrzyżowania linii kolejowej nr 276 i drogi wojewódzkiej nr 385.

Policja zabezpieczyła monitoring z przejazdu kolejowego. Śledczy badają m.in. działanie systemów zabezpieczających przejazd oraz okoliczności, w jakich samochód wjechał na tory. Wiadomo, że po zderzeniu pociąg Intercity relacji Praga - Gdynia przejechał jeszcze około 500 metrów, zanim się zatrzymał, co może wskazywać na dużą prędkość składu.

W internecie są głosy zwracające uwagę na możliwe nieprawidłowości w działaniu zabezpieczeń przejazdu. M.in. do redakcji zwrócił się czytelnik, który napisał, że w chwili zdarzenia rogatki miały być podniesione, a sygnalizacja świetlna nie działała. Inna osoba twierdzi, że przejazd już wcześniej miał wykazywać usterki, które były zgłaszane.

W górach -10 stopni. Jaka pogoda na święta?

Alina Gierak
Jelenia Góra

Meteorolodzy zapowiadają powrót siarczystych mrozów. Temperatura w górach ma spaść do -10 stopni. Ma wiać bardzo silny wiatr.

W Karkonoszach i Izerach jeszcze jest ładna jesień, Wigilia ma być dniem zmiany i nadejścia dużych mrozów.Na obszarach górskich i podgórskich meteorolodzy spodziewają się więcej wilgoci i opadów śniegu. Na nizinach deszcz ze śniegiem, ale pod wieczór przelotny śnieg już możliwy wszędzie. Temperatury mocno spadną - wysoko w górach w ciągu dnia około -12°C, -5/-3°C w dolinach i w drugiej części dnia ujemne temperatury na nizinach. Wiatr północno-wschodni, dość silny.

25 grudnia będzie sporo rozpogodzeń, ale bardzo mroźnie. Od -10°C na szczytach do -3°C w dolinach. Wiatr w nocy dość silny i silny, od 30 km/h do 45 km/h, w porywach do 65 km/h, w ciągu dnia bardzo silny, od 50 km/h do 65 km/h, w porywach do 100 km/h, południowo-wschodni. Wiatr spowoduje, że odczuwalne temperatury będą jeszcze niższe.

FOT. KPN

Śnieg ma zaczął padać w Wigilię

26 grudnia też z mrozem i raczej bez opadów śniegu. Bezchmurnie lub zachmurzenie małe. Temperatura min. od -8°C do -5°C. Maks. od -3°C do -1°C. Wiatr słaby i umiarkowany, miejscami porywisty, wschodni. W szczytowych partiach Sudetów od -3°C do -1°C. Wiatr silny i bardzo silny.

AKCJA CHARYTATYWNA
0211435247

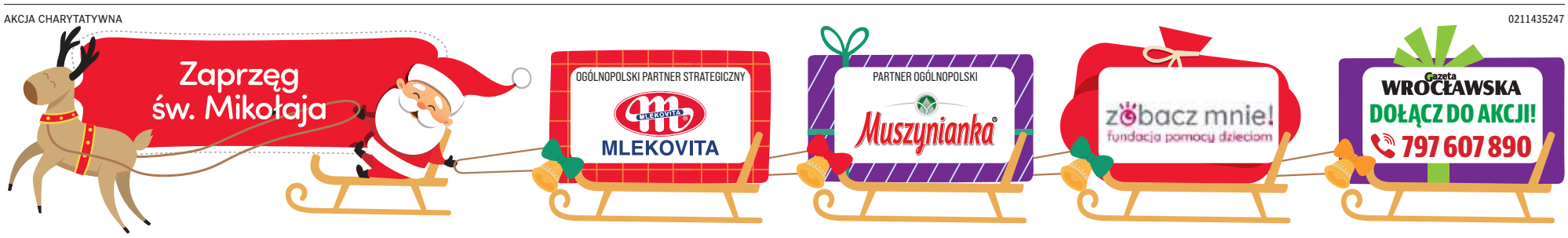

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011442601

eprasa.pl ea08fe165b

Wyłudzali pieniądze „na operację”

Redakcja
Wrocław

Szybka reakcja policjantów doprowadziła do ujawnienia fikcyjnej zbiórki charytatywnej prowadzonej przez grupę młodych osób w wieku od 13 do 24 lat. Wyłudzili co najmniej 20 tysięcy złotych.

Policjanci dostali sygnał, że przed jednym ze sklepów w Walimiu pieniądze kwestuje osoba nieletnia. Chłopiec zaczepiał klientów i informował, że prowadzi zbiórkę na operację dziecka, działając rzekomo w imieniu fundacji. Funkcjonariusze na miejscu zastali 13-letniego chłopca prowadzącego zbiórkę do puszki. Wezwali opiekuna z fundacji. Jednak okazało się, że taka zbiórka charytatywna nigdy nie została zgłoszona, a wskazana fundacja w rzeczywistości nie prowadziła akcji pomocowej.

Działania policjantów doprowadziły do zatrzymania kolejnych osób zaangażowanych w proceder. Jeden z kwestujących został zatrzymany przed sklepem w Nowej Rudzie, kolejne osoby w Głuszycy oraz w Jedlinie-Zdroju. Policjanci dotarli do następnych członków tej grupy w jednym z mieszkań Jeleniej Góry. Zabezpieczyli tam m.in. maszynę do liczenia pieniędzy oraz znaczną ilość gotówki. 8 osób dorosłych dostało nadzór policyjny, grozi im do 8 lat więzienia. 13-latek stanie przed sądem rodzinnym.

Wrocławska firma Scanway coraz bliżej europejskiej misji na Księżyc

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Projekt z udziałem Scanway został właśnie zakwalifikowany przez Europejską Agencję Kosmiczną (ESA) do następnego etapu realizacji prestiżowej misji księżycowej.

ESA wybrała trzy projekty z całej Europy, które przechodzą do kolejnej fazy prac nad tzw. Małymi Misjami Księżycowymi. Jednym z nich jest projekt Mani, w którym istotną rolę odgrywa Scanway z Wrocławia, we współpracy z Uniwersytetem Kopenhaskim, firmą Space Inventor oraz naukowcami z Instytutu Nauk Geologicznych PAN.

Wcześniej projekt musiał przejść ostrą selekcję. Najpierw został wybrany spośród 62 zgłoszeń, a teraz spośród 7 najlepszych. Europejscy eksperci widzą w nim ogromny potencjał.

Na czym polega misja Mani?

W skrócie: chodzi o bardzo dokładne „sfotografowanie” Księżyca z orbity. Plan zakłada wysłanie niewielkiego statku kosmicznego, który będzie krążył około 50 km nad powierzchnią Księżyca i tworzył najdokładniejsze w historii mapy jego terenu za pomocą instrumentu optycznego zaprojektowanego i dostarczonego przez Scanway.

Makieta orbitera księżycowego. Projekt wybrano spośród 62 zgłoszeń
FOT. SCANWAY

Dzięki niemu powstaną trójwymiarowe mapy, na których jeden piksel będzie odpowiadał nawet 20 cm powierzchni.

Po co to wszystko? Takie dane są bezcenne dla przyszłych misji kosmicznych: bezzałogowych i tych z ludźmi na pokładzie. Dokładne mapy pozwolą: bezpieczniej planować lądowania, wybierać miejsca pod przyszłe bazy, unikać niebezpiecznych przeszkód, takich jak strome zbocza czy duże skały.

Jeśli projekt Mani zostanie zrealizowany w całości, jego budżet wyniesie około 50 mln euro, z czego 8,6 mln euro może trafić do Scanway.

To szczególnie ważne w kontekście programu Artemis, którego celem jest stała obecność człowieka na Księżycu.

- Księżyc staje się dziś globalnym priorytetem sektora kosmicznego, którego potencjał trafnie i z wyprzedzeniem zidentyfikowaliśmy. W przyszłym roku rozpoczniemy misję księżycową z Intuitive Machines z USA, a obszar deep space stanowi istotny kierunek przyjętej przez Scanway strategii na lata 2026-2028. Misja orbitera księżycowego Mani doskonale wpisuje się w te założenia, a dzięki umożliwieniu mapowania powierzchni z najwyższą dotychczas rozdzielczością przestrzenną, zebrane przez nas dane mogą zostać wykorzystane w ramach globalnych inicjatyw pokroju programu Artemis oraz wspierać nadchodzące misje załogowe i bezzałogowe na Srebrny Glob, znacząco rozwijając zdolności eksploracyjne Europy - mówi Mikołaj Podgórski, COO Scanway S.A.

Według danych Novaspace, w ciągu najbliższej dekady przewidywany jest blisko 3-krotny wzrost liczby eksploracyjnych misji kosmicznych z wysokim, 38-procentowym udziałem misji księżycowych (ok. 328 misji).

- Ekscytujące jest to, że nowe dane dostarczone przez Mani pozwolą wreszcie odpowiedzieć na kilka nurtujących pytań współczesnej „księżycologii”. Przykładowo, dzięki niezwykle wysokiej rozdzielczości danych wreszcie możliwe będzie scharakteryzowanie niewielkich kraterów uderzeniowych, których tworzenie obserwowaliśmy na żywo w formie błysków księżycowych, tzw. „lunar flashes”. To z kolei pozwoli na dokładne określenie właściwości regolitu i przez to przygotowanie się do wydobycia i przetwarzania skał oraz budowy przyszłych baz na Księżycu. Celowane obserwacje w innych miejscach pozwolą nam również odpowiedzieć na pytanie o to, czy na naszym naturalnym satelicie możemy się jeszcze spodziewać wybuchów wulkanów. Nie mogę się już doczekać - mówi dr Anna Łosiak, Instytut Nauk Geologicznych PAN.

Scanway czeka teraz na informację od ESA, w jakim zakresie będzie realizowany projekt. Jeśli projekt Mani zostanie zrealizowany w całości, jego budżet wyniesie około 50 mln euro, z czego nawet 8,6 mln euro może trafić do Scanway w ciągu najbliższych czterech lat.

W przyszłym roku Scanway weźmie udział w kolejnej misji księżycowej, tym razem z amerykańską firmą Intuitive Machines.

Żywa szopka przy ul. Wittiga – od Wigilii

Robert Migdał
Wrocław

Żywa szopka przy ul. Wittiga istnieje już od 29 lat. Z ojcem Witoldem Baranem z kościoła NMP Matki Pocieszenia, przy którym będzie otwarta żywa szopka rozmawia Robert Migdał

Szopka, w której spotkamy żywe zwierzęta, rusza 24 grudnia. Ojciec Witold Baran: Będzie otwarta od wieczoru wigilijnego, od godziny 15. W grocie koło kościoła będą ustawione figury Dzieciątka Jezus, Maryi, Józefa, pasterzy, Trzech Króli, a w szopie obok, w trzech boksach zamieszkają żywe zwierzęta. Dwa młode wielbłądy, dwa osiołki, kózki, owieczki, króliki. Przez wiele lat żywe zwierzęta były wypożyczane z Zoo - bo pomysł żywej szopki pochodził od dyrektora Zoo - Antoniego Gucwińskiego, jego żony - Hanny i ówczesnego proboszcza - którym był o. Stanisław Golec. Ale od paru lat, od czasów pandemii, przepisy sanitarne zabraniają ogrodowi zoologicznemu wypożyczania zwierząt, dlatego zwierzaki w naszej żywej szopce pochodzą od prywatnych hodowców.

A jakie zasady obowiązują?
Prosimy, żeby nie dokarmiać zwierząt. Prosimy też nie przychodzić z pieskami, dlatego, że zwierzęta mogą się bać psów.

Ale zwierzęta będzie można dotknąć, pogłaskać?
Oczywiście. Zwierzęta szczególnie przyciągają najmłodszych - bo ta żywa szopka jest adresowana do dzieci, bo właśnie dzieci mają wrażliwość i sympatię do zwierząt. Ale przynosi też wiele radości dorosłym. Niektórzy nawet codziennie zaglądają i dopytują, jak się zwierzęta w naszej szopce czują, jak się mają.

Najpopularniejszym zwierzęciem wśród dzieci jest kapibara. Czy będzie w tym roku?
W tym roku nie, ale za rok... Będziemy myśleć

Szopka będzie otwarta do 6 stycznia włącznie, od g. 8 do g. 21. Wstęp darmowy
FOT. ARCHIWUM PPG

AKCJA CHARYTATYWNA
0111435246

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA

0011446251

„Gwiazdka z TAURONEM" rozświetliła Rynek w Wałbrzychu

Podczas jarmarku bożonarodzeniowego w Wałbrzychu mieliśmy przyjemność spędzić wyjątkowy, grudniowy czas razem z mieszkańcami miasta. Już od godziny 15:00 Rynek stopniowo wypełniał się mieszkańcami w każdym wieku - od najmłodszych po najstarszych - a różowy namiot TAURONA stał się przestrzenią spotkań, rozmów i wspólnej radości.

Panowała prawdziwie świąteczna aura. Było ciepło, radośnie i bardzo serdecznie. Każdy, kto odwiedził nasze stoisko, mógł wziąć udział w konkursach i quizach ekologicznych, sprawdzając swoją wiedzę na temat oszczędzania energii i codziennych, przyjaznych środowisku wyborów. Za poprawne odpowiedzi uczestnicy otrzymywali piękne gwiazdy betlejemskie, które szybko stały się symbolem tego wydarzenia.

Najmłodsi również nie mogli narzekać na nudę. Animacje, zabawy i kreatywne zadania sprawiały, że uśmiech nie schodził z twarzy dzieci, a rodzinna atmosfera udzielała się wszystkim obecnym. Nie zabrakło także świątecznych upominków, które dodatkowo umilały wspólnie spędzony czas.

Na zakończenie pragniemy przekazać wszystkim mieszkańcom najserdeczniejsze życzenia: Niech te Święta będą pełne ciepła, radości i światła. Nie tylko tego na choince, ale przede wszystkim w sercach.

To był piękny, grudniowy czas. Dokładnie taki, który zostaje w pamięci na długo.

eprasa.pl ea08fe165b

Spór o drogę przez Wysoką powraca. Sąd podważa decyzję środowiskową

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Naczelny Sąd Administracyjny nakazał ponowne rozpatrzenie przez Wojewódzki Sąd Administracyjny decyzji środowiskowej dot. przebiegu Wschodniej Obwodnicy Wrocławia.

Budowa ostatniego, południowego odcinka Wschodniej Obwodnicy Wrocławia trwa. A tymczasem pojawił sie kolejny problem prawny. Naczelny Sąd Administracyjny (NSA) uznał, że decyzja środowiskowa dotycząca przebiegu trasy przez wieś Wysoka nie jest prawomocna i nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy przez Wojewódzki Sąd Administracyjny (WSA). O wyroku poinformowało Stowarzyszenie Inicjatywa Wysoka, które walczy o zmianę planowanego przebiegu ostatniego odcinka WOW. Decyzja NSA oznacza, że że decyzja Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska (GDOŚ) o przebiegu ostatniego odcinka Wschodniej Obwodnicy Wrocławia przez środek Wysokiej nadal nie jest ostateczna.

Sednem sporu jest wybór wariantu trasy. NSA zwrócił uwagę, że wariant P1, zakładający poprowadzenie drogi przez środek wsi Wysoka, gdzie obecnie trwają przygotowania do budowy, został oceniony jako najgorszy środowiskowo pod każdym względem. Z kolei wariant W, omijający zabudowania i prowadzący przez pola uprawne, uznano za najlepszy dla środowiska.

Zdaniem sądu błędem było stanowisko GDOŚ oraz WSA, które dopuściły możliwość realizacji inwestycji według uznania inwestora, nawet w wariancie najgorszym środowiskowo.

W efekcie sprawa wraca do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, który ponownie zbada legalność decyzji środowiskowej.

FOT. JERZY WÓJCIK

Trwa budowa ostatniego odcinka Wschodniej Obwodnicy Wrocławia. Wyrok NSA nie przesądza jeszcze o ostatecznym przebiegu drogi, ale komplikuje sytuację prawną inwestycji

Mimo korzystnego dla mieszkańców wyroku NSA prace budowlane mogą być i są kontynuowane. Jak wyjaśnia Stowarzyszenie Inicjatywa Wysoka, decyzja środowiskowa została opatrzona rygorem natychmiastowej wykonalności. Oznacza to, że inwestor może prowadzić roboty, choć decyzja nie jest ostateczna.Dodatkowo - jak informuje stowarzyszenie - minister po raz kolejny przedłużył termin wydania decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej (ZRID) dla odcinka przebiegającego przez Wysoką. Obecnie do 6 lutego 2026 r. Formalnie więc inwestor nadal nie dysponuje ostatecznym ZRID-em dla tego fragmentu obwodnicy.

Co jeśli droga zostanie wybudowana, a dopiero później sądy uznają jej lokalizację za niezgodną z prawem? W takim scenariuszu - jak podkreśla stowarzyszenie - wszystkim okolicznym mieszkańcom mogłyby przysługiwać roszczenia odszkodowawcze wobec inwestora, związane m.in. z utratą wartości nieruchomości, hałasem czy pogorszeniem warunków życia.

Co na to Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego, który nadzoruje inwestycję? Jak zapewnia rzecznik marszałka Michał Nowakowski, wyrok NSA nie wstrzymuje realizacji obwodnicy.

- Po otrzymaniu zarówno zezwolenia na realizację inwestycji drogowej (ZRID), jak i decyzji środowiskowych inwestycja prowadzona jest wedle harmonogramów. Wydane orzeczenie przez NSA wskazuje jedynie, że sprawę po raz kolejny ma rozpatrzyć Wojewódzki Sąd Administracyjny w zakresie udzielonych decyzji środowiskowych - przekazał rzecznik.

Odnosząc się do kwestii ZRID, UMWD informuje, że wojewoda wniósł o uzupełnienie dokumentów przez wykonawcę, co zostało wykonane.

- Tego typu sytuacja nie jest w żaden sposób nienormatywna i nie wpływa na prowadzone prace w ramach budowy Wschodniej Obwodnicy Wrocławia - podkreśla Nowakowski.

Ostatni długo wyczekiwany fragment trasy, od ul. Grota-Roweckiego do al. Karkonoskiej, przez wieś Wysoka, ma długość około 3,7 kilometra, to inwestycja o wartości 264 mln zl.

Prace projektowe przy tej drodze rozpoczęły się jeszcze przed 2012 rokiem, ale przez lata nie udało się przystąpić do realizacji. Ostatni odcinek WOW domknie 30-kilometrowy ring wokół Wrocławia. Nowa droga ma zostać otwarta na przełomie 2027 i 2028 roku.

REKLAMA 0410707709

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● **„ABEL"** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/ 355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● **„ADORIA"** Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● **„ANUBIS"** – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranica. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● **„ARCHON"**– Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67, ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **„WITWICCY"** Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● **CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH** dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● **KREMATORIUM – ARCHON**, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43 - całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● **MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH**, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na tranport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **ROCH** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłychz domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

0011455879

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 9 grudnia 2025 roku odszedł od nas
w wieku 93 lat
nasz ukochany mąż, tato, dziadek i pradziadek

ŚP

Ignacy Domański

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się
29 grudnia o godzinie 13:00
w Warszawie na cmentarzu Bródnowskim
(wejście od ulicy Świętego Wincentego 83).

Pogrążona w smutku
Rodzina

Dziś pożegnamy

Pogrzeby 23 grudnia

● **GRABISZYN**
Eugeniusz Jan Kmiecik g. 10.00
Barbara Kembłowska-Łacińska g. 11.00
Barbara Krzywy g. 12.00
Krzysztof Wanic g. 14.00
Valentyna Neiman g. 15.00

● **OSOBOWICE**
Maria Kruck g. 8.40
LIliana Czerwińska g. 9.20
Tadeusz Orłowski g. 10.00
Jerzy Telepka g. 10.40
Maria Teresa Kowalska g. 11.20
Ryszard Baran g. 12.00
Halina Dousa g. 12.40
Mieczysław Tworzydło g. 13.20
Zofia Trzeciak g. 14.00
Janina Ogińska g. 14.40
Eliza Joanna Danilczuk g. 15.20

● **PSIE POLE**
Anatolii Chystiakov g. 11.00
Bożena Wajerowska g. 13.00

● **PAWŁOWICE**
Józefa Krzyżewska g. 13.00

Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224 Wrocław

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Kondolencje i nekrologi
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

eprasa.pl ea08fe165b

Sąd odroczył posiedzenie ws. aresztu Ziobry. Są wątpliwości

Marcin Koziestański
Warszawa

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa odroczył do połowy stycznia posiedzenie w sprawie ewentualnego aresztu dla b. szefa MS Zbigniewa Ziobry.

Najpierw sąd zdecydował o chwilowej przerwie. O decyzji w sprawie przerwy poinformował prokurator Piotr Woźniak, który kieruje śledztwem dotyczącym nieprawidłowości w wydawaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Obrońcy i prokurator byli obecni na posiedzeniu sądu, które było niejawne; na posiedzeniu nie stawił się Ziobro.

Prok. Woźniak powiedział dziennikarzom, że sąd zarządził przerwę w celu rozpoznania wniosków obrony o odroczenie poniedziałkowego posiedzenia. – Na obecnym etapie nie były omawiane kwestie związane z argumentacją co do konieczności zastosowania tymczasowego aresztowania. Były omawiane kwestie techniczne.

FOT. ADAM JANKOWSKI

7 listopada Sejm uchylił immunitet Zbigniewowi Ziobrze w odniesieniu do wszystkich 26 zarzutów

Jeden z pełnomocników Ziobry, mec. Bartosz Lewandowski, powiedział dziennikarzom, że wnioski o odroczenie posiedzenia uzasadnione są „dość istotnymi brakami materiału dowodowego". Jak dodał, sąd ma obowiązek brać pod uwagę także dowody, które są na korzyść podsądnych. – Jeśli prokuratura nie przedkłada tych materiałów, to trudno dać sądowi możliwość, żeby się z nimi zapoznał – oświadczył Lewandowski.

Drugi z pełnomocników b. szefa MS, Adam Gomoła, dodał, że chodzi o „materiały o charakterze niejawnym, z którymi sąd nie miał styczności". Gomoła zapowiedział ponadto złożenie wniosku o wyłączenie prok. Woźniaka, bo według niego zachodzą „uzasadnione wątpliwości" co do jego bezstronności.

Wniosek prokuratury w sprawie aresztowania Ziobry na okres trzech miesięcy rozpatruje w jednoosobowym składzie sędzia Agnieszka Prokopowicz, która po przerwie odroczyła do połowy stycznia posiedzenie w sprawie ewentualnego aresztu dla b. ministra sprawiedliwości.

Do tej pory Ziobro przebywał w Budapeszcie, a ostatnio w Brukseli. Prokuratura – uzasadniając wniosek o jego areszt – wskazała przede wszystkim na realne ryzyko jego niestawiennictwa, uciecz-ki, ukrywania się oraz matactwa procesowego. Śledczy zarzucają mu, że kierował zorganizowaną grupą przestępczą i popełnił 26 przestępstw, m.in. wydawać swoim podwładnym polecenia łamania prawa, by zapewnić wybranym podmiotom dotacje z Funduszu Sprawiedliwości, a także ingerować w przygotowanie ofert konkursowych.

Do tej pory Ziobro nie zadeklarował jednoznacznie, czy wystąpi o azyl polityczny na Węgrzech, czy wróci do Polski. Na początku grudnia zapewniał, że stawi się w kraju w ciągu kilku godzin, jeśli „zostanie przywrócony losowy przydział spraw sędziom", zostaną przywróceni „nielegalnie odwołani prezesi sądów" oraz „legalna władza w prokuraturze, w tym legalny prokurator krajowy".

Sejm uchylił immunitet Ziobrze 7 listopada w odniesieniu do wszystkich 26 zarzutów, które chce mu postawić prokuratura, w związku ze sprawą Funduszu Sprawiedliwości. Sejm wyraził również zgodę na jego zatrzymanie i aresztowanie. Tego samego dnia – kilka godzin później – prokuratura wydała posta-nowienie o przedstawieniu Ziobrze 26 zarzutów, a także o zatrzymaniu go i przymusowym doprowadzeniu przez Agencję Bezpieczeństwa Wewętrznego, co okazało się jednak nieskuteczne z powodu nieobecności byłego ministra w Polsce. PAP

Mieszkaniec Trójmiasta podejrzany o szpiegostwo. Zatrzymany przez ABW i tymczasowo aresztowany

Radosław Konczyński
Trójmiasto

Czy 40-letni mieszkaniec Trójmiasta szpiegował na rzecz obcego wywiadu? Dotychczasowe ustalenia ABW mają wskazywać na to, że w tym celu fotografował transporty sprzętu wojskowego.

„Zatrzymanie mężczyzny nastąpiło w wyniku działań ABW. Zabezpieczono dowody gromadzenia przez podejrzanego materiałów dokumentujących m.in. kolejowe transporty sprzętu wojskowego" – poinformował Tomasz Siemoniak w swoim wpisie na X.

Nie pada nazwa państwa, na rzecz którego miałyby być prowadzone te działania. Rzecznik prasowy ministra koordynatora na obecnym etapie nie ujawnia szczegółów sprawy.

40-latek mieszka w Trójmieście i tu został zatrzymany, natomiast zarzuty dotyczą rzekomej działalności prowadzonej w województwie kujawsko-pomorskim, a dokładnie na terenie podległym prokuraturze w Bydgoszczy. – Na tym terenie ujawniono dokumentowanie przez niego infrastruktury kolejowej – powiedziała PAP Agnieszka Adamska-Okońska, zastępca prokuratora okręgowego wBydgoszczy.

W minioną sobotę sąd zastosował wobec 40-latka środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania na trzy miesiące w związku z przedstawionym mu zarzutem szpiegostwa. Dokładnie z artykułu 130 paragraf 3 Kodeksu karnego:„Kto zgłasza gotowość działania na rzecz obcego wywiadu przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej albo w celu udzielenia obcemu wywiadowi wiadomości, których przekazanie może wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej, gromadzi je lub przechowuje lub wchodzi do systemu informatycznego w celu ich uzyskania". To przestępstwo zagrożone jest karą od 6 miesięcy do8 lat pozbawienia wolności.
PAP

AUTOPROMOCJA 0111452133

REKLAMA 0011451824

eprasa.pl ea08fe165b

Eksplozja samochodu generała Sarwarowa. Zginęli on i jego kierowca

Marcin Koziestański
Rosja

Generał major Fanił Sarwarow zginął w poniedziałek rano na skutek wybuchu improwizowanego ładunku wybuchowego ukrytego w samochodzie, którym jechał.

Fanil Sarwarow był szefem Zarządu Szkolenia Operacyjnego Sił Zbrojnych Rosji i brał udział w wojnie w Ukrainie. Samochód należący do generała został wysadzony w Moskwie.

Do potężnej eksplozji doszło około godziny 7 rano na dziedzińcu budynku mieszkalnego. Według śledczych pod podwoziem samochodu Kia Sorento podłożono improwizowany ładunek wybuchowy, który został zdetonowany kilka sekund po rozpoczęciu jazdy.

56-letni kierowca generała odniósł liczne obrażenia i po kilku godzinach zmarł.

Według Komitetu Śledczego za przygotowanie ataku odpowiedzialny jest 17-letni mieszkaniec Moskwy, który miał działać na zlecenie ukraińskich służb specjalnych i został zatrzymany niedługo po ataku. Zgodnie z wstępnymi ustaleniami miał on przygotować ładunek wybuchowy na podstawie otrzymanych instrukcji, a następnie zamontować go pod samochodem, którym poruszał się Sarwarow.

Za przeprowadzenie ataku sprawca miał otrzymać 50 tysięcy rubli (ok. 2,3 tys. zł).
PAP

Nie było nieprawidłowości na rosyjskim statku

Anna Nagel
Szwecja

Władze Szwecji nie znalazły nieprawidłowości na rosyjskim statku Adler, na którego pokładzie przeprowadziły kontrolę.

Frachtowiec powiązany z transportami wojskowymi zgłosił wcześniej awarię i zakotwiczył na północ od cieśniny Sund.

Jak przekazał rzecznik szwedzkiego Urzędu Celnego Martin Hoeglund, prokuratura uznała, że nie ma podstaw do wszczęcia śledztwa. – Mieliśmy prawo przeprowadzić kontrolę, gdyż właściciel statku podlega międzynarodowym sankcjom, a jednostka znajdowała się na wodach terytorialnych Szwecji – podkreślił Hoeglund w wypowiedzi dla agencji TT. Przedstawiciel Urzędu Celnego odmówił udzielenia informacji, jaki ładunek znaleziono na statku, powołując się na ochronę danych. Na pokładzie frachtowca kilkugodzinną kontrolę ładunku przeprowadzili celnicy przy udziale policji i straży przybrzeżnej. Operację nadzorowały prokuratura i służby specjalne SAPO.

Według gazety „Sydsvenskan" oficjalnie Adler to statek towarowy, należy jednak do firmy M Leasing LLC, która znajduje się na listach sankcyjnych w USA i UE. Ukraiński wywiad podaje na stronie internetowej, że w 2018 roku Adler przewoził rakiety do Chin, a inne statki tego armatora transportowały z Korei Północnej do Rosji amunicję, która miała zostać użyta w wojnie przeciwko Ukrainie. PAP

Rozmowy ambasadorów UE ws. Mercosuru przesunięte

Karolina Wrońska
Belgia

Decyzja unijnych ambasadorów w sprawie klauzul ochronnych dla rolników w umowie handlowej UE z Mercosurem, pierwotnie planowana na poniedziałek, została przełożona na styczeń.

FOT. PAP/SZYMON PULCYN

„Dzisiejsze głosowania przełożono na styczeń. Walczymy dalej o polskie i europejskie rolnictwo" – napisał w poniedziałek na X minister rolnictwa Stefan Krajewski

Dyskusja nad umową z Mercosurem została pierwotnie wpisana w agendę poniedziałkowego spotkania ambasadorów UE w Brukseli. Jak przekazały źródła unijne, ambasadorowie mieli dyskutować o tym, co poprawić w umowie i jakie dać instrukcje nowej prezydencji w Radzie UE (1 stycznia przejmie ją Cypr od Danii).

Planowano też dalsze prace nad klauzulami chroniącymi unijnych rolników oraz rozmowy o sposobach na poprawienie sytuacji rolników w następnych wieloletnich ramach finansowych UE. Ambasadorowie mieli przyjąć m.in. decyzję o sposobach ochrony rolników w trybie procedury pisemnej, umożliwiającej szybkie przyjęcie decyzji Rady UE w trybie korespondencyjnym, bez konieczności zwoływania formalnego posiedzenia.

W poniedziałek rano ambasadorowie zdecydowali jednak o przesunięciu decyzji w sprawie ochrony rolników na styczeń. Domagały się tego m.in. polskie organizacje rolnicze. W widzianym przez PAP liście wysłanym w piątek do MSZ rolnicy sprzeciwili się zastosowaniu procedury pisemnej. Podkreślili, że tak ważne decyzje, jak ochrona ich grupy zawodowej, wymagają szerszej debaty, oraz apelowali, by Polska wystąpiła o zdjęcie tematu Mercosuru z porządku obrad ambasadorów. „Działamy dalej w sprawie Mercosur. Dzisiejsze głosowania przełożone na styczeń. Walczymy dalej o polskie i europejskie rolnictwo" – napisał w poniedziałek na X minister rolnictwa Stefan Krajewski.

Agencje ANSA i AFP podały za źródłami unijnymi, że Unia planuje podpisać porozumienie handlowe z blokiem Mercosur 12 stycznia. Pierwotnie przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen chciała podpisać je 20 grudnia, ale sprzeciwiła się temu część państw członkowskich, w tym Włochy, których premier Giorgia Meloni zażądała dodatkowych gwarancji dla sektora rolnego.

W piątek, tuż po szczycie UE, premier Donald Tusk powiedział dziennikarzom, że Polska podtrzyma negatywne stanowisko wobec umowy

W piątek premier Donald Tusk powiedział dziennikarzom, że Polska podtrzyma negatywne stanowisko wobec umowy. Dodał, że przesunięcie podpisania porozumienia na styczeń da Komisji czas na opracowanie dodatkowych zabezpieczeń.

Umowa z blokiem krajów Mercosur, w skład którego wchodzą Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Boliwia i Urugwaj, ustanowi preferencje celne dla niektórych produktów rolnych z tych państw, takich jak wołowina, drób, nabiał, cukier i etanol. W zamian rynki tych krajów otworzą się na europejski przemysł. PAP

FOT. EAST NEWS

Tajemniczy wybuch w estońskim centrum handlowym Tallina Ülemiste. Służby specjalne prowadzą dochodzenie

Grzegorz Kuczyński
Estonia

Estońska policja bezpieczeństwa (KaPo) wszczęła dochodzenie w sprawie wybuchu, który miał miejsce w sobotę wieczorem w największym centrum handlowym Tallina Ülemiste.

Do zdarzenia doszło 20 grudnia o godz. 18.47 na pierwszym piętrze budynku w pobliżu sklepu Apollo. Według danych śledztwa urządzenie wybuchowe znajdowało się w koszu na śmieci.

Kto stoi za wybuchem?

W wyniku zdarzenia poszkodowany został pracownik centrum handlowego, który został natychmiast przewieziony do szpitala. Lekarze informują, że jego stan jest stabilny i nie ma zagrożenia dla życia. Zaraz po wybuchu goście zostali ewakuowani z budynku i umieszczeni w autobusach miejskich, aby się ogrzać.

Dyrektor generalny policji bezpieczeństwa Margo Palloson oświadczył, że obecnie nie ma żadnych oznak wskazujących na związek tego incydentu z terroryzmem lub ekstremizmem. Dowody wskazują, że był to odosobniony przypadek, dlatego poziom zagrożenia społecznego w kraju nie wzrośnie.

Przez całą noc specjaliści służb ratowniczych przeprowadzali dokładną kontrolę budynku i sprawdzali wszystkie kosze na śmieci, ale nie znaleźli żadnych innych podejrzanych przedmiotów ani urządzeń.

Większe środki bezpieczeństwa

Pomimo zapewnień władz o braku systemowego zagrożenia, kierownictwo estońskiej policji podjęło decyzję o wzmocnieniu środków bezpieczeństwa w okresie świąt. Dyrektor generalny Departamentu Policji i Straży Granicznej Egert Belitšev zauważył, że wybuch w tak dużym miejscu w przeddzień świątecznego weekendu nieuchronnie wywołuje strach i zamieszanie.

Aby zapewnić mieszkańcom poczucie bezpieczeństwa, zwiększona zostanie liczba patroli w miejscach dużego zgromadzenia ludzi, a policja przejdzie na tryb wzmożonej pracy.
PAP

REKLAMA 0011453175

stacja rekrutacja.pl | kierunek praca

PRACA DODATKOWA!

Sprzątanie biur!

UL. BUFOROWA, UL. CHORZOWSKA, UL. K. OLSZEWSKIEGO, UL. TARNOGAJSKA, UL. DOBRZYŃSKA.

PRACA OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU, ELASTYCZNE GODZINY PRACY.

ZADZWOŃ DZIŚ, ABY POZNAĆ SZCZEGÓŁY!
ATRAKCYJNE STAWKI.
Prosimy o kontakt 510 013 460.

eprasa.pl ea08fe165b

PULS
#196

Zwolnij

BT

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, który burzy nasze wyobrażenia o sile, sukcesie i skuteczności: Bóg przychodzi jako bezbronne dziecko, zdany na ludzką miłość. W rozmowie z bp. Damianem Muskusem, franciszkaninem pytamy o sens tej słabości, o Betlejem jako prowokację wobec współczesnego świata oraz o święta, które nie są jedynie tradycją, lecz zaproszeniem do zmiany życia.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Nowonarodzony. Obraz francuskiego malarza Georges'a de La Toura

BÓG, KTÓRY RYZYKUJE MIŁOŚĆ. DLACZEGO ZBAWIENIE PRZYSZŁO PRZEZ BEZBRONNOŚĆ DZIECKA?

Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu: Bóg wybiera bezbronność dziecka. Dlaczego – z perspektywy wiary – to właśnie słabość, a nie potęga, okazuje się drogą zbawienia?

Niemowlę jest całkowicie zależne od rodziców. Wymaga nieustannej uwagi, czułej i troskliwej opieki, ochrony przed niesprzyjającymi warunkami, karmienia, tulenia, czuwania nad jego bezpieczeństwem. Bóg, który przychodzi na świat jako maleńkie dziecko, oddaje nam się całkowicie. Jest, ośmielę się powiedzieć, zależny od naszej miłości, od naszej dobrej woli i uwagi. On chce być kochany. Chce być jednym z nas. Rzeczywiście mógł nas zbawić przez jedno swoje słowo, ale postanowił, że stanie się człowiekiem i zamieszka wśród nas, że będzie zwyczajnie żył, że będzie doświadczał ludzkich radości i smutków. Dlaczego? Wspaniale o tym mówił papież Franciszek w homilii wygłoszonej na mszy św. w sanktuarium jasnogórskim w 2016 roku. Mówił o Bogu, który chce nas zbawiać, będąc małym, bliskim i konkretnym. Pamiętam jego słowa: „Pan nie chce, żeby się Go lękano jako możnego i dalekiego władcy, nie chce przebywać na tronie w niebie czy w podręcznikach historii, ale pragnie schodzić w nasze codzienne wydarzenia, aby iść z nami". Bogu obca jest logika władzy, wielkości i znaczenia. To jest myślenie ludzkie, nie Boże. On umiłował codzienne drogi, ubogie znaki i zwyczajnych ludzi. Ma pani rację, Boże Narodzenie zaczyna się od paradoksu, ale właściwie w dziele zbawienia wszystko jest, w świetle ludzkiej logiki, paradoksem.

Co mówi nam fakt, że Bóg przychodzi na świat poza domem, w miejscu prowizorycznym, jakim była „nędzna szopa"? Jak to czytać dziś – społecznie i duchowo?

Pewnie dla każdego ta prawda ma inne znaczenie, bo odczytujemy ją w różnych kontekstach kulturowych, społecznych, ale także osobistych. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka wątków, o których czytamy w Ewangelii, świętując Boże Narodzenie. Jezus narodził się w miejscu przypadkowym, dalekim od królewskich standardów, a to wynika z owej logiki małości, bliskości i konkretu, o której wspominałem. Gdyby przyszedł na świat w pałacu, byłby dostępny dla wybranych i uprzywilejowanych społecznie. Gdyby przyszedł na świat w czterech ścianach zwyczajnego domu, byłoby trudniej Go odnaleźć. Nawet gwiazda betlejemska pewnie nie byłaby w stanie sforsować ochronnego muru

eprasa.pl ea08fe165b

miłości świeżo upieczonych rodziców tego Dziecka. Natomiast grota jest miejscem dostępnym dla wszystkich. Małego Boga mogli więc odwiedzić zarówno pasterze, ludzie prostej, ciężkiej pracy, jak i mędrcy z dalekich stron. Jezus nie przyszedł na świat dla wybrańców, ale dla każdego bez wyjątku. To oznacza, niestety, również to, że od pierwszych dni życia na ziemi Bóg był narażony na niebezpieczeństwo ze strony nienawidzących Go ludzi, gotowych zabić bezbronnego z powodu szalonego pragnienia władzy, w imię której instrumentalizowali religię. Aby być dostępnym dla wszystkich, Bóg całkowicie oddał się w nasze ręce, bez żadnych warunków. Boże przyjście na świat w takich prowizorycznych warunkach wiele też mówi o naszej ludzkiej kondycji. O naszej bezdomności na ziemi, której jedni doświadczają dosłownie, bardzo realnie, a inni o niej zapominają, przywiązując się do świata, w którym wszystko jest przecież ulotne i przemijające. Ale żłóbek betlejemski wskazuje również na to, że wiara jest bardziej drogą niż domem. Zarówno pasterze, jak i mędrcy, musieli wyruszyć w drogę, by spotkać Boga. Przypomnę, że On objawił się im w chwili, gdy byli zajęci swoją pracą. Pasterze przebywali wówczas w polu, gdzie pilnowali stada, a mędrcy pogrążeni byli w intelektualnych dociekaniach nad światem. Musieli zostawić swoje zajęcia, by wyruszyć na spotkanie. Jeśli wiara jest drogą, oznacza to również ryzyko błądzenia, zmęczenia, wątpliwości. A zarazem jest to też miejsce rozwoju, twórczości, gotowości na niespodziewane i nadziei, która jest motorem każdej wędrówki.

Czy w świecie, który ceni pracę, skuteczność, sukces i siłę, tajemnica Betlejem nie brzmi dziś trochę jak prowokacja? Jakie pytanie Bóg zadaje dziś człowiekowi, rodząc się w Betlejem XXI wieku?
Betlejem XXI wieku w sensie geopolitycznym jest dziś miejscem niespokojnym, a jego mieszkańcy ponad wszystko pragną pokoju, który jest niezbędny, by żyć bez lęku. Oni na własnej skórze od lat odczuwają prawdę, że żadna ludzka siła, żadne negocjacje pokojowe, choćby prowadzone przez genialnych i znanych ze skuteczności strategów, tego trwałego pokoju nie zapewnią. Pokój zaprowadzany przez ludzi zawsze jest niestabilny. Zapomnieliśmy już o tym pod naszą szerokością geograficzną, bo mamy przywilej bezpiecznego życia, ale nasi wschodni sąsiedzi boleśnie tego doświadczają. Ludzki pokój jest nietrwały, nie zagwarantują go żadne traktaty zawierane między mocarstwami. Betlejem mówi nam, że pokój jest jednak możliwy nawet w samym środku zamętu, strachu o życie i braku poczucia bezpieczeństwa. Jest to pokój, który daje światu miłość Boga. To pokój, który płynie z pewności, że wszyscy jesteśmy w Jego rękach i cokolwiek na ziemi się nie wydarzy, choćbyśmy nawet życie stracili, to w perspektywie wieczności nic złego nam się nie stanie, bo Jego miłość nas chroni. To oczywiście nie jest łatwe do przyjęcia, bo mamy w pamięci losy niezliczonych współczesnych męczenników wojen i konfliktów. Jednak żadna ludzka siła nie odbierze nam pokoju serca, którym obdarza nas Bóg. Myślę, że dziś, w naszych niespokojnych, niepewnych czasach, On przychodzi z pytaniem o zaufanie i nadzieję. Czy potrafimy zaufać Jego miłości? Z jakich źródeł czerpiemy naszą nadzieję, gdy wokół ogarniają nas ciemność i zamęt? Wbrew pozorom, to nie są tylko pytania stawiane wierzącym w Niego. Każdy człowiek – czy to wierzący, czy poszukujący, czy niewierzący – powinien z tymi pytaniami się zmierzyć. Co jest naszym fundamentem? Jakich wartości chcemy bronić? Czy są w naszym życiu sprawy cenniejsze niż samo życie?

Można powiedzieć, że Boże Narodzenie to święto Boga, który nie narzuca się człowiekowi, ryzykuje odrzucenie, ale czeka na jego odpowiedź. Co to mówi o Bożej miłości?
Dotykamy tu kolejnego paradoksu. Potężny, wszechmogący Bóg, Stwórca świata i człowieka, jest bezradny wobec ludzkiej wolności. Kochając, daje nam prawo wyboru i szanuje konsekwencje tych wyborów. Mógłby nas zbawić wbrew nam samym, ale tego nie robi. Zależy Mu na naszym dobru, ale pragnie, byśmy sami, w wolności, wybierali dobro. Daje nam przestrzeń, bez której miłość po prostu nie jest możliwa. Dzięki temu możemy wybrać, czy chcemy żyć z Nim, czy wolimy życie bez Niego. On nie chce też, by Jego Kościół był światem niewolników, pomyślał go jako miejsce ludzi wolnych, twórczych, myślących i odważnych. Wszelkie zniewolenia, również te w sferze sumienia, są konstruktem ludzkim, nie Bożym.

Święta obchodzimy co roku. Mamy jeszcze zdolność zdziwienia się Bożym Narodzeniem, czy raczej wiemy już „wszystko" i dlatego niewiele nas porusza?
To oczywiście kwestia indywidualna. Fakt, że co roku przeżywamy tę tajemnicę, że święta te mają swój rytm i tradycje, może spowodować rutynę. Co roku jest adwent, roraty, co roku idziemy na pasterkę, przygotowujemy dom na święta. To wszystko może skutkować pewnym znieczuleniem na nowość Bożego Narodzenia, nawet jeśli wyczekujemy tych dni z radością. Jednak Boże Narodzenie nie odbywa się w oderwaniu od naszego życia. Każdy rok przynosi nowe doświadczenia, zmieniamy się, zmienia się świat wokół nas, przeżywamy nowe radości i troski. Warto tajemnicę Bożego Narodzenia przyjmować w takim kontekście, w kontekście codzienności, i zadawać sobie pytanie, co prawda o Nowonarodzonym Jezusie wnosi do mojego życia tu i teraz, w tym, co aktualnie jest dla mnie ważne, co mnie angażuje, co boli i co daje szczęście? Myślę, że jeśli pozwolimy, by Słowo, które stało się Ciałem, opowiadało nam o sensie tego wszystkiego, będziemy wciąż na nowo odkrywać Boże Narodzenie i zachwycać się niezwykłością tego wydarzenia.

Jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie" Jezusa – uczynienie Go miłym elementem świątecznego krajobrazu, a nie kimś, kto zmienia życie?
W tym pytaniu kryje się już odpowiedź. Jeśli Jezus będzie tylko „miłym elementem świątecznego krajobrazu", Dzieciątkiem w żłóbeczku, o którym śpiewamy kolędy, i nie dopuścimy Go do naszego życia, nigdy nie stanie się dla nas Kimś, kto to życie zmienia, kto nadaje mu sens i kierunek. Jezus Chrystus nie jest elementem tradycji, jest żywą Osobą. Nie jest bajką opowiadaną po to, by poprawić nam samopoczucie, ale Kimś, kto nas kocha bez granic. Jeśli pyta Pani o to, jakie niebezpieczeństwo niesie „oswojenie" Jezusa, to mogę odpowiedzieć tylko tyle: nie spotkamy Go, jeśli będzie dla nas wyłącznie dekoracją pod choinką czy bohaterem rzewnych kolęd. Rozminiemy się z Nim w drodze, nie odnajdziemy Go, a Boże Narodzenie zostanie zredukowane do czasu zimowego odpoczynku, jakiejś przerwy w codzienności. Tracąc sens Bożego Narodzenia, tracimy sens chrześcijaństwa. Jezus nie jest przecież dodatkiem do świętowania. Jest jego głównym Bohaterem.

Pasterze byli pierwszymi świadkami narodzin Jezusa, a Maryja i Józef – zwykłymi ludźmi. Czy w tym świetle Boże Narodzenie staje się świętem codzienności i zwykłego życia, a nie tylko wielkich wydarzeń?
I tak, i nie. Tak, bo zwyczajność życia Świętej Rodziny i ludzi, którzy jako pierwsi radowali się przyjściem Boga na świat, jest znakiem, że Bóg wchodzi w naszą codzienność. Nawet jeśli tego nie zauważamy, wchodzi w nią bowiem pokornie i niedostrzegalnie. Boże Narodzenie to przecież święto Emmanuela – Boga z nami, bliskiego naszym ludzkim sprawom, dzielącego nasz ziemski los. Ale z drugiej strony nie można zignorować faktu, że Boże Narodzenie to wydarzenie wielkie, przełomowe dla ludzkości, zasługujące na to, byśmy celebrowali je odświętnie i uroczyście. Potrzebujemy zresztą, i dla higieny psychicznej, i dla wzrostu duchowego, takich dni – pięknych, wzruszających, nawet podniosłych. Karmimy się nimi również po to, by ich odblask odkrywać w szarej codzienności.

Wiele osób przeżywa święta z poczuciem pustki, straty lub samotności. Boże Narodzenie jest także świętem ludzi zranionych i przegranych?
Boże Narodzenie jest świętem wszystkich ludzi, również tych, którzy cierpią. Dla nich ten czas jest trudny, bo myślę, że pustkę, samotność, zranienia i żałobę w tych dniach odczuwa się intensywniej, bardziej boleśnie i dojmująco. Jeśli codzienność nas przytłacza, Boże Narodzenie nie stanie się cudownym lekiem, który ją uleczy. Pusty talerz przypomina nam o tęsknocie za kimś, kogo już nie ma, opłatek, którym nie mamy z kim się przełamać, mówi o samotności więcej i rozpaczliwiej niż codzienność. Dotknęła pani bardzo trudnej kwestii, bo również kultura nie ułatwia przeżywania tych świąt w zgodzie z samym sobą. Zewsząd słyszymy pogodne świąteczne melodie, reklamy pokazują uśmiechnięte, szczęśliwe rodziny. Można mówić o pewnej presji, którą ten świat – zazwyczaj z powodów komercyjnych – wywiera na nas, by w okresie Bożego Narodzenia emanować radością. Ale Jezus, który przyszedł na świat w ekstremalnie trudnych warunkach, jest solidarny zwłaszcza z ludźmi, którzy są w bolesnych sytuacjach życiowych, widzi ich łzy i osamotnienie. Jeśli ktoś czuje się źle w tym czasie, nie powinniśmy go zmuszać do uśmiechu i próbować uszczęśliwiać na siłę. Ważniejsza jest wtedy obecność, której nie zagłuszy hałas świątecznych tradycji. Jeśli sami czujemy się źle, jesteśmy poranieni i opłakujemy nasze straty, pozwólmy sobie na to, by przeżywać ten czas po swojemu, w swoim tempie, dbając o siebie tak, jak dyktuje nam serce. Nie ma obowiązku radosnego świętowania na przekór temu, co się aktualnie przeżywa. Jeśli czytamy Boże Narodzenie w kontekście naszej codzienności, odkryjemy jego przemieniającą, kojącą i łagodną siłę.

Czy da się przeżyć Boże Narodzenie głęboko, nie uciekając od trudnych tematów: wojny, migracji, ubóstwa, podziałów społecznych?
Myślę, że one wtedy się narzucają ze zdwojoną siłą i stają się naturalnym tematem rozmów przy świątecznych stołach. Kluczem jest tu umiejętność słuchania. Polaryzacja jest tak silna, że wkroczyła również do rodzin, dzieląc nas na różnych poziomach: wrażliwości, poglądów, patrzenia na świat. Boże Narodzenie to święto, zwłaszcza w polskiej tradycji, przeżywane jako czas bliskości, jedności, pokoju. Czasem niestety na własne życzenie rujnujemy go sobie, pozwalając na jałowe dyskusje, które szybko przeradzają się w konflikty. Chciałbym, aby świętowanie Bożego Narodzenia było wolne od napięć, ale obawiam się, że to jest trudne do uniknięcia, bo nie celebrujemy świąt w oderwaniu od rzeczywistości. Jesteśmy w nią zanurzeni. Problem polega na tym, czy potrafimy się nią dzielić w taki sposób, by nie tworzyć kolejnych niepokojów – z zaciekawieniem, z chęcią poznania innych punktów widzenia, nie strasząc się wzajemnie posępnymi wizjami przyszłości, ale dzieląc się nadzieją, o którą wszyscy powinniśmy dziś szczególnie dbać. Bez nadziei przecież nasza wiara karłowacieje, a miłość traci siłę. Boże Narodzenie to święta nadziei. Każde nowe życie nią jest, a życie, które przyszło na świat w Betlejem, przynosi nadzieję silniejszą niż wszystkie nasze spory, lęki i podziały.

Jak nie stracić duchowego sensu świąt, nie odcinając się jednocześnie od ich rodzinnego i kulturowego wymiaru?
To coraz trudniejsze wyzwanie, ale nie niemożliwe do osiągnięcia. Do granic skomercjalizowana kultura tego czasu nie ułatwia nam tego zadania, ale z drugiej strony – ubogi i mały Jezus ma większą siłę oddziaływania niż najgłośniejsze, najbardziej przyciągające marketingowe chwyty sprzedawców świątecznego szczęścia. Trzeba tylko się wsłuchać. To naprawdę od nas zależy, na czym położymy akcent w naszym świętowaniu. Nie jesteśmy niewolnikami kultury, cieszmy się Bożym Narodzeniem po swojemu. Wymiar rodzinny świąt ma też swój wymiar duchowy. Świętujemy przecież spotkanie z Bogiem, który jest między nami. Obecność, słuchanie, dialog, wspólnota stołu i modlitwy – to ważna część naszej duchowości. Nawet jeśli się różnimy, nawet jeśli okazuje się, że przy jednym stole zasiadają ludzie, którzy świętują różne sprawy, bo dla każdego z nich Boże Narodzenie znaczy coś innego. Nie możemy w imię duchowego sensu lekceważyć spotkania z bliskimi albo wymiaru kulturowego tych świąt. Jesteśmy jednością ciała, ducha, psychiki i emocji, i świętujemy jako cały człowiek. Dla naszego ducha ważna jest modlitwa, ale także spotkanie z rodziną czy nawet smak świątecznego piernika. Wszystko ma znaczenie, najważniejsze jest to, by odnaleźć równowagę między tymi elementami.

Gdyby Ksiądz Biskup miał wskazać jedno zdanie z Ewangelii, które najlepiej streszcza sens Bożego Narodzenia, które by to było i dlaczego?
„Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie" (Łk 2, 7). To zdanie jest streszczeniem wszystkich paradoksów Bożego Narodzenia, opisem Boga, który jest maleńki, bliski i konkretny, zapowiedzią Jego odrzucenia, ale i miłości, którą rozpoznajemy w czułych słowach „owinęła Go w pieluszki". Świadomość, że Bóg, jak każdy z nas, ssał mleko swojej Matki, że było mu zimno i kwilił, gdy był głodny, jest niezwykle wzruszająca, ale i umacniająca poczucie sensu naszego ludzkiego życia. Poza tym, jako duchowny syn św. Franciszka z Asyżu, wspominam te słowa, bo to one natchnęły Biedaczynę do stworzenia w Greccio pierwszej szopki. „Chcę naocznie pokazać Jego (Jezusa) braki w niemowlęcych potrzebach, jak został położony w żłobie i jak złożony na sianie w towarzystwie wołu i osła". W tych słowach mieści się prostota, ubóstwo i pokora Syna Bożego, Emmanuela – Boga z nami.

FOT. ARCHIWUM

bp Damian Muskus
franciszkanin, biskup pomocniczy Archidiecezji Krakowskiej

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

WIGILIA NA 30 OSÓB. BO 50 LAT TEMU ZAŁOŻYLI RODZINNY DOM DZIECKA

Pół wieku temu Janina i Tadeusz Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła życie kilkunastu osób. W bloku na białostockim osiedlu stworzyli pierwszy w województwie podlaskim rodzinny dom dziecka. Dziś ich „dzieci" mają własne rodziny, domy, wnuki. Mimo to wciąż tworzą jedną, wielką rodzinę. Tę niezwykłą historię opowiada rodzona córka Janiny i Tadeusza – Jolanta

Agnieszka Domanowska

Rodzinna kronika leży na stole. Pożółkłe kartki, starannie prowadzone ręką Tadeusza Kamińskiego. - Tata zakładał tę kronikę, dziś już nie żyje - mówi Jolanta, jego córka, przeglądając zdjęcia sprzed pięćdziesięciu lat. Na fotografiach uśmiechnięte dzieci, świąteczny stół, Mikołaj w czapce.

„Kochane dzieci" - napisał Tadeusz na marginesie. I rzeczywiście, były to jego dzieci. Wszystkie.

Propozycja, która zmieniła życie

Rok 1975. W małej miejscowości koło Grajewa mieszkała rodzina nauczycieli. Tadeusz - dyrektor szkoły, Janina - kierowniczka.

- Mama też była taką aktywistką. Harcerstwo, PCK, robiła całej wsi zastrzyki, skończyła kursy - wspomina Jolanta.

Ktoś w Białymstoku o nich usłyszał i pewnego dnia do drzwi Kamińskich zapukali przedstawiciele wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z nietypową propozycją: Czy nie chcieliby założyć rodzinnego domu dziecka?

- Tata się od razu zapalił - w Białymstoku córki będą miały przyszłość! Ale mama miała wątpliwości. „Nie mieliśmy kłopotów ze swoimi dziećmi, to nie wiesz, co znaczy mieć takie dzieci" - powiedziała do taty - wspomina Jolanta.

Jednak po długich rozmowach Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła ich życie.

Sierpień 1975 roku. Przeprowadzka do Białegostoku, do mieszkania w świeżo wybudowanym bloku przy ul. Warszawskiej. Dwa połączone lokale - razem siedem pokoi w surowym stanie.

FOT. PAWEŁ BALEJKO

Janina Kamińska (z lewej) była matką dla dziewięciorga dzieci. Miała dwie własne córki (z prawej siedzi Jola), a dla siedmiorga dzieciaków stworzyła rodzinę zastępczą

- Odgruzowywaliśmy od pierwszego sierpnia, myliśmy szyby, wszystko szorowaliśmy - wspomina Jolanta, która wtedy miała 15 lat i właśnie kończyła podstawówkę. Jej młodsza siostra, Ewa, szła do siódmej klasy.

Szóstka, która stała się siódemką

We wrześniu rodzinny dom dziecka ruszył. Choć nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać.

- W domach dziecka było mnóstwo dzieci, ale większość z nieuregulowaną sytuacją prawną - tłumaczy Jolanta.

Założenie rodzinnego domu, wynikające z przepisów, było jasne: sześcioro dzieci musi być. Przyjechała dziewczynka z Grodna, w wieku młodszej córki. Potem dwa lata młodsza dziewczynka z Łomży. Do tego chłopiec z Białegostoku i trójka maluchów - trzylatki.

- Tylko jedno dziecko było pełną sierotą. W przypadku pozostałych - rodzice byli pozbawieni praw lub mieli duże ograniczenie praw rodzicielskich - wyjaśnia Jolanta. - To były dzieci poranione przez życie, spragnione miłości i ciepła.

Siódme dziecko trafiło do rodziny Kamińskich przez przypadek. Tadeusz pracował w pogotowiu opiekuńczym. Przywieziono tam dziewczynkę - jej matka zostawiła rodzinę, ojciec był głuchoniemy.

- Tata powiedział: póki jeszcze system jej nie zepsuł, zabieramy ją do siebie - wspomina Jolanta.

Jeden z najmłodszych chłopców był bardzo chorowity.

- Mama cały czas mówiła, że on ma coś w buzi. Wszyscy myśleli, że wymyśla - wspomina Jolanta. Okazało się, że to złośliwy nowotwór. Dziecko przeszło operację i przeżyło.

- Mama uratowała mu życie, bo nie odpuszczała - podkreśla Jola.

Mówiły „mamo, tato". A to zobowiązuje

Na początku państwo Kamińscy zadali dzieciom ważne pytanie: jak chcą się do nich zwracać? Proszę pana, proszę pani? Ciociu, wujku? A może... mamo, tato?

- No oczywiście wybrały mamo, tato. I to zobowiązuje - podkreśla Jolanta. - W innych rodzinnych domach dziecka, które później powstawały w Białymstoku, było inaczej. Dzieci mówiły „ciociu", „wujku". Dorastały, odchodziły i kontakt się urywał. U nas było inaczej. My zauważyliśmy, że samo wymawianie słowa „tato", „mamo" sprawia im ogromną przyjemność, a wręcz uspokaja - wspomina Jolanta.

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

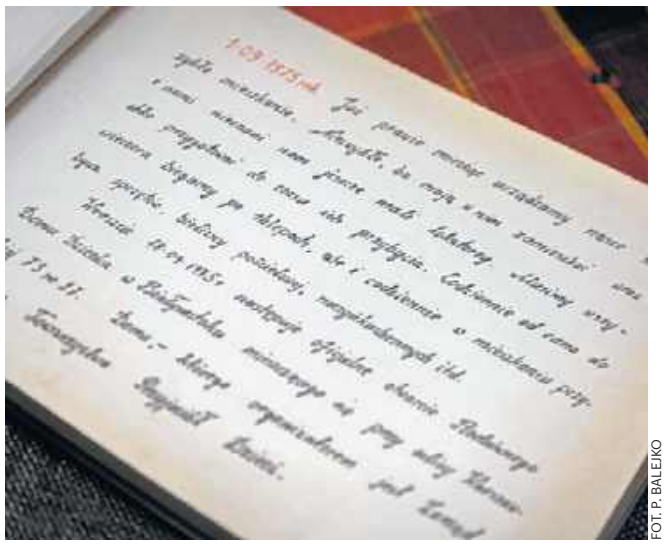
FOT. P. BALEJKO

Rodzinną kronikę założył i prowadził Tadeusz Kamiński. Wklejał tam zdjęcia z różnych rodzinnych uroczystości, a także z codziennego życia. Na fotografiach widać roześmiane buzie dziewięciorga dzieci. W kronice są też jego notatki oraz wycięte z gazet artykuły o pierwszym w województwie podlaskim rodzinnym domu dziecka

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

Życie na garnkach i w kolejkach

Janina Kamińska wstawała codziennie o godzinie czwartej, piątej rano. Musiała przecież przygotować śniadanie dla jedenastu osób!

- Mama gotowała w garnkach wielkości kotłów. Było dziewięcioro dzieci i ich dwoje, to w sumie jedenaście osób. Żeby zrobić dla każdego po trzy gołąbki, to wychodziło trzydzieści trzy... - liczy Jolanta.

A trzeba pamiętać, że to były czasy PRL-u, czyli kartki na żywność, kolejki po wszystko.

- Stało się po buty dwa dni, trzy dni, a mama musiała dziewięć par w sumie kupić - opowiada. - W ogóle to były czasy, kiedy w sklepach nic nie było. Mama musiała rano kupować dziesięć litrów mleka, czyli przynosiła do domu... dziesięć szklanych butelek.

Dzieci przychodziły z trudnym bagażem. Na początku chowały jedzenie pod poduszki, bo bały się, że zabraknie.

- Gdyby wszystko stało na stole, to puszka pasztetu na jedną kanapkę by poszła - tłumaczy Jolanta. Dlatego Janina musiała sama robić kanapki dla wszystkich.

„Moje własne dzieci nie miały taty"

Dla córek państwa Kamińskich to nie było łatwe.

- My z siostrą właściwie nie miałyśmy rodziców - przyznaje szczerze Jolanta. - My problemów nie stwarzałyśmy i starałyśmy się ich nie stwarzać, bo widziałyśmy, ile rodzice mieli na głowie.

Jej młodsza siostra bardzo to przeżywała. Cztery lata temu zmarła na raka.

Formalny wymóg mówił, że rodzice, którzy chcą prowadzić rodzinny dom dziecka, muszą mieć swoje dzieci.

- Uważam, że to nie był dobry pomysł, bo jednak my z siostrą byłyśmy pokrzywdzone - przyznaje dziś Jolanta. - Państwo dawało kieszonkowe, jakieś grosze tamtym dzieciom, i my takie same dostawałyśmy. Mamy nie było stać, żeby kupować markowe dżinsy, które wtedy były modne, to i my nie miałyśmy. Dziś nie mam żalu, wtedy w sumie też...

Ale Jolancie udało się przekształcić to doświadczenie w coś pięknego.

- Ja to taki człowiek stadny - mówi o sobie.

Mieszkała z najmłodszą Edytką w ostatnim, siódmym pokoju.

- To ja wysadzałam ją w nocy na siusianie, prowadzałam do przedszkola. Zostałam też jej matką chrzestną - uśmiecha się.

Studia, rodziny, wnuki

Tadeusz Kamiński napisał pracę magisterską pt. „Proces integracji wychowanków rodzinnego domu dziecka". Zawarł tam ważne zdanie: „Uważam jednak, że wyrazem rzeczywistego powstania wzajemnej więzi między dziećmi i ich przybranymi rodzicami będzie postawa i stosunek dzieci usamodzielnionych do domu rodzinnego. A o tym będziemy mogli się przekonać dopiero za kilkanaście lat".

Przekonał się. Tadeusz Kamiński zmarł 15 lat temu, w wieku 67 lat.

- Miał nagły zawał - wspomina Jolanta. - Ale zdążył zobaczyć, jak jego dzieci zakładają rodziny, kończą studia, rodzą im się dzieci.

Dzisiaj wychowankowie państwa Kamińskich to dojrzali ludzie z własnymi rodzinami. Najstarsza przeszła już na emeryturę - przez całe życie pracowała jako księgowa w PSS-ie. Inna skończyła studia i została nauczycielką, była nawet wicedyrektorką szkoły. Kolejna ma własną kwiaciarnię. Jeden z chłopców uczy w liceum - był jednym z najlepszych studentów. Inny mieszka w Anglii.

- Wszyscy wyszli na prostą. Bardzo znaczącą prostą! - podkreśla Jolanta. Mają domy, rodziny, pracę. - Nie ma czegoś takiego, że jakieś ich złe nawyki z przeszłości odbiły się na ich własnych rodzinach. A bardzo często tak jest, prawda? Wychodząc z trudnej rodziny, trudno jest założyć własną dobrą rodzinę. Więc w naszym rodzinnym domu dziecka, w naszej rodzinie, musiało być naprawdę mnóstwo miłości i czułości, że te dzieci po prostu zapomniały o swoim życiu w rodzinach biologicznych.

„Mój brat, moja siostra"

Do dziś wszyscy utrzymują ze sobą kontakty.

- Dzwonimy do siebie, a jedna z moich sióstr to przychodzi tutaj dosyć często, z mężem - opowiada Jolanta.

Jeden z wychowanków zaś do dziś spędza u nich wszystkie święta.

- Mówimy do siebie: brat, siostra - przyznaje Jolanta.

Kiedy Tadeusz Kamiński zmarł, to właśnie jego wychowanek dziękował na cmentarzu wszystkim za przybycie i wspominał tatę.

- To jest po prostu rodzina. Jesteśmy rodziną - powtarza Jolanta.

Kiedy najmłodsza z wychowanek miała trafić do państwowego domu dziecka - po tym, jak Janina i Tadeusz zakończyli już prowadzenie domu rodzinnego - to właśnie Jolanta się temu sprzeciwiła.

- Ja wtedy byłam akurat sama z dziećmi, z dwójką moich dzieci, bo rozstałam się z mężem i dostałam połowę tego mieszkania. Mówię: o nie, tak to nie będzie, nie po to tyle lat była w domu rodzinnym, żeby teraz do domu dziecka na końcówkę wracać. I wzięłam ją do siebie - wspomina. Dziewczyna mieszkała u niej, dopóki nie wyszła za mąż.

Mama wciąż pamięta

Janina Kamińska ma dziś problemy z pamięcią. Mieszka u Jolanty, w połowie mieszkania przy ul. Warszawskiej, gdzie wszystko się zaczęło.

Ale pewne rzeczy Janina pamięta doskonale.

- To moje kochane dzieci - mówi ciepła i empatyczna staruszka.

Niedawno córka zapytała: - O czym mamusiu myślisz?

A Janina na to: - No tak przeanalizowałam swoje całe życie, od młodości do tego czasu. I doszłam do wniosku, że dobrze wychowałam te dzieci. To moje dzieci. Czasami też martwi się: - Nic nie robię, a wy ciągle coś robicie. Coś bym może zrobiła?

Wtedy zięć mówi: - Mamuś, ty się przez życie tyle napracowałaś, tyle zrobiłaś, że ty teraz powinnaś odpoczywać.

- To bez dwóch zdań jest anioł, a nie człowiek - podkreśla Jolanta. - Ona całe życie przepracowała, żyła cały czas dla wszystkich, wszystkim wszystko zrobiła. I dlatego chyba wybrali ją na prowadzenie tego rodzinnego domu dziecka.

Wigilia dla trzydziestu osób

Teraz, gdy zbliżają się święta, Jolanta liczy: „Ja mam dwójkę dzieci i dwójkę wnuków, to jest nas pięć, sześć osób. Bożenka siedem, osiem, dziewięć, Basia dziesięć..." I tak co roku dolicza do prawie trzydziestu osób.

W tym roku Wigilia znów będzie u niej. Przyjdzie Jarek, przyjdzie Krzysiek. I inni. Tacy, dla których „mama Janina" to po prostu mama. A Jolanta - to siostra.

- Dziś, tak jak przed laty, jesteśmy razem, tylko już bez taty i mojej siostry. Ale doskonale pamiętamy święta sprzed 50 lat. Też byliśmy razem. Razem ubieraliśmy choinkę, razem gotowaliśmy gigantyczne ilości jedzenia, choć nie zawsze było z czego, ale nasza mama zawsze coś poradziła. I prezenty... Były zawsze.

Jolanta pokazuje zdjęcie:

- To chyba z pierwszej wspólnej Wigilii. Kto był Świętym Mikołajem? No przecież ja - śmieje się.

Pięćdziesiąt lat temu Janina i Tadeusz Kamińscy przyjęli do swojego domu siedmioro obcych dzieci. Dziś te dzieci mają własne domy, własne rodziny, własne dzieci i wnuki. Ale wciąż wracają do tego pierwszego domu. Bo tam był - i wciąż jest - ich dom rodzinny. W najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

– Nie chodzi o to, żeby przestać się bać, tylko żeby mimo lęku wejść w to, co ważne. To, co nieznane, prawie zawsze uruchamia lęk, więc kurczowo trzymamy się tego, co znamy, bo to daje nam poczucie bezpieczeństwa. Wyjście poza tę granicę bywa prezentem, jaki możesz zrobić sama sobie – mówi słynna francuska wokalistka Zaz

Anita Czupryn

ZAZ: PRZEZ MOMENT TO BYŁO PIEKŁO. OCALELIŚMY MIMO WSZYSTKO

„Cali i zdrowi" (Sains et saufs) – tak po polsku brzmi tytuł Twojej najnowszej płyty. Co dla Ciebie znaczy ten tytuł?
To znaczy: ocaleliśmy mimo wszystko, mimo tego, przez co musieliśmy przejść. A momentami to było piekło. Kiedy patrzę na to, co dzieje się na świecie, na to, czego doświadczamy, co obserwujemy, to chciałam też pokazać, że istnieją miejsca, do których nic, co obce, nie ma wstępu. Każdy ma w sobie przynajmniej jedno takie miejsce. To jest nasze światło.
Od nas zależy, czy je w sobie karmimy i pozwalamy mu rosnąć, czy je przygaszamy.
Chciałam też powiedzieć, że warto otaczać się ludźmi, których kochamy i lubimy, ale też takimi, którzy odnoszą się do nas z takim samym szacunkiem, z jakim my odnosimy się do nich. To, co sobie dajemy, promieniuje dalej. To nie jest tylko ładne hasło. To jest odpowiedzialność. Bo dzięki temu stajemy się naprawdę szczęśliwsi. I jeszcze jedno: nie musimy tkwić w roli ofiary. Nawet jeśli przez jakiś czas nią byliśmy, w każdym momencie możemy powiedzieć „dość" . To jest świadoma decyzja.

Kiedy ostatnio pomyślałaś: wyszliśmy z tego cało? Jaka to była sytuacja?
Właściwie cały czas mam takie poczucie. Nieustannie jestem między światłem a emocjami, które nie zawsze są przyjemne. Mam wrażenie, że życie wciąż gra tę samą sztukę: przychodzą uczucia, a ja uczę się je przyjmować. I wiem z doświadczenia, że koniec nadejdzie. I zawsze jest zmiana. Nawet szczęście podlega tej zasadzie. To część doświadczenia, które nazywamy życiem.

Jeśli Twoja płyta miałaby kogoś uratować, to przed czym?
Gdyby mogła uratować kogokolwiek przed czymkolwiek, to przekroczyłoby to moje oczekiwania. Bardzo tego sobie i innym życzę. Myślę o kimś, kto wraca do własnej mocy: do tożsamości, świadomości, sprawczości. Kto wreszcie daje sobie szansę realizować własne sny. Kto otwiera drzwi na to, co świat zewnętrzny może mu dać: wsparcie, obecność, towarzyszenie. Nie chodzi o to, żeby przestać się bać, tylko żeby mimo lęku wejść w to, co ważne. Sama właśnie tak żyję: czuję obawy, czuję strach, a jednak robię to, co robię. To bardzo ludzkie. To, co nieznane, prawie zawsze uruchamia lęk, więc kurczowo trzymamy się tego, co znamy, bo to daje nam poczucie bezpieczeństwa. Tyle że wyjście poza tę granicę bywa prezentem, jaki możesz zrobić sama sobie. Ale są też osoby, które wybierają trwanie w stanie zawieszenia, pustki.

Już po tytułach piosenek widać, że Twoja płyta jest bardzo osobista. I o tych piosenkach chciałabym porozmawiać. W utworze „Je pardonne" śpiewasz: „Wybaczam, ale pamiętam wszystko". Co więc zostaje w Twoim sercu? Czego już nie niesiesz ze sobą? Komu przebaczyłaś w tym roku i jak Cię to zmieniło?
Przede wszystkim: są rzeczy z mojego dzieciństwa, z którymi musiałam się rozprawić. I są też relacje z dorosłego życia, z którymi musiałam sobie poradzić, również związki, z których wychodziłam już jako dorosła. Oczywiście, w każdym przypadku z innych powodów, ale mechanizm często jest ten sam. W gruncie rzeczy chodzi o to, że trzeba przestać oczekiwać, że druga strona spełni nasze wyobrażenia. Że będzie taka, jakiej chcemy, żeby była, skoro nie jest. Innymi słowy: trzeba przestać dokarmiać relację, która robi się toksyczna. Bo jeśli ktoś nie chce, nie potrafi, nie jest w stanie, to dlaczego trwamy w tej niemożliwości? A potem jeszcze wypominamy tej osobie, że nie jest taka, jakiej chcemy… Tyle że samo wypominanie jedynie podtrzymuje ten stan, zasila toksyczność sytuacji. A ja potrzebuję wolności. Wiem, to łatwo powiedzieć. Ale nie jest proste. Czasem zmianę da się zrobić w głowie, ale żeby była prawdziwa, musi przejść przez ciało, przez doświadczenie, przez czas. Przez to, co jest w nas bardzo głęboko osadzone.

FOT. JAN WELTERS

Zaz: Czuję obawy, strach, a jednak robię to, co robię

W jakim języku najłatwiej przebaczasz, po francusku czy po hiszpańsku?
Chyba jednak po hiszpańsku.

Co najmocniej kojarzy Ci się z hiszpańskim dzieciństwem?
Ludzie. Pamiętam domy, do których chodziłam jako dziecko. Była tam babcia, która potrafiła na mnie krzyknąć, ale nie jak na dziecko, tylko jak na człowieka. To był jeden z pierwszych momentów, kiedy poczułam, że jestem traktowana poważnie właśnie jako ja: nie dlatego, że jestem mała, tylko dlatego, że jestem sobą. W tej relacji była też miłość i była intensywność oraz to szczególne uznanie drugiego człowieka, nawet jeśli jest dzieckiem. I może dlatego tak lubię język hiszpański: jest w nim coś z tej energii. Choć oczywiście nie tylko o to chodzi.

Kolejna piosenka, która mnie zatrzymała, to „Au pays des merveilles", co znaczy – w krainie cudów. Jaka dziś jest Twoja prywatna kraina cudów?
No właśnie, śpiewam o krainie cudów, która była iluzją. To utwór o uzależnieniach: o alkoholu, narkotykach, o różnych odmianach ucieczki. Ale podjęłam decyzję, że chcę wylądować na Ziemi. Chcę naprawdę być sobą tu, w realnym życiu. I z tego wynika, że nie szukam już mocnych sensacji w tych wszystkich substytutach. Szukam ich w sobie. A magię znajduję w rzeczywistości, bo ona jest o wiele bardziej magiczna niż świat, w którym wtedy żyłam. Tu jest więcej miłości, więcej świadomości, więcej poczucia więzi z innymi ludźmi. Na każdym kroku jest to wygrana. Wyznaczam też granice: pilnuję i kontroluję to, co kiedyś wymykało się spod mojej kontroli. To ma ogromny wpływ na moje życie, teraz, dzisiaj.

Kiedy słuchałam piosenki „Mon cœur tu es fou" (Moje serce, ty jesteś szalone), to zaciekawiło mnie, kiedy Twoje serce ostatnio zwariowało, w tym dobrym sensie?
Niedawno. Przeszłam przez trudne, złożone doświadczenie i zrozumiałam coś ważnego: nawet jeśli jest miłość, nie mogę zapominać o sobie. Mogę czuć smutek i cierpienie, ale najważniejsze jest, żebym pozostała spójna ze sobą. Żebym miała oczy otwarte na to, co mi służy, co pozwala mi dojrzewać i rosnąć. To są słowa z wiersza irańskiej poetki, która zmarła w latach sześćdziesiątych. Wtedy była uznawana za kontrowersyjną, bo mówiła o pragnieniach kobiety, a to wielu ludzi drażniło. Dla mnie ten wiersz jest zaskakująco bliski: opowiada o mojej historii, o tym, co przeżyłam. I mimo tego wszystkiego, mimo okropności, które się w moim życiu wydarzały, ja wciąż mam otwarte serce. Wciąż czuję. Mam w sobie coś, co można nazwać wiarą, ale nie w sensie religijnym: raczej jako nadzieję, oczekiwanie, zdolność tworzenia.

Ja też mocno czuję to, o czym mówisz.
Myślę, że wiele osób czuje podobnie. Dojrzewamy i widzimy, że społeczeństwo przechodzi ogromny wstrząs: na powierzchnię wychodzą wspomnienia, nawyki, to, czym nasiąkliśmy w rodzinach i kulturze. To wszystko domaga się uwolnienia i ułożenia, ale to nie dzieje się w jednej chwili.
I od naszych indywidualnych reakcji zależy, czy ta zmiana zostanie z nami na dłużej, czy będzie tylko krótkim przebłyskiem. Jesteśmy częścią wspólnoty, ale każdy przeżywa to bardzo osobiście i albo wchodzimy w rezonans z tym, co się dzieje, albo nie.

Zwykły uśmiech uratował Ci kiedyś trudny dzień?
Tak. Jak wiesz, w Paryżu jest wielu migrantów. Teraz robi się zimno i wilgotno i to jest przejmujące, kiedy widzisz, gdzie oni śpią i jak bardzo nic nie mają. Ja wracam do domu, biorę prysznic, kładę się w ciepłym łóżku; to są dla mnie rzeczy podstawowe, a dla nich nieosiągalne. Mijamy się często, już się rozpoznajemy, choć oni nie wiedzą, kim jestem. Pamiętam pierwszy raz: jeden z nich spojrzał na mnie. Nie miałam przy sobie ani gotówki, ani drobnych, żeby mu dać. Po prostu więc uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział uśmiechem, takim od ucha do ucha i posłał mi całusa. I wtedy pomyślałam, że to on zrobił mi więcej dobrego niż ja jemu.

Skoro nie wierzysz w religijnym sensie, to z kim rozmawiasz w piosence „Mój Boże"?
W tej piosence to Ziemia rozmawia z Bogiem. Spodobała mi się ta perspektywa. Tyle że w pierwotnej wersji tekstu Ziemia mówiła: „Dlaczego mnie opuściłeś?". I ja, rozmawiając z autorem tekstu, zaprotestowałam: nie, Ziemia nie może tego powiedzieć. W piosence pojawia się też zdanie: „Czekam, aż mój syn wróci". I wtedy pomyślałam o Chrystusie jako o świetle. Tylko że to światło nie ma do kogo „wrócić". To człowiek ma je ucieleśniać, każdy z nas. To nie jest czas czekania, aż przyjdzie ktoś z zewnątrz. To jest czas, żeby stać się tym, kim chcemy być. Jeśli chcesz czynić dobro. W piosence Ziemia mówi „żegnaj", ale tak naprawdę zastanówmy się, kto ją opuścił? Ludzie. Ci ludzie, którzy dokonali określonych wyborów. Jesteśmy odpowiedzialni za swoje wybory. Jeśli nie zgadzamy się na wojnę, jeśli mamy dość tych, którzy się rozpychają, żeby miażdżyć innych, to naszą odpowiedzialnością jest wejść w swoją sprawczość, w swoją moc. I o tym jest ta piosenka: Ziemia krzyczy z miłości i jedno-

eprasa.pl ea08fe165b

cześnie mówi nam: wróćcie do swojej siły. Ta zmiana dzieje się na naszych oczach. Gdybyśmy naprawdę się postarali, ona mogłaby wydarzyć się szybciej, niż nam się wydaje. Nie doceniamy ciężaru naszej zdolności tworzenia. Nie da się zmienić drugiego człowieka, ale można świadomie wybrać, kim chce się być. I to właśnie zmienia świat.

Co dziś robisz po swojemu, choć kiedyś nie miałaś na to odwagi?
Wiele rzeczy. Na przykład: kiedyś nie miałam odwagi, żeby przestać pić. Albo rzucić papierosów. Albo nawet, żeby przestać pić kawę. Może to brzmi śmiesznie, ale byłam od niej uzależniona i to chyba było dla mnie najtrudniejsze do odstawienia. Myślę, że czasem uciekamy od rzeczy, z którymi nie umiemy się zmierzyć. Dlatego śpiewam też o tym, że przychodzi moment, kiedy trzeba przestać się zwijać w kłębek po tym, co nas spotkało i wrócić do życia. Zaryzykować. Żyć naprawdę. Wracając do twojego pytania, to robię dziś wiele rzeczy, których wcześniej nie umiałam. Uczę się przebaczać. Przestaję bić się za sprawy, które mnie nie dotyczą. Mniej się tłumaczę. I próbuję nie być wobec siebie zbyt surowa, choć nie zawsze mi wychodzi. Bo kiedy przesadzam z wymaganiami wobec siebie, to czuję, jakbym raniła samą siebie. Uczę się też przyjmować emocje i to, co przynosi życie.

W piosence „Dziecko na zawsze" pytasz o to, co w Tobie z dziecka i co zostanie. Co byś odpowiedziała?
Wciąż jestem dzieckiem, czasem nastolatką, czasem dorosłą, czasem starą panną. Nasza kultura uczy nas, że mamy do odegrania różne role. A chodzi o coś innego: żeby żyć w harmonii ze sobą. W każdym wieku odkrywam w sobie coś, czego wcześniej nie znałam, ale dla mnie fundamentalne jest zachowanie w sobie tej dziecięcej części. Ta piosenka dotyka też pewnego zjawiska: gdy rodzic nie przeżyje żałoby po zmarłym dziecku, a potem rodzi się kolejne i dostaje nawet to samo imię. To wtedy takie dziecko nigdy nie zajmie swojego miejsca. Zostaje wciągnięte w rolę tamtego zmarłego dziecka. Dla mnie to utwór o zdrowieniu, o domknięciu żałoby w imieniu rodziców. Wiele dzieci umierało w mojej rodzinie, wielu moich bliskich tego doświadczyło. Dlatego ta piosenka jest dla mnie ważna. Była ważna, kiedy ją pisałam i wykonywałam po raz pierwszy i taka nadal pozostaje.

Jak pamiętasz ten moment, kiedy ktoś po raz pierwszy powiedział, że masz piękny głos?
Kiedy miałam siedem lat, wzięłam udział w radiowym konkursie w jednej z miejscowości w Bretanii, gdzie mam rodzinę. Zajęłam wtedy dwunaste miejsce. Ale ważniejsze było co innego: ludzie przyszli posłuchać, a w trakcie mojego występu zaczęli płakać. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: „O rany. To jest mocne".

Jaki obraz świąt z dzieciństwa najmocniej w Tobie siedzi?
Pamiętam, że jako dziecko bardzo chciałam dawać prezenty. Moi rodzice mieli pieniądze, ale ja nie. I wtedy zaczęłam robić prezenty po swojemu: tworzyłam mnóstwo paczuszek, a do środka wkładałam karteczkę z krótkim przekazem. Trochę jak w ciasteczku z wróżbą. Tylko tyle; chodziło o samą radość otwierania, o ten moment. Potem pod choinką roiło się od paczek, a ja byłam szczęśliwa. Czy inni też? Tego już nie wiem, ale dla mnie to był genialny pomysł. robię rzeczy powierzchownie.

Wrócę do płyty, bo jest też na niej piosenka „Bleu de la nuit", kiedy więc noc ma u ciebie kolor niebieski?
To ten granat, który pojawia się na niebie, kiedy słońce zachodzi: jeszcze jest dzień, ale już wchodzi ciemność. Ten moment trwa krótko i właśnie o tym jest ta piosenka: korzystaj z niego, dopóki jest. To też metafora. Gdzieś trwa wojna. I nagle rozumiesz, jak łatwo jest nie docenić tego, co mamy na co dzień: wolności, spokoju, zwykłych rzeczy, które wydają się normalne. Dopóki coś jest dostęp-ne, często nawet tego nie widzi-my. Dopiero kiedy to tracimy, przychodzi myśl: „Kurczę, nie umiałam tego docenić, kiedy było". Więc doceniajmy to, co mamy, takie, jakie jest.

GDZIEŚ TRWA WOJNA. I NAGLE ROZUMIESZ, JAK ŁATWO JEST NIE DOCENIĆ TEGO, CO MAMY NA CO DZIEŃ: WOLNOŚCI, SPOKOJU, ZWYKŁYCH CODZIENNYCH RZECZY

Chciałabym zapytać o Twojego tatę. Czy zostało w Tobie jakieś ważne zdanie, gest, przedmiot, coś, co do dziś nosisz po nim?
Moja relacja z tatą była bardzo, bardzo skomplikowana. Toksyczna. A jednocześnie on był niezwykle wrażliwy. I chyba właśnie dlatego to było takie trudne. Był alkoholikiem, często był zły, jakby miał w sobie kilka wersji siebie. Miał też dużo mroku w sobie. Przez długi czas niewiele widziałam z tego, kim on naprawdę jest. Tak naprawdę zaczęłam go poznawać dopiero jakieś trzy lata przed jego śmiercią. Trafił wtedy do ośrodka, do szpitala, musiał się dostosować, przestać pić. I wtedy najmocniej wyszło z niego dobro: to, że lubił się dzielić. Lubił ludzi. Lubił dawać.

W Polsce promujesz płytę. Co publiczność najszybciej chwyta na Twoich koncertach?
Myślę, że łapią moją energię. I chyba to, że jest w tym miłość do francuskiej piosenki, ale podana w nowoczesnym sznycie. Ważne są też wartości, które niosą moje teksty; one tu dobrze rezonują. W końcu wszyscy jako ludzie przechodzimy przez podobne emocje. A kiedy czujemy je razem, dzieje się coś prawdziwego: ludzie rozpoznają w moich piosenkach kawałek siebie. I dlatego do nich wracają.

Kiedy dziś myślisz: „Wracam do domu", to dokąd idziesz?
Dom to dla mnie moje psy, mój mąż, moi przyjaciele, ludzie, których kocham. Mam dom w Paryżu i w Pirenejach. Ale prawda jest taka, że czuję się u siebie we wszystkich górach. W Hiszpanii też się czuję jak w domu, tak samo w Ameryce Łacińskiej. Najbardziej u siebie jestem wtedy, kiedy jestem z ludźmi, z którymi płynie ten sam prąd, to samo porozumienie bez słów.

Wierzysz w cuda? Jakie cuda wydarzyły się w Twoim życiu?
Nie mogę opowiedzieć wszystkiego, bo ktoś mógłby uznać mnie za szaloną. Ale właściwie… co z tego. Dla mnie już samo to, że istnieję, jest cudem, w tym sensie, że wiele razy umierałam i rodziłam się na
nowo. Cuda nazywamy cuda-mi często tylko dlatego, że nie umiemy ich wyjaśnić. Brakuje nam percepcji, żeby je zobaczyć do końca. A jednak wszystko da się jakoś wytłumaczyć. Można też uznać, że wszystko jest magią: jesteśmy przecież na małej kuli pędzącej przez kosmos; gdyby zabrakło choćby jednego elementu równowagi, wszys-tko by się rozsypało. Kiedy byłam dzieckiem, miewałam wizje, które potem się spełniały. Tylko nigdy nie będę wiedziała, czy je przeczułam, czy sama je jakoś stworzyłam. I myślę, że widzę rzeczy, których inni nie widzą, ale to nie jest nic wyjątkowego: każdy z nas ma inną wrażliwość, inną antenę ustawioną na coś innego. W życiu jest trochę tak, jak w starych radiach z pokrętłem częstotliwości: kiedy ustawisz się na jakąś falę, wydarza się jedno, a kiedy trafisz na inną, dzieje się coś zupełnie innego. Kiedy byłam nastolatką, miałam wrażenie, że słyszę wszystko naraz, cały ten zakres i robił się z tego chaos. Ale przecież każdy ma jakieś doznania, intuicje, przeczucia. Nie ma sensu od razu nazywać tego szaleństwem.

REKLAMA 0011440841

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia
& Szczęśliwego Nowego Roku

HALA STRZEGOMSKA

Dziękując serdecznie Naszym Kontrahentom oraz Klientom za dotychczasową współpracę pragniemy złożyć życzenia ciepłych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia oraz samych sukcesów w Nadchodzącym Nowym Roku

Zarząd Hali Strzegomskiej we Wrocławiu

BIAŁY KAMIEŃ
★★★★
HOTEL & MEDI-SPA
ŚWIERADÓW-ZDRÓJ

Wszystkim Gościom, Współpracownikom i Przyjaciołom życzymy pełnych radości Świąt Bożego Narodzenia oraz wszelkiej pomyślności w nadchodzącym Nowym Roku

Dyrektor wraz z całym Zespołem
Hotelu & Medi-SPA Biały Kamień w Świeradowie-Zdroju

www.bialykamien.com

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

DOROTA SUMIŃSKA: TRZEBA WIEDZIEĆ, DLACZEGO POTRZEBUJEMY PSA

Jeżeli czujemy chęć uszczęśliwienia kogoś i umiemy w pełni zaakceptować odrębność gatunkową, nie wymagać od tego psa, żeby nagle stał się człowiekiem i szanował naszego Ludwika XVI, to jest okej. Natomiast, jeżeli bierzemy psa, bo sąsiad ma, bo w filmie biegał i taki mądry był, bo ma śmieszną mordkę, to w ogóle nie powinniśmy brać do siebie zwierzaka – mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt

Dorota Kowalska

Spędza pani święta ze swoimi psiakami?
Nie mam innej możliwości, bo przecież samych ich nie zostawię.

Ile ich pani teraz ma?
Teraz to już prawie ich nie mam, bo zostało mi w domu pięć psów i osiem kotów, a jeszcze sześć w budzie ogrzewanej.

I siedzą z panią w domu w święta?
A gdzie mają siedzieć?

Ale prezentów im pani nie robi?
Zwierzęta świąt nie obchodzą tak jak my, więc prezentów im nie robię, ale one czynnie uczestniczą we wszystkim, co ze świętami związane. W końca to ja u nich mieszkam, a nie one u mnie.

Gdyby zwierzęta mówiły ludzkim głosem, jak pani myśli, co by nam powiedziały w Wigilię Bożego Narodzenia?
Mamy szczęście, że nie mówią. Powiedziałyby nam prawdę, a prawda jest okrutna i bardzo bolesna. Więc całe szczęście...

A jaka jest prawda?
Prawda jest taka, że traktujemy zwierzęta gorzej niż rzeczy. Zwierzę można kupić, sprzedać, oddać, zostawić w spadku, zabić, zjeść. Wszystko można ze zwierzęciem zrobić. Uważam, że gdyby zwierzęta mówiły, byłoby o tyle dobrze, że usłyszelibyśmy prawdę, bo my tej prawdy nie przyjmujemy, my jej nie akceptujemy. Uważam, że jesteśmy hipokrytami do potęgi, a one nie są.

Czemu ma pani takie złe zdanie o właścicielach psów?
Mówię o ludziach w ogóle.

Mam wrażenie, że czasami jest wręcz odwrotnie, że właściciele psów traktują swoich pupili jak ludzi.
Bardzo bym chciała, żeby tak było, ale tak nie jest. Proszę nawet popatrzeć na słownictwo. Jak się do kogoś powie: „Ty psie" albo „Ty suko", to jak to brzmi?

Źle.
No właśnie! Uważam, że w ogóle w Polsce trzy czwarte ludzi, jeśli nie więcej, którzy mają zwierzęta, nie powinno ich mieć. W Polsce, niestety, jest za dużo zwierząt. Stąd wynika cały szereg problemów, dotyczących między innymi również psów i kotów, bo ciągle mamy jakieś debaty: łańcuchowe, niełańcuchowe. Tego by nie było, gdyby zwierząt było mniej. Wtedy mieliby te zwierzęta ci, którzy powinni je mieć. I to nie chodzi o to, żeby ktoś robił łaskę, zabierając zwierzę ze schroniska, tylko chodzi o to, żeby to był swego rodzaju zaszczyt, że można mieć psa.

Dlaczego pani uważa, że trzy czwarte właścicieli psów nie powinno ich mieć?
A proszę mi powiedzieć, skąd się biorą te ciągle rosnące ilości zwierząt w schroniskach? No skąd one się biorą? Tak się mnożą same po lasach? Biorą się z domów, z ludzkiej nieodpowiedzialności.

FOT MAREK SZAWDYN

Dorota Sumińska: Na psa trzeba zasłużyć. To nie jest byle jaka rzecz, którą sobie można wziąć, a potem oddać, bo przestała nam się podobać

PRAWDA JEST TAKA, ŻE TRAKTUJEMY ZWIERZĘTA GORZEJ NIŻ RZECZY. ZWIERZĘ MOŻNA KUPIĆ, SPRZEDAĆ, ODDAĆ, ZOSTAWIĆ W SPADKU, ZABIĆ, ZJEŚĆ

Powiem pani szczerze: sama mam psa, znam wielu właścicieli psów i uważam, że zasługują na te zwierzaki.
Każdy z nas żyje w bańce, otacza się ludźmi podobnymi sobie. Nie przyjaźniłaby się pani z człowiekiem czy nie kontaktowała z człowiekiem, który wedle pani postępowałby źle wobec zwierzęcia, prawda?

Prawda.
No właśnie! Każdy ma, mówi się, że do stu znajomych osób, a proszę zobaczyć, jak wiele ludzi żyje na naszej planecie. Więc nie zna pani mnóstwa ludzi i realiów, w jakich znajdują się zwierzęta. Zwierzęta towarzyszące, psy i koty, są w Polsce w tragicznej sytuacji. Tragicznej!

Dlaczego?
A była pani w którymś ze schronisk? Ciągle ich przybywa. Niech pani sobie pojedzie do jednego z nich i popatrzy. Niech pani sobie poczyta na ten temat. Schroniska, przygminne przytuliska, przechowalnie – bezdomność wśród zwierząt cały czas rośnie. Mamy coraz więcej zwierząt takich jak psy i koty, których nikt nie chce.

Dlaczego uważa pani, że właściciele psów, którzy je mają, traktują te zwierzęta źle? Co robią źle?
Nie mówię, że wszyscy. Też mam zwierzęta i uważam, że traktuję je dobrze. Jedna czwarta postępuje dobrze. Proszę zobaczyć, co się dzieje na prowincji, dlaczego walczymy o zdjęcie z psich szyi łańcuchów? Te psy mają przecież opiekunów. Czy powinny z nimi być? A psy w boksach metr na metr na końcu działki, na której stoi pałac, czy powinny tam być? Nie. Mamy dużą prowincję, na której psy są traktowane beznadziejnie. Chociaż są przypadki w miastach, kiedy pies jest zamykany chociażby na balkonie. Proszę pamiętać: żyjemy w naszych bańkach. Mamy znajomych, którzy mają psy, oni je kochają, my kochamy nasze psy i wydaje nam się, że cały świat taki jest. Nie jest.

Co jeszcze ludzie robią źle? Pomijam sytuacje, kiedy psy są na łańcuchach albo w bardzo małych kojcach. Myślę raczej o tych, którym wydaje się, że traktują zwierzęta dobrze.
Źle je żywią, traktują zwierzęta jak swego rodzaju zabawkę, porzucają. Przecież tak się co roku dzieje przed wakacjami czy przed większymi świętami. Zwierzęta są ciągle porzucane. Usypiają zwierzęta przed czasem, bo zaczynają im przeszkadzać. Jest cały wachlarz zachowań w stosunku do zwierzęcia gorszych niż w stosunku do rzeczy.

A wydawałoby się, że świadomość rośnie i stosunek do zwierząt się zmienia.
To jest świadomość wirtualna. Wszyscy kochają zwierzęta w internecie, na różnych forach – tam miłość do psów czy kotów kwitnie. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Dlaczego? Jak pani myśli?
Dlaczego tak jest? Dlatego, że zwierząt jest za dużo i każdy może mieć psa lub kota. Tylko dlatego, to jest to, co powiedziałam na początku. Trzeba radykalnie zmniejszyć populację zwierząt. Jest to możliwe wyłącznie poprzez obligatoryjną kastrację psów i kotów nieprzeznaczonych do reprodukcji. Dopóki się tego nie zrobi, dopóty będzie coraz gorzej, bo zwierząt będzie coraz więcej.

Uważa pani, że ludzie nie powinni mieć zwierząt, bo za mało wiedzą? Bo im za łatwo przeszły? Złe traktowanie psów i kotów to, pani zdaniem, intencjonalne zachowanie, czy wynika z braku wiedzy właśnie?
Myślę, że to wynika przede wszystkim z niewiedzy, niepoznania przyczyny, dla jakiej chcemy mieć psa czy kota. Bo po co mamy mieć psa lub kota? Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani ma psa?

Córka chciała mieć psa, dzisiaj jest osobą dorosłą, wyprowadziła się z domu, a pies został z rodzicami.
I to był jedyny powód?

Nie, chciałam mieć psiaka, dać mu dom i trochę radości. I wydaje mi się, że jestem całkiem dobrą właścicielką.
Nie wątpię w to. Trzeba wiedzieć, jaki jest powód, dla jakiego potrzebujemy psa. Tak swoją drogą, mam, niestety, podobne zdanie na temat dzieci. Uważam, że bardzo dużo ludzi, którzy mają dzieci, nie powinno ich mieć. Jedynym powodem, dla jakiego mamy potrzebować psa, jest chęć uszczęśliwienia kogoś. Inne powody nie są ważne. Liczy się wyłącznie chęć uszczęśliwienia jakiejś istoty.

Czyli tego psa.
Czyli tego psa, bo to jest ktoś. To jest pies! Jeżeli czujemy chęć uszczęśliwienia kogoś i umiemy w pełni zaakceptować odrębność gatunkową, nie wymagać od tego psa, żeby nagle stał się człowiekiem i szanował naszego Ludwika XVI, czyli biurko stojące w roku pokoju, czy nasz dywan perski, to jest okej. Natomiast jeżeli bierzemy psa, bo sąsiad ma, bo w filmie biegał i taki mądry był, bo ma ładny kolor, bo ma śmieszną mordkę, to w ogóle nie powinniśmy brać do siebie zwierzaka. Jeżeli ktoś ma dzieci, bo wymyślił sobie, że jego pociecha zostanie prezy-

eprasa.pl ea08fe165b

dentem Stanów Zjednoczonych, to lepiej niech tego dziecka nie ma w ogóle.

Bardzo wiele osób bierze psa, bo chce się kimś zaopiekować, chce chodzić na spacery.
Czyli po prostu kogoś uszczęśliwić, chce się zaopiekować, chce dać szczęście komuś i cieszyć się tym. Największym szczęściem człowieka jest móc uszczęśliwić kogoś innego i poczuć to po prostu.

Pani zdaniem, większość osób bierze zwierzaki myśląc wyłącznie o sobie?
Tak. Jestem o tym przekonana.

To taka średnio świąteczna rozmowa, bo wychodzi na to, że ludzie są bardzo źli.
Bo jesteśmy bardzo źli. Mam jak najgorsze zdanie o ludzkości. Jak najgorsze! Im jestem starsza, tym gorsze.

Zwierzaki są od nas lepsze.
Bezwzględnie. Są bardziej prostolinijne. Uważam, że sztandarem ludzkości, całej ludzkości, bez względu na szerokość geograficzną, jest hipokryzja, wspomniałam już o tym. Jesteśmy do bólu hipokrytami i uczymy tego nasze dzieci.

Czym się nasza hipokryzja objawia?
A tym, że świnki się cieszą, jak synek je parówkę.

Jak sprawić, żeby psy trafiały tylko do tych, którzy rzeczywiście chcą tego psa posiadać, opiekować się nim? Robić im testy?
Oczywiście, w bardzo wielu krajach już tak jest i nie ma bezdomności. Na psa trzeba zasłużyć. To nie jest byle jaka rzecz, którą sobie można wziąć, a potem oddać.

Czyli co? Testy? Co jeszcze?
Pierwsza rzecz, mówiłam już o tym, jeśli psów i kotów będzie mało, to łatwo będzie można wyselekcjonować ludzi, którzy naprawdę potrzebują psa i których pies potrzebuje, bo musimy na tę sytuację patrzeć ze strony czworonoga. W Holandii trzeba przejść specjalny kurs i test, jeżeli się chce być opiekunem psa. Tam nie jest się właścicielem, tylko opiekunem psiaka i trzeba nauczyć się tego, jak być dobrym opiekunem. Tak jest bodaj w niektórych landach Niemiec, w Holandii na pewno i nie ma tam bezdomnych zwierząt.

Koleżanka chciała adoptować doga niemieckiego z fundacji. Zanim do tego doszło, przyjechała do niej pani z tej fundacji, wypytała ją, obejrzała mieszkanie, a raczej dom. Zobaczyła, ile ma miejsca – to nie było tak, że ona chce doga i go bierze, bardzo dobrze ją sprawdzono. Więc w Polsce też pewne rzeczy się zmieniają.
Ale to, że pani koleżankę sprawdzono, do niczego jej nie obliguje. To bardzo dobrze, że tak robią w schroniskach, nie wszędzie oczywiście. Tylko sam fakt, że ta pani chciała wziąć doga niemieckiego, byłoby dla mnie podejrzane.

A dlaczego?
A dlaczego nie kundelka?

Bo chciała doga.
Ano właśnie! Rasowe psy są rozchwytywane, kolejki się po nie ustawiają. A te bidy wszystkie mrą w schroniskach w strasznych warunkach i z rozdartym sercem.

Uważa pani, że jeżeli ktoś chce mieć psa z rodowodem, psa rasowego, to źle o nim świadczy?
Tak, źle o nim świadczy, dlatego że to czysty przejaw rasizmu. Świadczyłoby dobrze, gdyby nie było innych psów niż rasowe. Nie mam pretensji do rasowych psów. To nie ich wina, że są rasowe. Natomiast w momencie, w którym mamy miliony zwierząt, które nie są rasowe i których nikt nie chce, które cierpią tak samo, jak każdy pies, bo w środku to jest ten sam pies – to jest nie w porządku. Czy on jest takiego, czy innego koloru, czy ma taką, czy inną twarz – to jest ten sam pies. W ogóle nie powinno nikomu przychodzić do głowy kupowanie czy branie rasowców, bo na rasowce zawsze jest popyt. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby na świecie były same rasowe psy i nikt nie cierpiał. Chodzi o to, że najpierw musimy uporządkować to, co mamy, a sytuacja zwierząt, które nazywamy swoimi najlepszymi przyjaciółmi, jest tragiczna. Tragiczna! Kiedy w schronisku pojawia się rasowy pies, telefon dzwoni bez przerwy, urywa się. A tam jest mnóstwo innych cudownych psów, które nie są rasowe, są za to stare albo chore. Dlatego mam same stare i chore zwierzaki. Całe życie mam tabun psów okaleczonych przez ludzi, których nikt nie chciał. Właśnie z tego powodu, że wiem, iż nikt ich nie weźmie. Więc ja je biorę.

W schroniskach rzeczywiście cały czas przybywa zwierząt?
Tak, jest ich coraz więcej. Schroniska rosną jak grzyby po deszczu. Proszę pani, na schronisku można zarobić ogromne pieniądze.

To znaczy?
To znaczy – można zarobić. Nie pamiętam, w którym roku jedno z większych polskich schronisk miało rocznego przychodu chyba kilkanaście milionów złotych. Wystarczy założyć schronisko, podpisać umowy z wieloma gminami, umówić się na dniówki, jakie gmina płaci na psa złapanego na terenie. Te dniówki oczywiście są dość spore, bo to pięćdziesiąt do stu złotych dziennie. Jak pani będzie miała tysiąc psów w schronisku, to proszę sobie obliczyć, ile pani będzie zarabiać.

Te schroniska powstają z tego powodu, że tak jak pani powiedziała, coraz więcej psów do nich trafia, tak?
I z tego powodu, że można na tym zarobić, bo każdy może założyć schronisko. Pani też. Ja też. Każdy. Trzeba mieć tylko kawałek ziemi, ale nie trzeba mieć żadnych uprawnień. A poza tym byłoby najlepiej, żeby schronisk nie było.

Więc liczba psów i kotów cały czas w Polsce rośnie?
Cały czas rośnie, bo obok tego idzie produkcja psów rasowych. Ludzie kupują bardzo dużo zwierząt.

Czemu nikt nie próbuje czegoś z tym zrobić?
Cały czas o tym myślimy, od dwudziestu lat. Fundacja Karuna stworzyła program, który nazywa się „Kastrujemy bezdomność". Niestety, nie ma woli politycznej, żeby taką kastrację przeprowadzać obowiązkowo. Dlaczego? Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt – im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy poubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała rzesza instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze.

Jak pani myśli, co by nam te zwierzęta powiedziały oprócz tego, że jesteśmy źli?
Powiedziałyby nam, że jesteśmy potworami, że tak potwornego gatunku jeszcze nie widziały.

I mimo wszystko nas kochają, czy nie?
Oczywiście, że kochają. One są jak bite dziecko, jak dziecko z patologicznej rodziny, które kocha swoich rodziców mimo wszystko. One nie mają wyboru. Ich nikt o nic nie pyta. Nie mamy świadomości, że nawet będąc najlepszym dla swojego psa, jesteśmy tylko właścicielem niewolnika. Decydujemy o wszystkim w życiu tego zwierzęcia. On jest absolutnym niewolnikiem. Decydujemy często nawet o godzinie jego śmierci. O tym, co je, kiedy wychodzi, gdzie chodzi, co robi. Więc skoro już doprowadziliśmy do tego, że mamy takich niewolników, którym deklarujemy swoje uczucia, to niech to niewolnictwo będzie lżejsze. A najgorszy rodzaj niewolnictwa jest za kratkami schronisk.

REKLAMA 0011447004

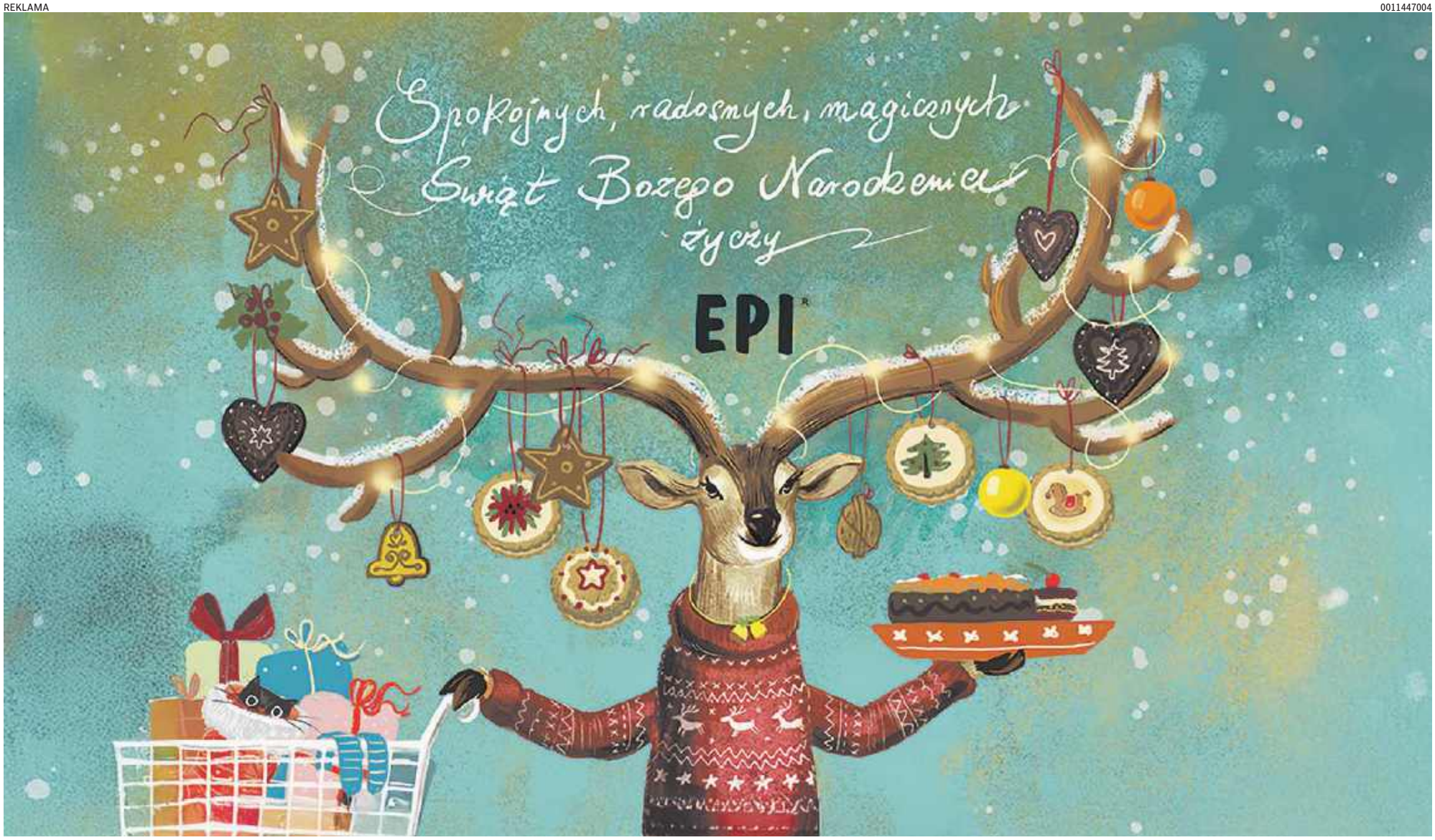

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

JUBILERZY LUKSUSOWYCH AUT

Jedyne, z charakterem, zjawiskowe – takie samochody powstają w firm

Jacek Drost

Falcon, czyli Sokół, który powstał w firmie Carlex z Czechowic-Dziedzic, specjalizującej się w projektowaniu i produkcji unikalnych wnętrz do samochodów, jest jedyny na świecie, niepowtarzalny, nie do podrobienia. Gdyby chcieć go także scharakteryzować jednym słowem, należałoby powiedzieć - zjawiskowy. Bo jak nazwać Mercedesa-Benza G 63 AMG z 4-litrowym silnikiem V8 z turbodoładowaniem o mocy 577 KM, którego kabina została przeprojektowana i wykończona patynowaną skórą - miękką, pachnącą i delikatną w dotyku, którego elementy dekoracyjne zostały wykonane ze srebra, a lakier mieni się w oku, gdyż został wzbogacony kilogramem pyłu diamentowego, zaś na jego dachu znajduje się piękna, ręcznie grawerowana płaskorzeźba z wizerunkiem sokoła i podkreślonymi subtelnymi akcentami złota na polerowanym metalu - rzemieślnicy pracowali nad nim ponad trzy lata, codziennie po osiem godzin, detal po detalu.

Falcon to ze smakiem oszlifowany diament, popis rzemieślniczego, a może raczej artystycznego kunsztu, motoryzacyjne (ale nie tylko) dzieło sztuki. Doskonale przemyślane, precyzyjnie zaprojektowane, starannie wykonane.

Falcona kupił pewien bogaty szejk ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, chodzą słuchy, że sam król - miłośnik sokolnictwa, broni i drogich samochodów. Zapłacił za niego 2 mln euro, czyli ponad 10 mln zł...

- Falcon to historia, w której bardzo została doceniona nasza praca. Sprzedaliśmy go zaledwie trzy tygodnie po prezentacji, za cenę, jaką podaliśmy, bez żadnych negocjacji. To było takie fajne docenienie całego naszego wkładu intelektualnego, projektowego, rzemieślniczego w ten projekt. Zobaczyliśmy, że świat jest mały, że jak jest coś naprawdę dobre, to ludzie potrafią to docenić - opowiada Damian Skotnicki, założyciel i dyrektor generalny Carlex Vehicles.

Sokół był wyzwaniem

Pierwsze, co się rzuca w oczy, kiedy przekraczamy próg czechowickiej siedziby Carlexu, to dwa mercedesy klasy G, pięknie i ze smakiem zmodyfikowane, oraz wypreparowana wielka głowa krokodyla leżąca na czarnym, masywnym stole. Wśród ciemnych mebli i ścian połyskują elementy samochodów - kierownice, kołpaki nadkola, jakieś narzędzia, pamiątki pewnie z podróży do bardziej i mniej egzotycznych krain. Tu nie ma przypadku, wszystko jest na swoim miejscu, pięknie wyeksponowane, klimatycznie oświetlone. Człowiek ma wrażenie, że znajduje się w czymś pomiędzy salonem samochodowym, pracownią jubilerską, sklepem kolonialnym, studiem projektowym a wystawą w galerii.

Kiedy siedzimy w skórzanych stylowych głębokich fotelach przy równie stylowym stole w mniej oficjalnej części Carlexu, Damian Skotnicki spokojnie, z namysłem i precyzją opowiada o filozofii firmy, przeszłości, planach na przyszłość.

Przyznaje, że Falcon był dla Carlexu wyzwaniem. Chcieli stworzyć nowy samochód o kolekcjonerskiej wartości, pokazać zaawansowane rzemiosło najwyższej jakości, coś zupełnie nowego, innego. Nie chcieli iść utartym śladem większości tunerów wypuszczających krótkie serie, ale postanowili zrobić coś zupełnie niepowtarzalnego.

- Chcieliśmy stworzyć na G klasie taki niedościgniony wzór, żeby nie dało się go podrobić, skopiować, bo bardzo dużo jest w tej chwili kopii na rynku automotive. Codziennie się z tym spotykamy, borykamy - mówi Damian Skotnicki.

Ich wysiłek został zauważony i doceniony. Cena, za jaką sprzedali Falcona, była prawdopodobnie najwyższa w historii G klasy. O Carlexie już wcześniej rozpisywały się światowe media motoryzacyjne, ale po Falconie zrobiło się głośno na arabskich forach internetowych.

- Otrzymaliśmy bardzo pochlebne recenzje i poszliśmy za ciosem. Zawęziliśmy całkowicie nasze portfolio. Postanowiliśmy tworzyć najbardziej kolekcjonerskie G klasy na świecie, One of One, unikalne, krótkie serie dla różnych lifestylowych dziedzin życia, bo jedni kochają sokolnictwo, inni jachting, ktoś konie, ktoś wikingów i mitologię nordycką, więc tematów do tego, żeby opowiadać różne ciekawe historie na bazie samochodów G klasy, jest mnóstwo - mówi Damian Skotnicki.

Do realizacji swoich wizji wybrał mercedesa G klasy, gdyż ma on charakterystyczny, klasyczny wygląd, jego bryła na przestrzeni ostatnich 50 lat praktycznie się nie zmieniła, została tylko delikatnie unowocześniona, więc doskonale nadaje się do tworzenia ponadczasowego designu.

- Tak naprawdę pierwotną bryłę G klasy jeszcze uwstecznilismy do lat 50. Według mnie, w motoryzacji, jeśli chodzi o design, to był najpiękniejszy okres. Czasy, które się nie powtórzą. Wtedy producenci aut koncentrowali się głównie na wyglądzie. Kwestie bezpieczeństwa i różne inne ważne rzeczy grające obecnie pierwsze skrzypce, jak emisja spalin, były mniej ważne. Teraz o tym, jak wyglądają auta, decydują księgowi. Wtedy tak nie było i te auta były naprawdę piękne - dzieli się swoimi przemyśleniami Damian Skotnicki.

Podkreśla, że na tym, iż bryła G klasy nie zmienia się od lat, Carlex skorzystał. Zaprojektowali nowe wnętrze, kolory, felgi, nadkola, zderzaki. W efekcie zbudowali samochód, który wygląda jak klasyk, auto zabytkowe, ale pod tym wyglądem kryje się w pełni nowoczesne bezpieczne auto do codziennego użytku, z ponadczasowym designem - można nim jeździć przez dziesięciolecia, a ono cały czas będzie wyglądało aktualnie i dobrze.

One of One

- Pomyślałem, że nikt tak nie robił, nikt nie działał w ten sposób i jest to niezła droga, żeby Carlex stał się bardziej rozpoznawalny na świecie ze względu na ten jeden model samochodu - mercedesa G klasy - opowiada właściciel Carlexu.

Po sprzedaży Falcona w firmie trwała dyskusja, jaką Carlex powinien obrać drogę, w którym kierunku pójść. Ostatecznie zdecydowali się na śmiałe rozwiązanie, niewiele firm by się na coś takiego odważyło. Ze swojego portfolio usunęli wszystkie dotychczasowe realizacje, zostawiając tylko mercedesy G klasy.

- Postanowiliśmy tworzyć samochody eleganckie, nie konkurować ze wszystkimi tunerami robiącymi auta coraz bardziej muskularne i jaskrawe, tylko pójść zupełnie inną, swoją drogą. Zająć się tylko projektami One of One. Takich samochodów nie da się zrobić dużo, co najwyżej jeden rocznie.

Uznaliśmy także, że efekt niedostępności będzie czymś, co będzie naturalnie wzmacniało zapotrzebowanie na takie auta kolekcjonerskie. To się właśnie dzieje w Carlexie od półtora roku. Kupujemy G klasy, budujemy samochody, doposażamy je w nasze pakiety i sprzedajemy. Carlex stał się takim domem rzemiosła motoryzacyjnego. Wokół tego chcemy budować aurę tej firmy - opowiada Dawid Skotnicki.

Skromne początki

Wszystko zaczęło się gdzieś w drugiej połowie minionej dekady, kiedy to Damian Skotnicki, miłośnik motoryzacji, student grafiki na wydziale Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, jednocześnie zajmował się sprzedażą drogiej armatury. Na co dzień miał do czynienia z zamożnymi klientami, widział, jakie mają domy, jak wypoczywają, jakimi jeżdżą samochodami, więc już wtedy zaczął myśleć o swoim biznesie. Pomysł miał nietuzinkowy i wcale niegwarantujący sukcesu - ulepszanie samochodów, którymi jeżdżą zamożni ludzie. Idea wzięła się stąd, że - jak tłumaczył Damian Skotnicki w jednym z wywiadów - rynek jest nasycony różnymi porównywalnymi produktami, tymczasem żyjemy w czasach indywidualizmu, produkty unikalne, indywidualnie zaprojektowane i wykonane z doskonałej jakości materiałów coraz bardziej przyciągają klientów, którzy chcą się poczuć wyjątkowo. Damian Skotnicki dyplomu cieszyńskiej uczelni nie zdobył, ale w 2008 r. założył wraz z żoną Roksaną firmę Carlex Design.

- Nasi rodzice prowadzili własne firmy, które budowali od zera. Na co dzień obserwowaliśmy ich zmagania i w pewnym sensie ten model życia wrósł w naszą świadomość, stając się oczywistym. Zaczynając wspólne, dorosłe życie, wiedzieliśmy, że chcemy prowadzić własny biznes i że chcemy, aby praca była dla nas nie tylko źródłem dochodu, ale również łączyła nasze zainteresowania: dobry design i motoryzację - opowiada Damian Skotnicki.

Motywacją dla właścicieli Carlex Design była także

Dwa najnowsze mercedesy klasy G, które ostatnio przeszły metar planie piękna Himalaya

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

W samochodach Carlexu każdy detal jest przemyślany, starannie wykonany

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Carlex to firma o światowej renomie

eprasa.pl ea08fe165b

T, CZYLI SOKÓŁ LECI DO SZEJKA

ie Carlex Vehicle z Czechowic-Dziedzic Roksany i Damiana Skotnickich

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

morfozę w Carlexie. Na pierwszym

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Damian Skotnicki – założyciel i dyrektor generalny Carlex Vehicles

był 2007 rok, w tym roku obchodzimy więc 18. Po jakichś dwóch latach doszliśmy do wniosku, że obszywać tapicerki ze skóry to każdy może - lepiej lub gorzej, zakładów tapicerskich w Polsce są tysiące, przestało nas to bawić, więc poszliśmy bardziej w projektowanie i szukanie ciekawszych rozwiązań - mówi Damian Skotnicki.

Pierwszym luksusowym autem, które przeszło metamorfozę, był mercedes klasy S.

- To miał być prezent dla pewnej głowy państwa. Musieliśmy m.in. pozłocić wszystkie metalowe elementy we wnętrzu auta i na suficie wyhaftować 99 imion Allaha - opowiadała dziennikarzowi Roksana Skotnicka.

Na rozwój firmy wpływ miała realizacja samochodu mini countryman w stylu steampunk. Kiedy opublikowali zdjęcia i film z procesu powstawania pojazdu, czołowe media motoryzacyjne zaczęły pisać o Carlex Design.

- Projekt zrobił ogromne wrażenie na całym świecie. Zaczęło nam wtedy przybywać klientów i ofert współpracy biznesowej - opowiadali Skotniccy.

Zaczęli przerabiać wnętrza do takich luksusowych aut jak: porsche, aston martin, bmw, mercedes, rolls-royce, lamborghini, ford czy mini. To także oni nadali szczególnego charakteru fiatowi 126p, którego parę lat temu bielszczanie sprezentowali znanemu aktorowi Tomowi Hanksowi. W ostatnim czasie postanowili skupić się tylko na mercedesach klasy G.

- Nie znam takich, którzy są najlepsi we wszystkim, więc my postanowiliśmy być najlepsi w G klasach; taką niedoścignioną firmą, jeśli chodzi o ten model samochodu, która będzie wyznaczała nowe granice, ale to musimy mieć na to czas, spokój, robić to bez pośpiechu - opowiada właściciel Carlexu.

baczna obserwacja rynku motoryzacyjnego. Producenci samochodów przykładają więcej wagi do zewnętrznego designu samochodów, osiągów czy bezpieczeństwa niż do estetyki wnętrz. Dostrzegli w tym interesującą niszę, w której zdecydowali się rozwinąć.

Pierwsze zlecenie dotyczyło forda sierry, w którym odpadała podsufitka. Usterka została szybko naprawiona, przy okazji zapuszczony samochód został poddany lekkiej metamorfozie, a jego zadowolona właścicielka poleciła firmę czterem następnym klientom.

Na podbój świata

- Zorientowałem się, iż są ludzie, którzy mają głębsze potrzeby niż tylko zakup samochodu. Chcieliby mieć indywidualne wnętrze w aucie. Postanowiliśmy więc założyć szwalnię, która będzie szyła wnętrza do samochodów ze skóry. To

REKLAMA 0011450219

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

GDY LEKARZE MÓWILI: „NIE MA SZANS", MY UCZYLIŚMY SIĘ KOCHAĆ JĄ JESZCZE MOCNIEJ

Nawet gdy usłyszałam, że moje dziecko może nie przeżyć, nie potrafiłam zrezygnować z nadziei. Róża przyszła na świat wbrew przewidywaniom lekarzy i od pierwszej chwili uczy nas, czym jest prawdziwa siła, odwaga i wartość życia.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Są takie historie, które rodzą się z miłości – najprostszej, najbardziej cichej, a jednocześnie najsilniejszej. Historie, których nikt nie planuje, a które potrafią odmienić całe życie. Tak właśnie zaczęła się nasza droga – moja i mojej córeczki Róży.

Między nadzieją a wyrokiem

Kiedy zobaczyłam Arka po raz pierwszy, miałam 21 lat. Spodobał mi się, od razu między nami zaiskrzyło. Kilka lat później byliśmy już małżeństwem, pełni marzeń i pięknych planów. Chcieliśmy być razem, wychowywać dzieci. Wszystko układało się cudownie: mieliśmy dobrą pracę, zaczęliśmy się starać o dziecko. Udało się. Ciąża była wspaniała, poród poszedł dobrze, na świat przyszedł nasz syn. Byliśmy szczęśliwi tak bardzo, że wydawało nam się, że nic złego nie może nas spotkać. A ponieważ marzyliśmy o dużej rodzinie, szybko pomyśleliśmy o drugim dziecku – może tym razem o dziewczynce. Ten plan również się powiódł.

W 12. tygodniu ciąży lekarz, robiąc USG, powiedział, że dziecko ma niedomknięte powłoki brzuszne. Uspokoił nas jednak, że do 15. tygodnia wszystko może się jeszcze samo naprawić. Zaproponowano mi amniopunkcję, ale odmówiłam. Wiedziałam, że jej wynik nie zmieni mojej decyzji – chciałam urodzić to dziecko. Bałam się też, że badanie może mu zaszkodzić.

Około 15. tygodnia trafiliśmy do świetnego specjalisty. Powiedział, że nasze dziecko ma wytrzewienie jelit, ale rokowania są dobre, przeżywalność wysoka, że mamy być spokojni. Wtedy Arek zapytał go o rączki i nóżki naszej córeczki. Ich ułożenie wydało mu się dziwne, zbyt wyprostowane. Lekarz stwierdził, że to naturalne, że dzieci w brzuchu miewają różne pozycje, i że nie widzi żadnych innych wad.

Dwa dni później mieliśmy wizytę w szpitalu. Pani doktor długo mnie badała, czułam, jak zaczyna we mnie rosnąć lęk. A potem odłożyła głowicę, spojrzała na mnie i powiedziała, że nie ma dobrych wieści. Dziecko ma nie tylko wytrzewienie, ale także wady rąk i nóg. Wspomniała, że to postępujące wielowadzie i że prawdopodobnie nasze dziecko nie przeżyje. A potem dodała, że do 24. tygodnia mogę dokonać terminacji.

Po raz pierwszy usłyszałam słowo „terminacja". Brzmiało jak „eksterminacja", jak coś okrutnego, nieludzkiego. Zapytałam, dlaczego miałabym „terminować" ciążę? Lekarka zaoferowała, że zawoła kierowniczkę oddziału, żeby porozmawiać ze mną o aborcji. Wstałam. Powiedziałam, że to niemożliwe, przecież dopiero co dowiedziałam się, że coś jest nie tak, a teraz mam decydować o zabiciu własnego dziecka? Nigdy się na to nie godzę. Wyszłam i zadzwoniłam do męża. Powiedziałam, że musimy szukać kolejnej opinii. Nie mogło być tak, że dwa dni wcześniej słyszymy o prawie zdrowym dziecku, a dziś o tym, że nie przeżyje.

FOT. WOJCIECH MATUSIK

Nic z tego, co mówili lekarze, się nie sprawdziło. 14-letnia dziś Róża nie jest „ekstremalnie chora". Świetnie się rozwija.

Pojechałam do Warszawy, do znakomitego patologa ciąży. Powiedział, że najprawdopodobniej jakiś wirus w pierwszych tygodniach uszkodził rozwijające się maleństwo. A potem padło zdanie, którego nigdy nie zapomnę: „Daję pani stuprocentową gwarancję, że urodzi pani ekstremalnie chore dziecko. Ja bym tej ciąży nie kontynuował".

Wtedy poczułam, jakby zgasło światło, jakby zawalił się świat.

Co dwa tygodnie jeździliśmy na kontrole – wytrzewienie wymagało ciągłego monitorowania. I za każdym razem słyszeliśmy to samo: że mamy jeszcze czas, by legalnie przerwać ciążę. Nikt nie przyjmował do wiadomości, że my nie chcemy jej zakończyć. Chcieliśmy urodzić to dziecko. Jeśli miałoby umrzeć – chcieliśmy je pochować z godnością. Gdyby jednak przeżyło – chcieliśmy mu dać dom pełen miłości.

Tymczasem nawet bliscy mówili, że skazujemy siebie i rodzinę na cierpienie, że to nieodpowiedzialne, egoistyczne. Brakowało mi choć jednej osoby, która powiedziałaby: robisz dobrze, to właściwa decyzja.

Jedna lekarka powiedziała nam, że jeśli teraz dokonamy aborcji, za trzy miesiące możemy starać się o zdrowe dziecko. To zabrzmiało dla mnie okrutnie. Zapytałam, czy gdyby jej synek uległ wypadkowi i stał się niepełnosprawny, zdecydowałaby się na jego eutanazję? Czym różni się dziecko, które już się urodziło, od tego, które jeszcze jest pod sercem?

Nie chciałam decydować o życiu drugiego człowieka. A jednocześnie czułam, jakby każdy chciał wymusić na mnie decyzję o terminacji, bo skoro chore, to najlepiej usunąć. Mimo wszystko miałam w sobie iskierkę nadziei, że może jednak będzie dobrze.

Wiara zamiast lęku

Wtedy usłyszałam o pasku świętego Dominika – dla kobiet, które starają się o dziecko albo noszą pod sercem chore maleństwo. Pojechałam do sióstr dominikanek. Jedna z nich zapytała, jaki mamy problem, i powiedziała, że cały zakon będzie modlił się za naszą córkę. Dała mi różaniec z drzewa różanego i powiedziała, że Pan Bóg ma zawsze swój plan, a my powinniśmy się cieszyć, że możemy być jego częścią. I że na pewno nie zostawi nas samych.

Tak zaczęła się nasza piękna, choć trudna droga wiary przez ten najcięższy okres naszego życia.

Lekarze powtarzali, że nie wiadomo, czy dziecko w ogóle się urodzi, a jeśli tak, to pewnie umrze zaraz po porodzie, bo Róża nie poruszała ani nóżkami, ani rączkami tylko lekko tułowiem. A ja wciąż miałam w sobie tę maleńką iskierkę, która nie pozwalała mi się poddać. Myślałam, że może jednak będzie lepiej, może lekarze się mylą.

Około 28. tygodnia ciąży, na kolejnym badaniu USG, zobaczyliśmy, jak Róża poruszyła dużym palcem u stopy. To był drobiazg, ledwie ruch, ale dla nas – cud. Ucieszyliśmy się, bo skoro rusza palcem, to znaczy, że nie jest sparaliżowana. Że jest czucie. Że jest nadzieja.

W 36. tygodniu nagle przestałam czuć jej ruchy. Zrobiło mi się zimno ze strachu, wiedziałam, że coś jest nie tak. Pojechałam do szpitala, zabrano mnie na USG. Okazało się, że rozwija się stan zapalny, zanikały oznaki życia mojej córeczki i trzeba było natychmiast wykonać cesarskie cięcie.

Zadzwoniłam do Arka, prosząc, żeby przyjechał. Usłyszała to pani doktor i powiedziała: „Po co mąż ma przyjeżdżać? Przecież nie wiadomo, co się urodzi. Nie ma potrzeby, żeby przy tym był".

To zdanie, że nie wiadomo, co się urodzi, prawie odebrało mi oddech, a wraz z nim całą nadzieję…

Kiedy lekarz wykonał cesarskie cięcie, spojrzał na naszą córeczkę i rzucił: „Och, jakie dystroficzne dziecko!". Zabolało tak, jakby ktoś wbijał we mnie kolejne igły.

Róża została od razu przewieziona do dziecięcego szpitala uniwersyteckiego, gdzie wspaniali chirurdzy jeszcze tego samego wieczoru zaopatrzyli jej jelita. I uratowali życie.

Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, wyglądała zupełnie normalnie. Tylko rączki i nóżki miała charakterystycznie wyprostowane.

Dowiedzieliśmy się, że oprócz wytrzewienia jelit Róża cierpi na nieuleczalną chorobę – artrogrypozę. Jej mięśnie się nie wykształciły i stawy wtórnie zesztywniały, dlatego miała przeprosty.

Zaczęliśmy szukać pomocy na całym świecie. Byliśmy w Niemczech, konsultowaliśmy ją ze specjalistami z Włoch, Chin, Izraela, Stanów Zjednoczonych. Ale wszędzie trafialiśmy na mur.

Od walki do radości

Po trzech latach dotarło do nas, że artrogrypoza naprawdę jest nieuleczalna. W Prokocimiu trafiliśmy jednak na fantastycznego lekarza, który specjalizuje się w tej chorobie. Powiedział, że takie dzieci jak Róża są niezwykle inteligentne, i że wszystko może iść w dobrą stronę.

Początki były trudne: gipsowanie stóp, kilka operacji, które Róża musiała przejść, żeby kiedyś móc chodzić.

Jeden z lekarzy powiedział nam, że najlepszą terapią dla naszej córki będzie rodzeństwo. I rzeczywiście – ma dziś dwie młodsze, zdrowe siostry, cudowne i pełne miłości. To one ją motywowały, zachęcały, ciągnęły do zabawy, do ruchu, do stawania na nogi.

Przełom nastąpił, gdy Róża trafiła na basen. Znaleźliśmy trenera, który uczy pływać dzieci z niepełnosprawnościami. Niesamowity człowiek z ogromną pasją. Róża z rehabilitacji wodnej przeszła na pływanie sportowe. Zaczęła trenować coraz częściej i startować w zawodach ogólnopolskich, zdobywając medale.

Nic z tego, co mówili lekarze, się nie sprawdziło. 14-letnia dziś Róża nie jest „ekstremalnie chora". Świetnie się rozwija. Jest tak inteligentna, tak bystra, że czasem nie możemy wyjść z podziwu. Czuję, że to zaszczyt móc iść razem z nią tą niezwykłą drogą. Cieszymy się z każdego jej małego kroku. Dosłownie i w przenośni.

Gdybyśmy dziś jeszcze raz stanęli przed decyzją: usunąć czy urodzić nasze dziecko, nie zawahalibyśmy się ani przez chwilę. Podjęlibyśmy dokładnie tę samą decyzję, z tą samą wiarą i zaufaniem. Jesteśmy szczęśliwi, że mamy taką córkę – wyjątkową, mądrą, dzielną. I nie zmienilibyśmy w naszym życiu absolutnie nic.

Róża pokazała nam, czym naprawdę jest piękno życia. Nauczyła nas radości z rzeczy najprostszych i odkryła przed nami prawdziwą wartość każdego dnia.

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011454747

ROBYG

Radosnych Świąt

I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

www.robyg.pl

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

SERNIK MAMY ZAWSZE BĘDZIE NR 1

Pochodząca z Poznania i mierząca 2 metry Agnieszka Korneluk jest kapitanem kadry siatkarek, trzykrotną medalistką Ligi Narodów i świeżo upieczoną zdobywczynią Superpucharu Turcji

Radosław Patroniak

Agnieszka Korneluk to wychowanka Enei Energetyka. Czterokrotna mistrzyni Polski nazywana jest królową bloku. Właśnie blokiem 31-latka zdobyła decydujący punkt w meczu o Superpuchar Turcji w barwach klubu Fenerbahce. Do klubu ze Stambułu przeszła kilka miesięcy temu. 31-latka zarabia w nim co najmniej 1,5 mln zł za sezon. Nam opowiedziała o tym, co ją spotkało nad Bosforem i co chciałaby osiągnąć ze swoją nową drużyną.

FOT. EAST NEWS

Agnieszka Korneluk cieszy się z kolejnego punktu po kolejnym udanym bloku w finale Ligi Narodów w łódzkiej Atlas Arenie

FOT. ARCHIWUM KRZYSZTOFA STEFANOWICZA

Nasza bohaterka w koszulce Fenerbahce z Superpucharem

FOT. ARCHIWUM GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

... i z szefem Enei Energetyka, Robertem Rakowskim

Jak się Pani czuje w nowym klubie? Czy Panią zaskoczyło coś na plus i na minus, i jak znosi Pani ogromne zainteresowanie ze strony fanów?
Dla mnie jest to spora zmiana, bo ostatni raz za granicą, we włoskiej Serie A, grałam pięć lat temu. Na samopoczucie jednak nie narzekam. Odkąd ruszyła Liga Mistrzyń, gramy co trzy dni, ale na razie intensyfikacja meczów dobrze mi służy. Jakie są moje pierwsze wrażenia? Pierwszy raz gram w takiej lidze, gdzie prawie połowa klubów jest z jednego miasta, czyli ze Stambułu. Druga kwestia to popularność Fenerbahce. Nawet jak gramy na wyjeździe, to czujemy się jak u siebie, bo część kibiców przychodzi w klubowych koszulkach i wspiera nas, a nie miejscową drużynę. Kibice są specyficzni, bo czasami potrafią zamęczyć zawodnika. Zagraniczne siatkarki mają względny spokój, ale pamiętam, że legenda tureckiej siatkówki, nasza kapitanka, Eda Erdem nie była kiedyś w stanie wypić kawy na lotnisku w Stambule.

Co Pani może powiedzieć o sile ligi tureckiej? Ostatnio wszyscy przecierali oczy ze zdumienia, że czwarta drużyna ligi tureckiej miała na widelcu we Włoszech wielkie Conegliano...
Liga turecka jest tak samo mocna jak liga włoska. My w Lidze z ekipą z Ankary wygrałyśmy dość pewnie 3:0, więc dla nas było zaskoczeniem, że Zeren Spor tak się postawił Conegliano. Wcześniej miałyśmy swój mecz z Benfiką Lizbona i chciałam się po nim szybciej położyć spać, ale dziewczyny z drużyny wysyłały SMS-y, że szykuje się sensacja we Włoszech, więc też włączyłam relację. Poziom siatkówki w Turcji na pewno rośnie, bo i inne zespoły robią postępy i potrafią grać z nami jak równy z równym. Hale podczas meczów są pełne, ale nie wiem tak do końca, czy to efekt zainteresowania siatkówką czy raczej ogólnokrajowej popularności Fenerbahce.

Po zdobyciu Superpucharu Turcji czuje się już pewnie Pani królową bloków?
Bez przesady, ale rzeczywiście miło zdobyć punkt na wagę złota w bardzo zaciętym spotkaniu o wysoką stawkę. Rzeczywiście blok jest moją mocną stroną, w czym pomaga mi oczywiście wzrost. Nad tym elementem trzeba jednak pracować całe życie i dwóch trenerów zrobiło w tej kwestii najwięcej. Mam na myśli Norwega Tore Aleksandersena, który pracował ze mną w Volley Wrocław i Stefano Lavariniego, czyli obecnego selekcjonera naszej reprezentacji. Włoch poprawił detale i powiększył mój potencjał w bloku. A co do Superpucharu, to traktuję go jak przedsmak tego, co możemy osiągnąć w sezonie. Już mamy wysokie skrzydła, a będziemy jeszcze mocniejsi, jak wróci do nas po kontuzji Brazylijka Ana Cristina. Jestem przekonana, że za kilka miesięcy możemy grać jeszcze lepiej.

W tym roku po raz pierwszy nominowana została Pani do Plebiscytu Przeglądu Sportowego. Czy szykuje Pani suknię balową i co Pani sądzi o plebiscytach?
Suknię balową chętnie bym przygotowała, tylko gala plebiscytu jest 10 stycznia, a wtedy już będę w Turcji. Zawsze oglądałam wybory najlepszych sportowców. Spotkać się z tymi, których na co dzień ogląda się w telewizji, to zawsze wielka sprawa i wyjątkowa okazja. Już jednak wiem, że i tym razem obejrzę galę w laptopie. Nagrody plebiscytowe miałam już okazję odbierać w przeszłości we Wrocławiu i Szczecinie.

Wiem, że od zawsze śledzi Pani wyniki Enei Energetyka Poznań. Po spadku dziewczyn do II ligi na pewno Pani serce krwawiło. Poza kilkoma sezonami siatkówka żeńska w Poznaniu w ostatnich 30 latach nigdy nie mogła się przebić na najwyższy poziom. Dlaczego?
W Enei Energetyku uczyłam się siatkówki, więc ten klub zawsze będzie mi bliski, tak samo zresztą jak Poznań, w którym mieszka moja rodzina. Spotykałam się z opinią, że w stolicy Wielkopolski przestrzeń do rozwoju innym klubom zabiera Lech Poznań, ale ja myślę, że to jest tylko dobra wymówka. Wszystko rozbija się o brak sponsora i brak hali z prawdziwego zdarzenia. To największa bolączka mojego rodzinnego, półmilionowego miasta.

A jak właśnie wygląda baza treningowa w Fenerbahce?
Trenujemy we wspólnym, ogromnym ośrodku z piłkarzami, piłkarkami, koszykarzami i siatkarzami. Mecze rozgrywamy w hali oddalonej o 5 km, nie należącej do klubu. Jest w planach budowa typowo siatkarskiego obiektu, ale to dopiero melodia przyszłości.

Czy miała Pani już okazję zwiedzić Stambuł?
Nie widziałem jeszcze wszystkiego, ale byłam już zobaczyć Błękitny Meczet czy Galatę Tower. Znalazłam też czas na odwiedzenie rodaków w wiosce Adampol pod Stambułem. Polska kolonia jest tam coraz mniejsza, ale niektórzy wciąż kontynuują polskie tradycje. Miałam okazję też skosztować naszych specjałów w karczmie prowadzonej przez polskie małżeństwo.

W jednej drużynie gra Pani z Rosjanką Anną Fiedorowcewą. Czy poruszacie kwestie dotyczące wojny na Ukrainie?
Ona nie wznieciła tej wojny i to nie jej wina, że giną ludzie na Ukrainie. Mam z nią normalne relacje i mam nadzieję, że to się nie zmieni.

Jak Pani zamierza spędzić święta Bożego Narodzenia i czy jest coś w nich dla Pani niepowtarzalnego?
Święta jak zwykle spędzę z najbliższymi. Za bardzo się nimi nie nacieszę, bo wstępny plan jest taki, że dostaniemy cztery dni wolnego. Może ten urlop się wydłuży, jeśli przed 21 grudnia będziemy wyżej w tabeli od Vakifbanku... Uwielbiam ten czas, zawsze tęsknię za Polską i tym, co polskie. Sernik mamy zawsze pozostanie dla mnie nr 1.

Czego Pani sobie życzy na nowy rok? Jakie są Pani marzenia i postanowienia?
Nie mam postanowień noworocznych, mam za to postanowienie adwentowe. W czasie Adwentu postanowiłam całkowicie zrezygnować ze słodyczy. A co do sportowych marzeń, to wiadomo, że chciałabym, żeby omijały mnie kontuzje i żebym wspólnie z koleżankami wygrała Ligę Mistrzyń i ligę turecką.

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011454410

PAD RES

Święta Bożego Narodzenia to czas refleksji, bliskości
i patrzenia z nadzieją w przyszłość.

Z tej okazji składamy serdeczne życzenia spokoju, zdrowia
oraz dobrych chwil w gronie najbliższych.

Niech nowy rok przyniesie Państwu stabilność, rozwój
i energię do budowania lepszej przyszłości –
dla siebie, swoich bliskich i miejsc, w których żyjemy.

Szczególne życzenia kierujemy do mieszkańców gmin
Bolesławiec, Dziadowa Kłoda, Gromadka, Przeworno,
Ruja, Strzegom oraz Środa Śląska.
Dziękujemy za zaufanie i współpracę.

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślności w Nowym Roku!

Grupa PAD RES

*Grupa PAD RES to polski deweloper i inwestor
w odnawialne źródła energii, realizujący projekty
energetyczne w wielu regionach Polski.*

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

Branickiemu zawsze chodziło o to, żeby swoich gości zaskoczyć – mówi Joanna Januszkiewicz z białostockiego Stowarzyszenia na rzecz Ochrony Dziedzictwa Kulturowego i Zachowania Tożsamości „Gryf". – Stąd też serwowano... kilkadziesiąt potraw z ryb, a z pasztetu wyskakiwał karzeł

WIGILIA U HETMANA BRANICKIEGO. Z BOBREM NA STOLE

Urszula Śleszyńska

Jak wyglądała Wigilia u hetmana Jana Klemensa Branickiego? I skąd wiemy o tym, jak wyglądała?
Zachowało się wigilijne menu z dworu Branickiego zlokalizowanego w Białymstoku. Czy Branickiemu zdarzyło się obchodzić Wigilię na przykład w Warszawie albo gdzieś na południu kraju, bliżej Krakowa, tego nie wiemy. Możemy się skupić jedynie na tej Wigilii białostockiej, co mnie bardzo cieszy, ponieważ stąd pochodzę, tu pracuję i tu odkrywam historyczną kuchnię. To menu jest więc wielkim skarbem, który pozwala nam zrozumieć, jak taka Wigilia wyglądała na dworze Branickiego. Jak wyglądał moment, kiedy zapraszano gości, jak ich zaskakiwano i w końcu też jak tym gościom można było udowodnić swoją pozycję społeczną, pozycję polityczną.

Zaskoczyć można było na pewno karłem wyskakującym z pasztetu!
Zdecydowanie! Karzeł wyskakujący z pasztetu w ogóle mi nie pasuje do tego wigilijnego menu, bo jest to coś dziwnego. Ogólnie rzecz biorąc, to rzecz dość kontrowersyjna, ale wiadomo – minęły wieki, więc obecnie inaczej na to patrzymy. W tamtym okresie było to ciekawe, było to śmieszne, było to pożądane, więc i taki karzeł, który wyskoczył z pasztetu, był czymś wyjątkowym. Branickiemu zawsze chodziło o to, żeby swoich gości zaskoczyć.
Jeżeli chodzi o potrawy, które na tym wigilijnym stole się pojawiły, to wydaje mi się, że zaskakująca jest ich ilość. Dzisiaj jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że mamy 12 dań. Choć i to się z biegiem lat zmieniało i zależało często od tego, jak dom był zamożny. Czasem to było siedem dań, czasem dziewięć. Starano się kiedyś, żeby to była liczba nieparzysta.

Nieparzysta liczba potraw miała przynieść szczęście.
Tak, takie były tradycje. Te 12 potraw, które znamy obecnie, nawiązują do dwunastu miesięcy albo do dwunastu apostołów. To zależy, jak w którym domu jest to tłumaczone. Ale wracając do Branickiego – w wigilijnym menu było sześć dań, ale jedno danie to był tak naprawdę cały zestaw potraw. Muszę przyznać, że trudno się doliczyć, ile dokładnie tych potraw było serwowanych, ale na pewno na stole było kilkadziesiąt (!) gatunków ryb, słodycze, pierniki, ciasta. Były też świeże owoce, bakalie i różne inne rzeczy, których dzisiaj, w takich ilościach, na naszych stołach wigilijnych nie mamy.

No nie jadamy chociażby ogona bobra!
Właśnie, zapomniałam o ogonie bobra! Rzeczywiście to jest rzecz dzisiaj nie do przyjęcia i nie do zrozumienia. Chociaż są kraje, w których ogon bobra nadal się jada. W Polsce oczywiście już takiego dania nie dostaniemy. Ale niegdyś bóbr – w związku z tym, że żył w wodzie – traktowany był jako ryba. Śmiało więc można było taki ogon bobrowy zjeść podczas wieczerzy wigilijnej. I rzeczywiście ten ogon bobrowy został podany na dworze Branickiego, a gospodarz na pewno zachwycił tym gości.

I ponoć goście to opisali?
Tak, powstał utwór wierszowany, opowieść o tym, jak to na tej Wigilii było. Zapewne napisał go któryś z gości, bo w tamtych czasach często się tak zdarzało. Jeżeli hetman zapraszał do siebie na dwór gości, częstował ich, podawał rozmaite potrawy, to potem ci goście – odwdzięczając się takiemu gospodarzowi – pisali różne utwory mówiące o jego wspaniałości. Oczywiście zdarzało się, że te utwory były nieco z przymrużeniem oka. Ale zakładam, że ten opis Wigilii był prawdziwy.

Jak na niego trafiłaś?
Jest to na tyle ciekawy tekst, że powiela się go w różnych wydawnictwach związanych zarówno z hetmanem Branickim, jak też z obrzędami i zwyczajami, związanymi z obchodzeniem świąt Bożego Narodzenia w XVII-XVIII wieku na magnackich dworach. Nietrudno jest więc znaleźć opis tej wieczerzy wigilijnej. Wydaje mi się, że trochę trudniej go zrozumieć, bo to jednak nieco inny język niż ten, którym się dzisiaj posługujemy.

Często podkreślasz, że kuchnia barokowa była kuchnią iluzyjną. Co to znaczy?
Gospodarz i kuchmistrz mieli za zadanie zaskoczyć, zadziwić, a często wręcz przerazić gości. Konstruowano więc dziwne machiny. Potrawy przyrządzano w sposób niecodzienny – tylko po to, żeby ktoś, kto zabierał się za jedzenie, poczuł mały stresik, pewną niewiadomą, żeby nie wiedział dokładnie, co je. Kuchnia iluzyjna to też w pewnym sensie kuchnia oszukiwana. Bo pojawiają się tutaj chociażby migdały, które udają coś innego. One były i są na tyle wdzięczne, że można z nich było zrobić i jaja, i sery. Można było dodać je do ciast. Migdały służyły również jako element, który potrawy aromatyzował.
A czarne, czyli gorzkie migdały potrafiły też człowieka zatruć. Trzeba było z nimi uważać, ponieważ zjedzone w nieodpowiedniej ilości potrafiły zrobić biesiadnikowi krzywdę. W rękach kuchmistrza była więc też pewnego rodzaju władza nad gościem, który przybywał na taką ucztę... Takie biesiady to była iluzja smakowa, ale też wizualna. Należało zaskoczyć, zadziwić gościa. A im większe zaskoczenie, tym większa radość biesiadników i tym lepiej wypadał gospodarz.

W ramach zaskakiwania i straszenia gości na stół – na przykład świąteczny – podawano też półżywe, napojone alkoholem zwierzęta. Z dzisiejszego punktu widzenia to przerażające.
Wtedy zaś to śmieszyło gości. Pamiętajmy, że w czasach Branickiego przy biesiadnym stole było bardzo dużo szaleństwa. Główną atrakcją były zaskakujące dania. Najczęściej wnosił je kuchmistrz i wtedy pojawiały się oklaski i okrzyki, jak to cudownie i wspaniale zostało przygotowane. Najczęściej „opijano" drób, bo spirytus najłatwiej było wlać w gardło drobiu. A kiedy kuchmistrz wnosił opite alkoholem zwierzę, wszyscy chcieli spróbować i wbijali w nie widelce czy też noże. Zwierzę budziło się z krzykiem i uciekało ze stołu. Damy dworu się śmiały, krzyczały, a panowie byli zachwyceni. Działo się dużo, było głośno i gwarno. Pojawiały się oklaski dla gospodarza i dla kuchmistrza. Na tym polegały te przyjęcia. W XVII i XVIII wieku zwierzęta traktowano zupełnie inaczej niż dzisiaj. Dziś wiemy, że zwierząt nie powinno się krzywdzić tylko dla zabawy, dla pokazania się.

Takie upojone alkoholem zwierzęta podawano na przyjęciach organizowanych przy różnych okazjach, ale nie podczas Wigilii. Tę wieczerzę spożywano w ciszy i w skupieniu?
Tak. A przed Wigilią obowiązywał ścisły post, bez nabiału, bez jaj. I w taki też sposób podawana była wigilijna wieczerza u hetmana Jana Klemensa Branickiego.

Ważny też był sposób zachowania przy stole.
Tutaj wkracza XVIII-wieczny savoir-vivre, który już wtedy był przełomowy. Do wieku XVIII przy stołach raczej dominowały zasady i zwyczaje średniowieczne. Jedzono rękami, resztki jedzenia wyrzucano gdzieś w kąt sali, pod stół, kruszono, rozmawiano z pełnymi ustami, a na talerze nabierano dużo jedzenia. Przy jedzeniu panował harmider i bałagan. Natomiast na ucztach organizowanych w XVIII wieku, za czasów Jana Klemensa Branickiego, pojawiły się sztućce. Pojawił się też serwis stołowy, zastawa stołowa, z także bukszpanowe drewienka do... przeczyszczania sobie zębów. Zaczęto też powoli spisywać zasady zachowywania się przy stole. Nie można więc już było – powiem kolokwialnie – napluć gdzieś na stół czy w talerz. Trzeba było się odwrócić, odsunąć twarz, robić to ukradkiem. Trzeba też było dbać o to, żeby buzia nie była umorusana, brać mniejsze kęsy jedzenia i nie mówić z pełnymi ustami.

Bardzo dużo o tamtej kuchni mówisz na swoim internetowym profilu Gotuj z historią. Jak się tym zajęłaś?
Historia zawsze była moją pasją. Zawsze twierdziłam, że ważne jest to, żebyśmy wiedzieli, skąd pochodzimy, żebyśmy znali nasze tradycje, żebyśmy rozumieli i znali naszych przodków. Bo nie pojawiamy się na świecie znikąd, prawda? W moim domu, w mojej rodzinie to zawsze było cenione – zarówno historia naszej rodziny, ale także historia ogólna. Potem zaczęłam pracę w Muzeum Historycznym w Białymstoku, co też było spełnieniem moich marzeń. Ale w momencie, kiedy zaszłam w ciążę, kiedy na świecie pojawiły się moje dzieci, musiałam zrobić sobie wolne od pracy zawodowej. Kiedy byłam na urlopie macierzyńskim, bardzo dużo czasu spędzałam w Pałacu Branickich. Wiedziałam dużo o tym, jak wyglądało życie dworskie i postanowiłam podzielić się tym z innymi. Ale podzielić się w sposób przystępny, humorystyczny. Chociaż nie lubię, jak się o kuchni mówi z żartem.

Dlaczego nie wolno żartować z kuchni?
Uważam, że kulinaria to bardzo poważny temat. I obszerny. To nie tylko jedzenie, to nie są tylko potrawy, ale też cała otoczka, zwyczaje, rozmaite narzędzia do przyrządzania potraw, które przecież zmieniały się przez lata. To w końcu elementy związane z serwowaniem potraw. Jest to temat obszerny, bardzo ciekawy i ważny, bo w życiu każdego z nas jedzenie jest ważne. I myślę, że kiedyś też tak było. Nie po to wydawano

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. P. BALEJKO

Joanna Januszkiewicz na tle portretu magnata Jana Klemensa Branickiego herbu Gryf (1689 – 1771)

uczty za ogromne pieniądze z setkami potraw, żeby kogoś tym nie zachwycić, żeby kogoś tym nie oczarować, żeby nie spełnić jakichś marzeń.

Stąd chcesz, żeby o tym jedzeniu opowiadać z powagą?
Dokładnie. Uważam nawet, że opowiadanie o kuchni jest równie ważne, jak opowiadanie o wojnach. Historia to pokazuje. Politycy, bitwy, wojny, traktaty, ważne wydarzenia - temu zawsze towarzyszyło jedzenie. Dlatego zaczęłam w internecie gotować z historią, a przy okazji opowiadać o tradycjach, o tym, że pewne potrawy przyrządza się w sposób magiczny. I często są to potrawy związane właśnie ze świętami, czy to Bożego Narodzenia czy Wielkanocy.

Z wigilijną kuchnią związane są też pewne, powiedziałabym, zabobony.
Kiedyś na przykład rzucano kutią w sufit i czekano, ile się przyklei, a ile odpadnie. Jak odpadło dużo, oznaczało to, że może być trudny rok. Jak wszystko zostało na suficie, oznaczało, że rok będzie bogaty.

Na wielu wigilijnych stolach kutia wciąż jest obecna.
Tak, ale zapewne niewiele osób wie, że kutia była niegdyś potrawą podawaną na stypach! A w naszym kraju przyjęła się jako potrawa wigilijna. I chociaż dziś już nikt tej kutii nie rzuca na sufit, to wiem, że tak się robiło i przyrządzam ją zawsze z uśmiechem.

A gdybyś miała magiczną różdżkę i mogła się przenieść gdziekolwiek i posmakować jakiejkolwiek kuchni, z kimkolwiek u boku, to...
Bez dłuższego zastanowienia powiedziałabym, że byłby to Branicki. To ważna postać w moim życiu. Dużo o nim czytam, zdobywam wiedzę, bo chcę go poznać jako człowieka. I gdybym miała możliwość rzeczywiście zobaczyć, jak żył, jak rozmawiał z innymi, jak zarządzał swoim dworem i jakie uczty wydawał, to myślę, że to byłoby wspaniałe uzupełnienie tego, co robię.

CV

Joanna Januszkiewicz pracowała w Muzeum Historycznym w Białymstoku, a teraz prowadzi – wraz z przyjaciółmi – Stowarzyszenie na rzecz Ochrony Dziedzictwa Kulturowego i Zachowania Tożsamości „Gryf". Pracuje też w fundacji SocLab.

REKLAMA 0011455357

Odłóż telefon, podaruj czas

Komputer, smartfon i internet to nie tylko wiele możliwości rozwoju dla dziecka, to też wiele zagrożeń. – Coraz większym problemem dla dzieci i młodzieży jest uzależnienie od świata wirtualnego. To zjawisko, przybierające na sile, które w efekcie doprowadza do tego, że młody człowiek przestaje radzić sobie z trudnościami i nie rozwija się intelektualnie, nie umie budować więzi i traci kontakty społeczne – mówi psychiatra Kinga Kowalewska, lekarz kierujący Oddziałem Psychiatrycznym, zastępca kierownika Centrum Zdrowia Psychicznego ds. medycznych. - *Obserwujemy także niepokojący brak umiejętności do spędzania wolnego czasu bez telefonu, zarówno w domu, jak i poza domem, niechęć do poszukiwania dodatkowych zainteresowań czy zajęć* – dodaje.

Centrum Zdrowia Psychicznego działające w Specjalistycznym Szpitalu im. Dra Sokołowskiego w Wałbrzychu prowadzi kampanię społeczną „Rodzicielska relacja - wzmacnianie więzi w profilaktyce e-uzależnień", w ramach której odbyła się m.in. seria bezpłatnych warsztatów dla rodziców i opiekunów. Przedsięwzięcie jest finansowane ze środków budżetu Samorządu Województwa Dolnośląskiego.

– *Zależy nam na tym, aby skutecznie wspierać dorosłych w zrozumieniu powagi zagrożeń związanych z e-uzależnieniami wśród dzieci i młodzieży* – tłumaczy psychiatra Kinga Kowalewska. – *Naszym celem jest też nauka bezpiecznego korzystania z technologii w rodzinie. Drogą do tego jest nie tylko zdrowy rozsądek, ale przede wszystkim jest nią wzmocnienie relacji w rodzinie, poświęcenie się zajęciom i aktywnościom, podczas których jest przestrzeń do rozmowy i ofiarowania wzajemnej uwagi* – zaznacza.

Zwróć uwagę, jeśli dziecko:
- ma ciągłą potrzebę korzystania z komputera lub telefonu i nie umie się od nich oderwać
- reaguje rozdrażnieniem lub nawet agresją na utrudnienia w dostępie do komputera lub telefonu
- izoluje się od rodziny i rówieśników
- zatraca się w świecie wirtualnym, przedkładając go nad rzeczywistość wokół siebie (szkołę, dom)
- ma problemy z koncentracją
- ma problemy ze snem

Uzależnienie od świata wirtualnego może doprowadzić do tego, że dziecko:
- przestaje radzić sobie z trudnościami
- nie rozwija się intelektualnie, nie umie spędzać wolnego czasu w domu i poza domem, nie ma dodatkowych zainteresowań ani zajęć
- zamyka się w sobie, traci kontakty społeczne, nie umie budować więzi
- ma fałszywy obraz idealnego ciał.

Co zrobić, aby zapobiegać?
1. Ustal wspólne zasady korzystania z telefonu. Razem z dzieckiem ustalcie ramy: ile czasu dziennie jest ok, kiedy i w jakich sytuacjach nie używamy telefonu, np. przy posiłku, przed snem, w aucie, na spacerze. Pokazuj, że obecność jest ważniejsza niż dostępność online.
2. Wyłączcie ekrany na godzinę przed snem. Światło z ekranu zaburza sen. Warto wprowadzić rytuał wyciszenia. Zamiast scrollowania: książka, rozmowa, muzyka, relaks.
3. Rozmawiaj o tym, co dzieci robią w sieci. Nie oceniaj, ale pytaj, interesuj się, bądź obok, pokaż, że można się do ciebie zwrócić, jeśli coś zaniepokoi lub zrani w sieci.
4. Bądź przykładem, bo dzieci uczą się przez obserwację. Jeśli sam ciągle sięgasz po telefon, to dziecko zrozumie, że to normalne. Dlatego odłóż urządzenie, kiedy jesteś z rodziną. Pokaż, że realny kontakt jest ważniejszy.
5. Kontroluj. Włącz ustawienia prywatności i programy antywirusowe. Młodszym dzieciom włącz kontrolę rodzicielską, w tym bezpieczne wyszukiwanie.
6. Dzieci do ukończenia drugiego roku życia w ogóle nie powinny się stykać z mediami elektronicznymi. Nie pokazuj tak małym dzieciom bajek ani gier np. w telefonie, nawet jeśli to prosty sposób na chwilę odpoczynku dla rodzica.

Gdzie szukać pomocy?
Gdy dziecko tego wymaga – zwróć się po pomoc medyczną. W zależności od sytuacji zwróć się do psychologa lub psychologa szkolnego. W trudniejszych przypadkach pomóc może lekarz psychiatra. W każdym przypadku rodzic lub opiekun musi zgodzić się na leczenie dziecka.

Specjalistyczny Szpital
im. dra Alfreda Sokołowskiego
w Wałbrzychu

CENTRUM ZDROWIA PSYCHICZNEGO
ul. Batorego 4, 58-300 Wałbrzych
tel. 74 64 89 878

Punkty Pomocy Psychologicznej

tel. 885 460 354
- Poradnia Zdrowia Psychicznego
- Punkt Zgłoszeniowo-Koordynacyjny

tel. 885 456 352
- Poradnia Psychologiczna dla Dzieci
- Poradnia Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży
- Poradnia Terapii Uzależnień dla Dzieci i Młodzieży

DOLNY ŚLĄSK

Materiał edukacyjny współfinansowany ze środków budżetu Samorządu Województwa Dolnośląskiego

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

Święta bez choinki? Za to z zaproszeniem dla dzikich zwierząt, odwiedzinami dusz przodków i bacznym obserwowaniem swojego cienia? Nie, to nie egzotyczne zwyczaje dzikich plemion, a wiejskie świętowanie naszych pradziadków i prababek. Tak wyglądało Boże Narodzenie sto lat temu

WIGILIA Z DUCHAMI

Michał Olszański

Święta Bożego Narodzenia zaczęto obchodzić 25 grudnia dopiero w IV w. (pierwsza wzmianka pochodzi z 354 r.). W tym dniu obchodzono w Rzymie święto Niezwyciężonego Słońca i narodzin Mitry - perskiego boga, którego kult był bardzo popularny w cesarstwie. Był to więc bardzo dobry moment, by obwieścić narodziny Jezusa. „W naszym świętowaniu zachowały się też starsze niż chrześcijaństwo zwyczaje i obrzędy. Przechowała je zwłaszcza tradycja ludowa. Praktyki i zaklęcia magiczne i elementy dawnych pogańskich świąt splotły się tu z elementami chrześcijańskimi" - pisze Barbara Ogrodowska „Polskich obrzędach i zwyczajach dorocznych". Pozostałości tych zabiegów, wróżb i obrzędów starsi Czytelnicy pamiętają ze swojego dzieciństwa. Wiele z nich było obecnych na polskiej wsi jeszcze długo po II Wojnie Światowej. Nie zniknęły nagle, ale blakły, zacierał się ich sens, a w końcu przestawały być praktykowane. Niektóre pozostały, ale z nowymi znaczeniami (np. dodatkowy talerz dla wędrowca). Poszczególne zachowania mogły się różnić w zależności od regionu, ale wiele z nich było bardzo podobnych.

Dzień czarownic

„Chwila wesela i uciechy wielkiej, pełnej radości dla czarownic była wigilia św. Łucji; w nocy tej najwięcej czarami się zatrudniały i gdzie mogły, tam psoty wyrabiały, dlatego tej nocy żaden gospodarz, żadna gospodyni nie układała się do spokojnego snu..." - pisał Adam Fiszer w opracowaniu „Czarownice w dolinie nowotarskiej" z 1927 r. Na Lubelszczyźnie tego dnia kobiety nie wychodziły z domu po zapadnięciu zmroku, pilnowano także małych dzieci. W stajniach i oborach wykładano ciernie i poświęcone zioła.

Czarownice były elementem wiejskiego świata. Mogły czynić uroki, spowodować że krowy przestawały dawać mleko, zwierzęta chorowały. Na Podkarpaciu wiara w ich istnienie przetrwała bardzo długo. We wsi Niebylec, o kobiecie, która zmarła w 1976 r, okoliczni mieszkańcy jeszcze długo opowiadali, że była złośliwą czarownicą.

W wielu rejonach właśnie w dniu św. Łucji (13 grudnia) zaczynano przygotowywać się do Świąt. Zwracano uwagę jaka pogoda jest w poszczególnych dniach, aż do Wigilii - taka miała być w kolejnych miesiącach. Gdzieniegdzie wsypywano sól do miseczek zrobionych z rozkrojonej cebuli. Jeśli pojawiła się woda, ten miesiąc miał być deszczowy. Wróżono też z gałązek wiśni wkładanych do wody - jeśli się rozwinęły, zapowiadały dobry rok.

Wracając do czarownic - jeśli w dniu św. Łucji zaczęło się robić stołek i tak rozplanowało pracę, że skończyło się w Wigilię, to gdy stanęło się na nim na pasterce, można było zobaczyć czarownice - okazywało się, że stały odwrócone tyłem do ołtarza.

Wigilia

„Tego dnia świętowali nie tylko ludzie, ale cała natura. Zmarli odwiedzali domostwa, na wieczerzę zapraszano wilka, ptaki, mróz, anioły, apostołów, św. Mikołaja, a nawet węże. Zwierzęta przepowiadały przyszłość i przemawiały ludzkim głosem" - pisze Andrzej Karczmarzewski w „Ludowych obrzędach dorocznych w Polsce południowo-wschodniej".

Do wszystkiego co się tego dnia wydarzyło, przywiązywano znaczenie. Przestrzegano zakazów i wykonywano czynności, które pozwalały uniknąć wydarzeń niepomyślnych lub prowokowały korzystne. Bardzo niedobrze, jeśli pierwszą osobą, która przyszła tego dnia do domu, była kobieta - wróżyło to chorobę, niepowodzenie w gospodarstwie, a nawet śmierć.

Wstawano bardzo wcześnie. Gospodynie starały się nawet na chwilę nie usiąść, co miało sprawić, że będą „skrzętne" . Nie wolno się było kłócić.

Unikano praktyk powodujących „ubywanie". Nie pożyczano niczego. Ważne było, żeby niczego nie stłuc ani nie zniszczyć, gdyż wtedy w domu będzie przez cały rok ubywało. Były też praktyki mające spowodować „przybywanie" - gospodarze podkradali sobie różne przedmioty, które po świętach zwracali. Szeroko praktykowanym zwyczajem były połowy (na Mazurach i Pomorzu) oraz polowanie/kłusownictwo. Obfity łup zapowiadał dobry rok. Na Podkarpaciu starano się pożyczyć coś od żyda, bo to przynosiło powodzenie. Nie można było rozlać wody - w domu będą pchły. Ile razy kichniesz - tyle razy będziesz chory, itd.

Ponieważ tego dnia do domu przybywały dusze zmarłych, siadając trzeba było delikatnie omieść ławę, albo zdmuchnąć z niej duszę. Kobiety uważały, by nie chlustać pomyjami. W wielu rejonach panował tego dnia zakaz szycia, motania i przędzenia.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ŚWIEĆ SIĘ Z ENERGĄ 0111451986

23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na **najpiękniejsze zdjęcia miast** w konkursie **„Świeć się z Energą"**. Ale wciąż możecie zgłaszać swoje propozycje!

Ulice miast i miasteczek nabrały świątecznego blasku. Choinki lśnią tysiącami światełek, tworząc wyjątkowy, bożonarodzeniowy klimat. Dziękujemy za wszystkie zdjęcia, które już do nas trafiły. 23 grudnia rozpoczynamy głosowanie na najpiękniej rozświetlone na święta miasto, ale wciąż czekamy na kolejne zgłoszenia - macie na to czas aż do 11 stycznia 2026 r.

Co sprawia, że właśnie o tej porze tysiące mieszkańców miast i miasteczek z całej Polski przesyłają zdjęcia rozświetlonych ulic, by to właśnie miejsce, w którym na co dzień żyją, zwyciężyło w konkursie „Świeć się z Energą"? Odpowiedź jest prosta - ten świąteczny konkurs to coś więcej niż rywalizacja. To realna pomoc dla osób, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej, a mieszkają tuż obok. Bo wygrana miasta przekłada się na konkretne wsparcie potrzebujących - im więcej głosów zdobędzie, tym większa szansa na zwycięstwo w pierwszym etapie konkursu oraz bon od Energi na sprzęt AGD o wartości 10 tys. zł. To z kolei otwiera drogę do ogólnopolskiej rywalizacji o tytuł Świetlnej Stolicy Polski i główną nagrodę o wartości 50 tys. zł. Dlatego już można głosować! Zachęcajcie rodzinę i przyjaciół do udziału w plebiscycie, pokażcie siłę lokalnej wspólnoty. Teraz wszystko jest w Waszych rękach!

23 grudnia startuje głosowanie w pierwszym etapie plebiscytu

Aby zagłosować w charytatywnym projekcie, wystarczy odwiedzić stronę serwisu regionalnego, odnaleźć zapowiedź konkursu i skorzystać z narzędzia plebiscytowego. Każdego dnia zalogowany uczestnik może oddać aż 10 bezpłatnych głosów. Tak będzie aż do 21 stycznia, kiedy zakończy się regionalny etap konkursu miast. Ale - co ważne - wciąż można dodawać kolejne fotografie. Pamiętajcie, nie ma znaczenia, czy korzystacie z profesjonalnego aparatu, czy świąteczne impresje „łapiecie" telefonem. Liczą się pomysł i chęć pomagania.

Wsparcie trafi do osób w potrzebie

W poprzednich edycjach projektu „Świeć się z Energą" zwycięskie samorządy przekazywały seniorom sprzęt AGD, m.in. kuchnie indukcyjne, odkurzacze, kuchenki mikrofalowe, blendery i ekspresy do kawy. Energooszczędne pralki oraz lodówki z zamrażarkami trafiały do rodzin zastępczych. Pralki przemysłowe wspierały działalność miejskich ośrodków pomocy społecznej, prowadzących punkty wydawania odzieży i jadłodajnie. Nie zabrakło także komputerów i projektorów - niezbędnych do codziennych zajęć w świetlicach terapeutycznych.

Razem niesiemy dobro

Nasz bożonarodzeniowy plebiscyt ma moc - światło nie tylko zdobi przestrzeń, w której żyjemy, ale też niesie wsparcie. Wspólnie możemy więcej, dlatego angażujcie najbliższych, wszystkich zachęcajcie do aktywności. W tym wyjątkowym czasie nieśmy dobro!

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. MARIUSZ KAPAŁA

Pająki - tradycyjna ozdoba bożonarodzeniowa na wsi (choinki przyjęły się w XIX w.)

W Wigilię obserwowano również pogodę. Rozgwieżdżone niebo zapowiadało, że kury się będą dobrze niosły, a mgła - obfitość mleka.

Gdy zbliżała się pora wieczerzy, czyli pośnika lub postnika, na podłodze rozścielano słomę - symbol stajenki. Gdzieniegdzie później spano na niej, pozostawiając łóżka czy ławy dla dusz.

Pośnik

„Stawianie snopów zboża po rogach izby, w której zasiadają do uczty wigilijnej, dotąd napotykane u ludu, było kiedyś zwyczajem we wszystkich warstwach powszechnym" - czytamy w Encyklopedii Staropolskiej Glogera. Czasem był to jeden snop niewymłóconego zboża - zwany Dziadem", rzadziej „Królem" czy „Diduchem". Często pierwszy zebrany w żniwa. Pod obrus kładziono siano, czasem też ziarna zbóż. Stawiano talerz dla dusz i w wielu domach odkładano na niego łyżkę każdej potrawy.

Pod stołem umieszczano żelaza (siekierę, sierp), dla odstraszenia złych mocy (czasem tłumaczono: „aby roli nie psuły"), w niektórych domach obwiązywano sznurami lub łańcuchami nogi stołu, „aby chleb trzymał się domu". Gdzieniegdzie nie jedzono na stole, a na odwróconej dzieży (dla pomyślności).

Do wieczerzy musiała zasiąść parzysta liczba osób (liczono też dzieci „w drodze"), bo nieparzysta zwiastowała nieszczęście, a nawet śmierć jednego z domowników. Gdy wypadało inaczej, doliczano „Dziada" (w niektórych regionach w takim wypadku snopek ubierano).

„Wieczerza wigilijna tylko pozornie spożywana była w gronie ludzi, a naprawdę adresowano ją, jak się wydaje, do innych, ważniejszych od człowieka istot. Wskazuje na to przede wszystkim jej menu i obowiązująca atmosfera powagi. Zarówno miód, mak, grzyby, suszone owoce, orzechy czy groch można spotkać w rozmaitych konfiguracjach podczas wielu innych obrzędów. Wtedy zupełnie wyraźnie są one ofiarami składanymi na grobach lub w kościele. W obrzędowości katolickiej nie jest to może aż tak jednoznaczne, natomiast zupełnie jasno zaznacza się w obrządku prawosławnym" - pisze Anna Zadrożyńska w książce „Powtarzać czas początku. O świętowaniu dorocznych świąt w Polsce".

Jak wiadomo, „powinno być 12 potraw, bo tyle jest apostołów i miesięcy w roku". Często nie udawało się spełnić tego wymagania, wówczas musiała to być liczba nieparzysta. W trosce o dostatek, łyżkę trzymano przez cały czas w ręce. Nie odchodzono od stołu, żeby się kury nie rozbiegały. Jedzono w powadze, dużą uwagę przywiązywano do tego, żeby usiąść w taki sposób, by na ścianę padał wyraźny cień. Niewyraźny zwiastował choroby, a jego brak - śmierć.

Często jedzono z jednej miski. Stawiano ją na opłatku i podnoszono. Jeśli się przykleił, zapowiadało to urodzaj na produkty, z których wykonano potrawę. Nierzadko w trakcie jedzenia wypowiadano życzenia, np. „wiąż się grochu", „mnóż się zboże", „składaj się kapusto". Po kolacji nie sprzątano ze stołu. Jedzenie pozostawiano duszom.

Oczywiście wróżono sobie jaki będzie nadchodzący rok, np. podrzucając kutię do sufitu - im więcej się przykleiło - tym miał być dostatniejszy. Podobną wróżbą było rzucanie słomy za tragarz (belka podtrzymująca strop) - im więcej źdźbeł utknęło - tym lepiej. Zanoszono opłatek zwierzętom, a Kaszubi wynosili kluski z makiem rybom w jeziorze. Bardzo popularnym zwyczajem było obwiązywanie słomą drzew w sadzie. Gdzieniegdzie zanoszono potrawy na mogiły lub przed dom, palono ogniska na rozstajach dróg.

Choinka

Na wsi choinka przyjęła się późno, co nie znaczy, że w świątecznej izbie brakowało dekoracji. Gałązkami jodeł, świerków czy sosen ozdabiano ściany, ramy obrazów, przybijano je do drzwi. Pod powałą wieszano czubek żywozielonego drzewka. Dekorowano go orzechami, jabłkami, czasem wieszano też cebulę - na odpędzenie złych duchów. Taka ozdoba nazywała się podłaźnik, połaźnik, połaźniczka, jutka, wiecha, boże drzewko. Ciekawymi ozdobami były gwiazdki i słońca wycinane z opłatków. Z tych ostatnich klejono także trójwymiarowe formy w kształcie kul - nazywane światami, zawieszano je osobno, pod sufitem.

Inną ozdobą obecną w chłopskich domach były pająki - przestrzenne konstrukcje zrobione ze słomy i bibuły. Czasem osiągały ogromne rozmiary i zadziwiająco wysoki stopień komplikacji - przypominały wielkie żyrandole z dworów.

Pasterka

To była msza inna niż wszystkie. Popularne były wyścigi furmanek do i z kościoła (pierwszemu najszybciej wzejdzie i dojrzeje zboże). Ludzie byli głośni i swawolni. Czasami z chóru rzucano grochem - na szczęście. Taki element żartu i zabawy był powszechny także w miastach. Krakowscy żacy wlewali atrament do wody święconej, albo zszywali ze sobą suknie modlących się kobiet.

Po pasterce swawola wylewała się na wieś. Zastawiano bronami drzwi do domów, czasem zamalowywano wapnem okna (szczególnie jeśli była tam panna na wydaniu). „Nawet jeśli parobcy lub dorośli mężczyźni wyciągnęli komuś wóz na dach, nikt nie mógł tego poczytać za obrazę. Wtedy przestały obowiązywać normalne konwenanse " - pisze Zadrożyńska.

I rzeczywiście było to swoiste wprowadzenie do świata na opak, czasu chaosu. Po domach zaczynali chodzić kolędnicy, przebierańcy z maszkarami, kozami, bocianami, turoniami, królami, Herodami, diabłami, składający życzenia, domagający się podarunków. Już w 1408 r. krakowski statut diecezjalny krytykował te praktyki, twierdząc że przy okazji dzieje się wiele bezeceństw.

REKLAMA 0011445115

REKLAMA 0011444411

TARCZYŃSKI

REKRUTUJEMY NA STANOWISKO:
Nauczyciel zawodu

TWÓJ ZAKRES OBOWIĄZKÓW:
- ✓ Prowadzenie zajęć praktycznych z zakresu nauczanego zawodu, zgodnie z obowiązującym programem nauczania.
- ✓ Przygotowywanie ćwiczeń oraz organizacja stanowisk pracy w pracowni i warsztacie.
- ✓ Wspieranie uczniów w realizacji zadań praktycznych oraz rozwijaniu samodzielności i inicjatywy zawodowej.
- ✓ Sprawowanie nadzoru nad prawidłową eksploatacją maszyn, urządzeń i narzędzi wykorzystywanych podczas zajęć.
- ✓ Realizacja treści programowych w powiązaniu z przedmiotami teoretycznymi, w celu zapewnienia spójności procesu kształcenia.
- ✓ Dostosowywanie metod i treści nauczania do aktualnych potrzeb rynku pracy oraz specyfiki zakładów współpracujących.
- ✓ Zapewnienie bezpieczeństwa uczniów podczas zajęć praktycznych, zgodnie z obowiązującymi przepisami BHP.
- ✓ Analiza popełnianych błędów oraz wspólne wyciąganie wniosków w celu doskonalenia umiejętności zawodowych.
- ✓ Kształtowanie właściwych postaw zawodowych, odpowiedzialności oraz etyki pracy wśród uczniów.

NASZE WYMAGANIA:
- ✓ Wykształcenie kierunkowe w zawodzie elektryka lub elektromechanika.
- ✓ Ukończony kurs pedagogiczny uprawniający do prowadzenia zajęć dydaktycznych.
- ✓ Minimum 5-letnie doświadczenie w pracy dydaktycznej lub szkoleniowej.
- ✓ Mile widziany tytuł Mistrza w zawodzie potwierdzający wysokie kwalifikacje praktyczne.
- ✓ Wysoka motywacja, otwartość oraz zaangażowanie w proces przekazywania wiedzy.
- ✓ Bardzo dobre umiejętności organizacyjne i samodzielność w planowaniu pracy dydaktycznej.
- ✓ Umiejętność pracy z młodzieżą oraz budowania pozytywnych i wspierających relacji edukacyjnych.

ZAPRASZAMY DO KONTAKTU! Praca w miejscowości: Ujeździec Mały

rekrutacja@tarczynski.pl — 726 665 555

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

KTO WSTANIE OD STOŁU, TEN UMRZE, CZYLI ŚWIĘTA W CZECHACH

– U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. W naszej tradycji Bożego Narodzenia są też wróżby. A jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć – mówi Jakub Medek, Czech mieszkający od 20 lat w Białymstoku

Andrzej Kłopotowski

Czesi nie uchodzą za naród wierzący.
Czesi nie są narodem wierzącym instytucjonalnie. Mamy problem z religiami instytucjonalnymi, głównie z katolicyzmem, choć kościołów w Czechach trochę funkcjonuje, w tym kościołów rodzimych, protestanckich. Z ostatniego spisu powszechnego wynika, że do kościołów – jakichkolwiek – chadza 17 czy 18 procent Czechów. I to nie jest oczywiście europejski rekord, są bardziej laickie narody. Natomiast z punktu widzenia Polski – no to Jezu Chryste – ateiści. Temat jest jednak bardziej złożony. To, że Czesi nie wierzą w religię instytucjonalną, nie znaczy, że odrzucają fakt istnienia siły wyższej. Jakieś 60-70 procent ludzi uważa, że coś tam jest. Mamy fajnego filozofa – księdza katolickiego swoją drogą – Tomáša Halíka, który mówi, że religią podstawową w Czechach jest „cosizm". Wiara w coś.

Jak wygląda więc czeskie Boże Narodzenie?
Boże Narodzenie jest w Czechach świętem bardzo rodzinnym, obchodzonym masowo. Powiedziałbym, że obchodzonym nawet bardziej masowo niż w Polsce.

Mówisz o rodzinnych zjazdach, wspólnym spędzaniu czasu przy stole, bez instytucjonalnego kościoła?
Tak. Co nie znaczy, że bez symboliki charakterystycznej dla klasycznego, chrześcijańskiego kościoła. Jest szopka, aniołek. Mikołaj akurat nie, ponieważ Mikołaj przychodzi u nas w wigilię mikołajek, czyli 5 grudnia. U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. Dodatkowo Wigilię mamy ustawowo wolną już od dawna. Pierwszy i drugi dzień świąt też. Te święta – i do tego zmierzam – są obchodzone bardzo mocno w duchu tradycji świąt Bożego Narodzenia. Z jednej strony wierzymy w „cosizm", a nie wierzymy w kościoły instytucjonalne. Z drugiej strony to chrześcijaństwo jest bardzo mocno zakotwiczone w naszej kulturze. Podam przykład. W Pradze jest taki event: w pasterkę, w holu

FOT. 123RF

– Historia o czeskim ateizmie jest dużym uproszczeniem – mówi Medek (na zdjęciu: ikoniczny Most Karola w Pradze)

kolejowego dworca głównego zbiera się kilkaset osób, by razem z orkiestrą śpiewać pieśni z barokowej mszy bożonarodzeniowej Jakuba Jana Ryby.

Wierzyć można wszędzie...
Wierzyć można wszędzie. Świętować można wszędzie. To też pokazuje, że ta historia o czeskim ateizmie jest bardzo dużym uproszczeniem.

Z czego biorą się więc te stwierdzenia o Czechach ateistach?
Myślę, że z braku kościoła instytucjonalnego i tego, jak radykalną jest to różnicą z polskiej perspektywy. Często stereotypy – a w tym się specjalizuję, w tym prostowaniu czy dyskutowaniu o stereotypach – biorą się z różnic. Z tego, że przykładamy swoją miarę, swoje doświadczenia do rzeczy, które wyrastają z totalnie innej rzeczywistości, odmiennych doświadczeń choćby historycznych.

Chodzi ci o podziały Kościoła?
O podziały, które sprawiły, że Czechy dzisiaj są takie, jakie są. Korzeni można szukać już w XIV wieku. Kościół katolicki w Polsce historycznie zawsze był ostoją polskości, przynajmniej na tym poziomie kościoła podstawowego, bo z hierarchami to różnie bywało. W Czechach Kościół katolicki od XIX wieku, od momentu budzenia się nowoczesnej świadomości narodowej, był symbolem habsburskiej opresji. Religia narzucona z zewnątrz. Chociaż to też jest znacznie bardziej złożone. Żeby nie wchodzić w głęboki wykład historyczny – to, że Polacy uważają Czechów za ateistów, jest typowym przykładem na popadanie w pułapkę stereotypizacji, gdy próbujemy coś mierzyć własną miarą.

Prezenty przynosi wam słynny praski Jezusek – Pražské Jezulátko?
Nie, przynosi je uniwersalny Jezusek.

Pytam, bo ten jest chyba najbardziej znany...
W dodatku jest czarny.

Jest opisywany we wszystkich przewodnikach.
To święta figura Jezuska, która jest ubierana. Przypomina taką dużą lalkę. Dla prażan nie jest to ważna postać. Kulturowo jest znana. Sam praski Jezunio to historia z okresu rekatolizacji Czech po tym, jak na początku XVII wieku upadło powstanie czeskich protestanckich stanów generalnych przeciwko Habsburgom. Habsburgowie zakazali działalności protestanckich, rodzimych kościołów i zaczęli wielką akcję rekatolizacyjną. Z jednej strony polegała na tym, że przymusowo wyrzucano za granicę albo poddawano egzekucjom protestancką szlachtę. Przymusowo rekatolicyzowano protestancki lud, ale jednocześnie prowadzono ogromną ofensywę kulturalną. Zresztą to, jak Praga dzisiaj wygląda, to, co tak bardzo wszystkich zachwyca – Polaków również – zawdzięczamy tak naprawdę habsburskiej rekatolizacji. Temu, że wszystko miało być wielkie, imponujące i pokazywać buntującym się poddanym: Zobaczcie, jaki ten katolicyzm jest piękny, wspaniały, złoty, cudowny itd. Częścią tej ofensywy był też ten Jezusek.

Jak wygląda świętowanie Czechów? Katolicy świętują inaczej, ewangelicy inaczej?
Powiedziałbym, że w zasadniczych rysach jest podobnie. Mamy choinkę. No ale choinkę w niemieckim kręgu kulturowym mają wszyscy, Polacy zresztą też. Wbrew popularnym, szczególnie ostatnio, narracjom – kulturowe wpływy niemieckie w Polsce są tak samo mocne jak w Czechach. Mamy też sałatkę jarzynową. To jest kolejny, zmutowany niemiecki wpływ, bo przecież to Kartoffelsalat. W Polsce dodano do niej parę rzeczy. W Czechach, ponieważ związki z germańską kulturą są mocniejsze, sałatka jarzynowa bardziej przypomina oryginalny Kartoffelsalat.

Czyli nie ma groszku?
Groszek może być. Akurat kwestia sałatki jarzynowej upodabnia narodowe spory Czechów do sporów Polaków. Polacy kłócą się o to, czy placki ziemniaczane powinny być z cukrem, czy solą. Czesi o sałatkę jarzynową kłócą się tak samo. O to, co powinno się w niej znaleźć, a co nie. Na stole zawsze jest karp. Karp jest bardzo mocno zakotwiczony w czeskiej kulturze. Czechy są krajem o największej liczbie stawów na świecie. W całym kraju mamy tylko osiem jezior. Zrobiliśmy więc sobie własne jeziora. Obecnie w Czechach mamy około 25 tysięcy stawów, przy czym w Polsce staw rybny kojarzy się z wykopaną prostokątną albo okrągłą dziurą. U nas to są stawy na groblach, w dolinach i często to stawy zakładane w średniowieczu. Bardzo często wyglądają więc jak zwykłe jeziora. Stawów mamy od groma i hodujemy od groma tych ryb, których właściwie nie jemy, chyba że jest Wigilia. W Wigilię karp smażony w panierce – obok sałatki jarzynowej – jest elementem nieodzownym.

A kolędy?
Jak najbardziej. Rodzime, w tym z czasów husyckich, jak chyba najpopularniejsza czeska kolęda „Narodził się Chrystus pan". Oczywiście też kolędy niemieckie – jak w Polsce, ale śpiewane po czesku. Zresztą – a propos wpływów niemieckich – po czesku Boże Narodzenie to są Vánoce, czyli staroniemiecki Weihnacht. Co tam jeszcze jest... Jest ciasto, nazywa się Vánočka, czyli ciasto bożonarodzeniowe. Przypomina trochę chałkę, choć jest trochę cięższe, bardziej zwarte. Też splatane jest jak chałka, robione z drożdżowego ciasta, z dużą ilością bakalii. Tak jak w Polsce tradycyjnie jest dwanaście wigilijnych potraw, w Czechach powinno być jak najwięcej rodzajów Vánočního cukroví, czyli słodyczy, bożonarodzeniowych ciasteczek. Piecze się je na potęgę, w milionach różnych rodzajów. Jest trochę zwyczajów, które w Polsce byśmy łączyli z andrzejkami. W tradycji Bożego Narodzenia są wróżby, jak rzucanie butem przez ramię, krojenie jabłek, itd. Ważnym obyczajem jest zakaz wstawania od stołu. Jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć, bo kto wstanie, ten umrze (śmiech). W moim domu ten obyczaj jest bardzo restrykcyjnie przestrzegany.

To ile musisz siedzieć przy stole?
Siedzisz, dopóki nie zjesz wieczerzy. Jest coś takiego, że dba się, by przynieść wszystko, by wszystko na stole było. Wstanie od stołu, żeby np. donieść coś na stół, to niezłe faux pas. Bardzo mocną czeską tradycją wigilijną jest zlaté prasátko – złota świnka. Generalnie chodzi o to, że jak pościsz cały dzień – do wigilijnej kolacji, to masz szansę zobaczyć złotą świnkę. A kto zobaczy złotą świnkę, ten w nadchodzącym roku będzie miał dużo szczęścia, powodzenia i oczywiście pieniędzy.

Domyślam się, że co roku widzisz złotą świnkę?
Zasadniczo to bardzo praktyczny obyczaj. Chodzi o to, żeby ludzie – szczególnie dzieci – nie podjadali przez cały dzień i potem jedli wszystko, co na wigilijnym stole się znajduje. U mnie w domu, żeby nas motywować, zawsze brali taką świnkę-skarbonkę, owijali ją pazłotkiem, wieczorem stawiali gdzieś na szafie i pokazywali: „Patrz, złota świnka!". Na wigilijnym stole bywa – choć nie u każdego – schabowy. Ale rzadziej bywa, niż nie bywa.

Wigilia jest więc mega rodzinna, mega tradycyjna. A pierwszy i drugi dzień świąt?
Pierwszy i drugi dzień świąt również.

Znowu siadacie do stołu i jak wstaniesz, to umrzesz?
Tak. Znowu siadamy do stołu, tylko ze wstawaniem to tradycja stricte wigilijna. Ale święta to czas bardzo rodzinny, przy czym jeszcze Święty Szczepan – czyli pierwszy dzień świąt – to czas odwiedzin. Rodziny się odwiedzają, organizują rodzinne obiady.

Czy Czesi mają świeckie tradycje związane ze świętami?
Mówiłem o pasterce na dworcu w Pradze. Mówiłem o bojach o sałatkę jarzynową. Od kilkudziesięciu lat mamy obyczaj produkcji fabularnych bajek bożonarodzeniowych przez telewizję. Od lat 50. tych bajek wyprodukowaliśmy chyba 700 czy 800. W Wigilię pokazywane są od 1989 roku. To są zwykle pełnometrażowe bajki. I nowa bajka zawsze ma premierę w Wigilię o godz. 20. Jak tylko się skończy, rozpoczyna się o niej dyskusja.

CV

FOT. W. WOJTKIELEWICZ

Jakub Medek
Dziennikarz radia Tok FM. Prowadzi podcast „Czechostacja". Autor książki „Dobrý den. Chmiel, tożsamość i luz. Polskie mity o Czechach" (wyd. Mando, 2025)

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011438896

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

NIEŁATWO BYŁO BYĆ DZIECKIEM W STAROŻYTNEJ JUDEI

Podstawowymi celami życia pobożnego Żyda w czasach Jezusa było dochować wiary i założyć rodzinę – tak rozumiano realizację nakazu Bożego. Dlatego dzieci były zawsze chciane i oczekiwane. Gorzej było z ich traktowaniem

Mariusz Grabowski

Już w Księdze Rodzaju zapisano strategiczny, perspektywiczny plan dla Narodu Wybranego: „Po czym Bóg im błogosławił i powiedział do nich: »Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną«" (Rdz l, 28).

Lepszy byłby syn

Można rzec, że dzieci, część wielkiej wielopokoleniowej rodziny izraelskiej, były ważnym elementem owego planu. To w rodzinie przychodziły na świat, wzrastały, pod kierunkiem rodziców wychowywały się i przygotowywały do przyszłych zadań i obowiązków. W czasach Nowego Testamentu sytuacja ta uległa zmianie tylko w niewielkim stopniu, a nowa sytuacja wiązała się z głoszeniem Ewangelii do pogan w świecie grecko-rzymskim.

Co ważne - córki nie były witane w rodzinie z taką radością jak synowie. Powodów było wiele. Z chwilą zawarcia małżeństwa żona przechodziła do domu męża i była stracona dla rodziny; córki nie mogły też dziedziczyć. Nadto dziewczyny narażone były na wiele innych niebezpieczeństw: mogły nie wyjść za mąż, pozostając samotne w domu rodzinnym, mogły też zostać uwiedzione. W przypadku, gdy kobieta zostawała bezdzietną wdową lub została odesłana przez męża, wracała do domu rodzinnego.

Zdecydowanie lepsza była sytuacja życiowa synów. Przywilejami cieszył się w rodzinie przede wszystkim pierworodny, który za życia ojca miał pierwszeństwo przed swymi braćmi, zaś po jego śmierci dziedziczył dwukrotnie więcej od braci i stawał się głową rodziny.

Imię jest ważne

W tekście „Małżeństwo i rodzina w kulturze starożytnego Izraela" ks. Bogdan Wiktor Matysiak pisze: „Narodziny dziecka zawsze były w rodzinie wielkim wydarzeniem (...). Po porodzie matka i dziecko podlegały szczególnym przepisom prawa izraelskiego. Przez fakt narodzin matka zaciągała na siebie nieczystość rytualną, tzn. nie mogła brać udziału w aktach kultu. Po urodzeniu chłopca pozostawała nieczysta siedem dni, a okres jej oczyszczania trwał cały miesiąc. Po urodzeniu zaś dziewczynki okres nieczystości rytualnej trwał dwa razy dłużej: dwa tygodnie i dwa miesiące. Bezpośrednio po urodzeniu się dziecko otrzymywało imię, które zwyczajowo było wybierane przez matkę, a tylko okazyjnie nadawał je ojciec".

I dalej: „W kulturze izraelskiej, podobnie jak na całym starożytnym Bliskim Wschodzie, nadanie komuś imienia oznaczało przejęcie nad nim władzy; odnosiło się to do ludzi, zwierząt i przedmiotów. Imię było także wyrażeniem związanej z daną osobą nadziei lub jej symbolem. Stąd też nadawano imiona na podstawie zaistniałych zdarzeń podczas porodu, zachowania się dziecka: Nachor (»chrapacz«) czy Paseach (»chromy«)".

Chłopców w ósmym dniu obrzezywano. Był to znak włączenia we wspólnotę narodu wybranego. Ów obrzęd był na tyle istotny, że dokonywano go ósmego dnia nawet wtedy, gdy dzień ten przypadał w szabat. Tak, choć jeszcze nieświadomie, malec wkraczał w przestrzeń religii i wiary.

Wychowanie

Dzieci żydowskie uczyły się i wychowywały w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyzmem religijnym - w rodzinie, pracując i modląc się razem z rodzicami i krewnymi. Dorastające dzieci, chłopcy i dziewczynki, były bezpośrednio zapoznawane z pracami i przyszłymi zadaniami, pomagali w polu i w domu, często doglądały trzód, co dotyczyło również dziewcząt. Dziewczynki pozostawały w okresie dzieciństwa i młodości pod opieką matki tak, iż nawet zachowało się przysłowie: „Jaka matka, taka córka".

Dziewczynki uczyły się prowadzić dom: gotowania, szycia i tkactwa, gospodarstwa domowego i uprawy roli. Pasterstwo, prace na roli i przy żniwach również należały do dziewczęcych obowiązków. Okres dzieciństwa miał przygotować córkę do przeszłej roli żony i matki, a wychowanie córki było powierzone w praktyce jej matce.

„Niemowlęta płci męskiej pozostawały pod opieką matki do trzeciego roku życia i dlatego pomiędzy chłopcem i matką powstawały nieraz silne związki uczuciowe. Wychowanie chłopca dokonywało się jednak pod kierunkiem ojca rodziny, który miał obowiązek, jak później sformułowali to rabini, »nauczyć syna Prawa, dać mu żonę oraz nauczyć go zawodu«".

Jezus, syn cieśli

Można stwierdzić, że to przede wszystkim ojciec wprowadzał synów w znajomość Prawa Mojżeszowego. Ojciec także własnym przykładem i objaśniającym, oszczędnym słowem pouczał syna o pracach domowych i zajęciach gospodarskich, prawach i obowiązkach mężczyzny, tradycjach narodowych. W ten spo-

REKLAMA 0011452743

STOWARZYSZENIE OCHRONY ZWIERZĄT EKOSTRAŻ

Podaruj wigilijny cud psom odebranym z łańcucha

Pomóż wyremontować azyl dla uratowanych psów

Wpłać darowiznę: www.ekostraz.pl/cud

blik 501 639 507

eprasa.pl ea08fe165b

sób wiedza historyczna i geograficzna, doświadczenie mądrościowe, tradycje narodowe, a także – co należy podkreślić – tradycje religijne przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Potwierdza to św. Łukasz: „A gdy wypełnili wszystko według Prawa Pańskiego, wrócili do Galilei, do swego miasta – Nazaretu. Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napełniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim”. Bóg był wychowawcą i zarazem treścią wychowania. W wieku trzynastu lat chłopiec osiągał dojrzałość fizyczną i odtąd był zobowiązany do zachowania postanowień Prawa. Ojciec przekazywał mu przeważnie swój zawód, gdzie nabywał praktycznych umiejętności. Przykładem Jezus, który był synem cieśli, lub synowie rybaka Zebedeusza.

Dziecko było darem Boga, lecz nie miało ono własnych praw, lecz było całkowicie zależne od swych rodziców. Oni chronili je, opiekowali się nim i łożyli na jego utrzymanie. Teksty biblijne mówią o tym, że stopniowo stawiano dzieciom wymagania, a w sytuacji krnąbrności nie cofano się przed karaniem. To ostatnie traktowano jako konieczną metodę wychowawczą, stosowaną wtedy, gdy słowo zawodziło. Miało ono przełamać upór i brak szacunku.

FOT. NAC

Dzieci żydowskie uczyły się w klimacie, który nazwalibyśmy dziś konserwatyzmem religijnym. (ilustracja: Simon Bening „Jezus nauczający w świątyni”)

Twarde zasady

Przez całe więc także dorosłe życie dzieci zobowiązane były do okazywania rodzicom i starszym pokoleniom posłuszeństwa i szacunku. Czwarte przykazanie Dekalogu dowodzi, że owa karność względem rodziców była czymś naturalnym i oczywistym, zaś autor „Księgi Syracha” wzywa wręcz do częstego karcenia dzieci, przestrzegając przed rozpieszczaniem i pobłażaniem. Rozpieszczone dziecko bowiem „może wprawić ojca w osłupienie i sprawić mu smutek”.

Biblia mówi niewiele na temat dziecięcych zabaw, chociaż z pewnością były one znane. Tak np. dziewczynki miały swoje drobne radości: koleżanki i przyjaciółki, gry i zabawy, tańce. W Starym Testamencie mamy także wzmiankę o zawodach sportowych między chłopcami. W większych miastach znajdowały się stadiony i miejsca ćwiczeń fizycznych. Korzystała z nich zhellenizowana część społeczeństwa, w tym młodzież. Żydzi religijni stronili jednak od pogańskich wpływów i mieli do tych rozrywek spory dystans – w obawie przed złym wpływem pogańskich zwyczajów i wierzeń. Domyślać się jednak możemy, że bieganie po otwartej przestrzeni, gonitwa czy zapasy niewątpliwie były obecne we wspólnych zabawach.

Wkuwanie tekstów

Nauka rozpoczynała się już w domu, od najmłodszych lat, a szczególną okazją do kształtowania wiary dziecka było wspólne świętowanie, podczas którego tłumaczono mu znaczenie poszczególnych świąt. Opowiadano też o dziejach narodu wybranego i o tym, co Bóg uczynił dla przodków. Ale edukacja nie kończyła się na domu. W Palestynie w czasach Jezusa istniały także szkoły. Znany jest dokument wydany przez arcykapłana Jozuego Ben Gamala z 64 r., który wzywał rodziców, by posyłali swych synów do szkół. Wspomina on także o karach nakładanych na niesolidnych uczniów oraz na tych, którzy uciekali z zajęć, bo i tacy się zdarzali.

„Nauka szkolna w początkowym stadium polegała na powtarzaniu i przyswajaniu kwestii podawanych przez nauczyciela. Zapoznawano się również z alfabetem. Podstawą do ukazywania uczniom świata były księgi Pisma Świętego. Zakres zdobywanej wiedzy i poziom wykształcenia zależały natomiast w dużej mierze od zamożności i statusu społecznego rodziców ucznia i jego możliwości intelektualnych” – pisze ks. Krzysztof Kowalik w „Życiu dzieci w Ziemi Świętej w czasach Jezusa”.

„Pozwólciedzieciom...”

Ów wspomniany nakaz arcykapłana mówi również o możliwości dalszego kształcenia w przypadku uczniów bardziej uzdolnionych. Na takich uczniów zwracano uwagę. Wskazuje na to opis rozmowy młodocianego jeszcze Jezusa z uczonymi w świątyni. Oni dostrzegają bystrość Jego umysłu i mądrze stawiane pytania (por. Łk 2, 46-47). Niekiedy w dalszej edukacji sięgano i do kultury hellenistycznej. Świadczy o tym wykształcenie św. Pawła.

Na „nową” pozycję dziecka w społeczeństwie wskazuje sam Jezus. Przedstawia to scena, w której błogosławi On dzieci i krytykuje sprzeciwiających się przeciw temu uczniów. Co ciekawe: nie ma tu rozróżnienia między chłopcami a dziewczynkami. Tym samym każde dziecko jednakowo jest ukazane jako pełnoprawny uczestnik królestwa Bożego (por. Mk 10, 13-16).

Jeszcze bardziej wymowny w tej kwestii będzie fragment „Listu do Hebrajczyków”, który zaznacza, że dzieci na równi z dorosłymi uczestniczą w owocach zbawienia. Pamiętano jednak, że dzieci nie są jeszcze w pełni dojrzałe i samodzielne. Stąd wzywano je do posłuszeństwa rodzicielskim nakazom, by dorastały do samodzielności, jak to czytamy w „Liście do Kolosan”.

AUTOREKLAMA 0011453922

W sobotę 27 grudnia

w „Gazecie Wrocławskiej” znajdziesz Karty bezTABU

PARTNER WYDANIA SEXED PL

To pomocne narzędzie, które może ułatwić rodzicom rozmowę z dziećmi na trudne tematy

Każda z kart zawiera:
- inspirujące pytanie
- krótki komentarz eksperta
- oraz wskazówkę, jak zacząć rozmowę

Zbuduj bliskość ze swoim dzieckiem z Kartami Bez Tabu!

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 9.
POZIOMO: 1) ściek na dnie szybu, 4) wapń po nabożeństwie, 7) ogólniak z papierem na kasę, 9) hej, jadą z góry, 10) Populus (wierzbowaty), 12) namawianie karetki do zmęczonego oddechu, 14) winny bywa zacny, damski – później ukrywany, 16) armia w lekkiej atletyce, 19) miejscowość niezbyt ostra, choć nie tępa, 20) grządka w adoratorze, 24) włoski aktor jak cesarz, 26) Arab z komara, 27) nad głową w sporcie, 28) polegają m.in. na nadskakiwaniu, 29) od stopy przejdź do psikusa, 31) posiada oprawcę, 33) sławny był Bułat, 36) ślepa czasem trafia, 37) para dla mleczaka, 38) drapieżnik ze szlaki, 39) przodek kapsla.
PIONOWO: 1) bliższa wyrobom skórzanym niż poezji, 2) dodać coś z końca alfabetu, 3) młodszy zburzył Kartaginę, starszy pokonał Hannibala, 4) kojarzony z miarą i z hotelem, 5) do biegania w koksie, 6) zespół pytający o statek, 8) port z kormorana, 11) nieciekawy facet do gry z piłeczką, 13) ta z tyłu, nieaktualna, 15) Noe przeklął jego syna, 17) pierwszy wariant, 18) karta z sukni, 21) ssak naprawdę morski, 22) diament na przyjęcie, 23) papuzi egzamin, 25) naszych przodków w rzece, 27) Włoch potwierdza, jaki to ptak, 29) metal w patosie, 30) skała nie do ruszenia, 31) zastąpił list, 32) na pospolite danie mięsne, 34) kukułczy wstęp na statku, 35) niebieskofioletowa odległość.

● Rozwiązanie z 12.12.2025 r.
Hasło: PRYMULKA
POZIOMO: Cyrus, kajman, echa, pawik, bosman, Remus, klisza, sekstylion, tron, pomurnik, Zorro, megabajt, spaw, zjawa, beton, wasal, imaki, Monako, spust. **PIONOWO:** cyprys, równik, sekret, kabuki, Momus, ninja, Oslo, intarsja, zoo, etole, sługa, Luizjana, narwal, kot, opas, modem, Gubin, butik, awans, omo.

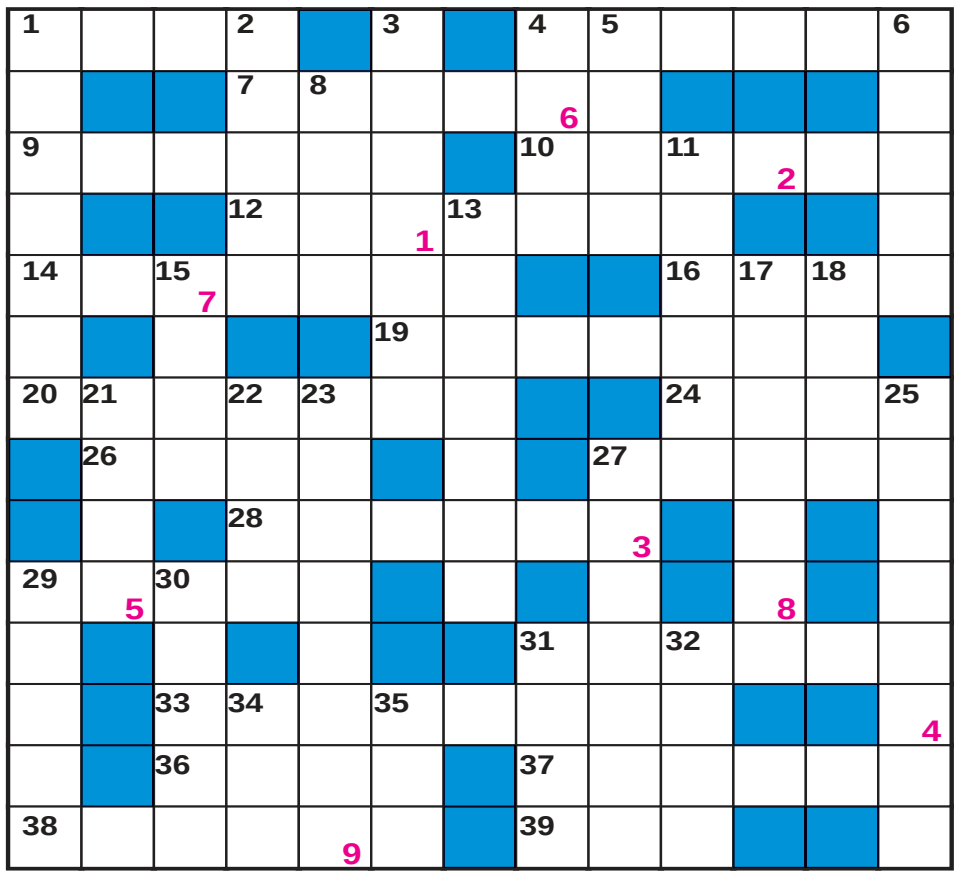

1	2	3	4	5	6	7	8	9

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KLAUDIA EL DURSI

Ma dużo centymetrów

Celebrytka w tym roku po raz trzeci została mamą. Pół roku po porodzie nie jest jednak w stanie powrócić do formy sprzed ciąży. Poskarżyła się na to podczas niedawnej wizyty w „Dzień dobry TVN". W rozmowie z prowadzącymi program przyznała, że nie udało jej się też zbić wagi do 70 kg – a tyle ważyła przed ciążą. Całe szczęście jej partner jest wyrozumiały. – Ja w dużej mierze chyba dzięki Jackowi sobie tak tkwię w tych pełnych kilogramach, bo on każdego dnia mówi mi, jak pięknie wyglądam. To jest superkochane. Jacek uważa, że ja teraz jestem najpiękniejszą wersją siebie, bo on ma dużo centymetrów do kochania – podsumowała.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Klaudia El Dursi po raz trzeci została mamą. I żali się, że ma problemy z tym, by wrócić do wagi sprzed ciąży

JULIA WIENIAWA

Zawarła ugodę

Wiosną ubiegłego roku piosenkarka poinformowała, że zakończyła współpracę z wytwórnią, która czuwała nad jej muzycznymi poczynaniami. Przedstawiciele Kayaxu twierdzili jednak, że kontrakt nadal obowiązuje. Konflikt nabrał tempa, kiedy wokalistka wydała samodzielnie singiel „Sobą tak". Wieniawa sugerowała, że piosenka jest blokowana w serwisach streamingowych przez Kayax. Wszystko wskazywało więc, że obie strony spotkają się w sądzie. Tymczasem w minionym tygodniu pojawił się wspólny komunikat, głoszący, że Wieniawa i Kayax zawarli ugodę, która zamyka roszczenia i otwiera drogę do wspólnych projektów w przyszłości. „Nasze drogi jeszcze się przetną" – zapowiadają obie strony.

MONIKA RICHARDSON

Nie pije codziennie

Celebrytka była w latach 2014-2023 żoną cenionego aktora Zbigniewa Zamachowskiego. Teraz w wywiadzie dla Kozaczka zdradziła, że był to dla niej ciężki czas. – W okresie mojego trzeciego małżeństwa myślę, że ocierałam się o alkoholizm, było życie ustawione pod „kiedy jest następna okazja, żeby się napić" – wyznała. I dodała, że nadal sięga po alkohol. – Ja piję, jak najbardziej. Tylko, po pierwsze, nie piję codziennie, a było w moim życiu tak, że piłam codziennie, i trwało to kilka ładnych lat. Po drugie, nie upijam się do momentu posiadania kaca, bo w wieku 53 lat kaca się inaczej przeżywa niż jak się miało 20. Nie doprowadzam się do kaca, nie planuję życia pod alkohol – podkreśliła.

JOANNA JABŁCZYŃSKA

Daleko odjechała

Cztery lata temu aktorka i prawniczka zdecydowała się na zakup domu do remontu na wsi pod Warszawą. Decyzja o przeprowadzce nie była podyktowana impulsem. Jabłczyńska rozpoczęła karierę teatralną i telewizyjną w młodym wieku, co sprawiło, że aktualnie ma dużą potrzebę prywatności. – To nie było tak, że nagle coś takiego wybuchło, tylko tym pociągiem strasznie daleko odjechałam i to był chyba ostatni moment, kiedy moja intuicja gdzieś z daleka powiedziała: „Hej, tu jestem, tu na wsi" – stwierdziła w wywiadzie. I dodała: Popełniłam wiele błędów w swoim życiu. No dobra, ale pokażcie mi kogoś, kto jest 30 lat w szumnie zwanym show-biznesie i nie walnął głupoty?

EDYTA GÓRNIAK

Wprowadzi widzów

Gwiazda szykuje się do występu podczas sylwestrowego koncertu Polsatu. Jak udało się dowiedzieć Pudelkowi, Górniak zgarnie za wykonanie kilku piosenek aż 150 tys. zł. To właśnie jej przypadnie zaszczyt zaśpiewania w okolicach północy i to z nią miliony widzów przywitają Nowy Rok.
– W tym roku decyzja zapadła szybko. Nowy Rok z widzami Polsatu przywita Edyta Górniak. To bez wątpienia największa gwiazda tegorocznej imprezy. Miała również propozycje od konkurencyjnych stacji, ale wybrała Polsat. Producenci są przekonani, że to właśnie ona najpiękniej wprowadzi widzów w Nowy Rok – zdradza „Faktowi" osoba związana z Polsatem.

WERONIKA ROSATI

Stanęła na ściance

Popularna aktorka od kilku lat mieszka na stałe w Los Angeles i tam koncentruje się na karierze. Co jakiś czas występuje w filmach i serialach, mając w dorobku role u boku takich gwiazdorów, jak Michael Douglas czy Nicolas Cage. Ostatnio pochwaliła się, że wystąpiła w filmie „In The Night", partnerując Mickeyowi Rourke. – Zrobiłam coś, co niewielu osobom się udało: międzynarodową karierę. Gram w zagranicznych produkcjach, z oscarowymi aktorami – podkreśla w „Vivie". W minionym tygodniu Rosati poinformowała, że wzięła udział w premierze thrillera „Housemaid", która odbyła się w Los Angeles.

Gazeta WROCŁAWSKA
www.gazetawroclawska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktor naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Anna Bijak-Bednarska**

Redakcja ul. św. Antoniego 2/4 (wejście A, I p.)
50-073 Wrocław, **tel. 71 37 48 151, 71 37 48 100**
redakcja@gazeta.wroc.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia 41-203
Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetawroclawska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA

0011454391

CHUBI BOOM

Zapraszamy na dobrą zabawę :)

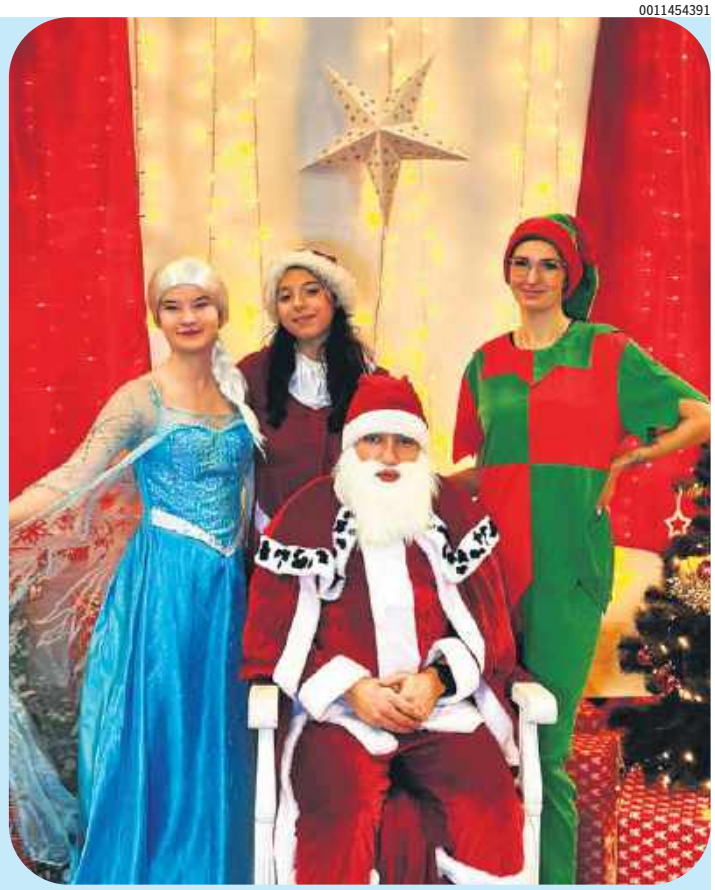

- organizacja urodzin
- wycieczki klasowe
- karaoke w każdy piątek
- warsztaty dla dzieci
- pizza z pieca opalanego drewnem
- torty i ciasta na zamówienie
- powierzchnia 3000 m²
- imprezy i animacje tematyczne

Chubi-Boom

Wrocław
aleja Aleksandra Brücknera
32/34, 51-411 Wrocław

godziny otwarcia:

pon. – czw. 11:00 – 20:00
pt. 11:00 – 21:00
sob. – nd. 10:00 – 21:00

eprasa.pl ea08fe165b

Gazeta Wrocławska
Wtorek–piątek, 23–26.12.2025

REKLAMA

0011445676

Rekordowe wsparcie dla rolnictwa i ambitne plany na przyszłość

ARiMR
Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa
Dolnośląski Oddział Regionalny

Rok 2025 to czas intensywnej pracy Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR). Od obsługi corocznych dopłat, przez inwestycje w nowoczesne technologie, aż po pomoc w sytuacjach kryzysowych – Agencja nie zwalnia tempa. Jak wygląda bilans działań na Dolnym Śląsku i jakie wyzwania czekają w najbliższych miesiącach?

ARiMR realizowała w tym roku szeroki wachlarz programów w ramach unijnej strategii Europejskiego Zielonego Ładu i krajowych inicjatyw pomocowych.

Kluczowe obszary to:

Rekordowe płatności obszarowe

16 czerwca zakończyła się kampania składania wniosków obszarowych za 2025 rok wraz z deklaracją ekoschematów, ONW, PRSK, ZRSK, RE i zalesień. Do dolnośląskich biur powiatowych zostało złożonych ponad 46 tysięcy wniosków. Od połowy października do końca listopada ARiMR w rekordowym tempie wypłaciła zaliczki. W pierwszej kolejności pieniądze trafiły do gospodarstw dotkniętych anomaliami pogodowymi.

Do 21 listopada na konta 43 958 dolnośląskich beneficjentów trafiło ponad 508 mln zł, a dodatkowe płatności w ramach ONW, PRSK, ZRSK, RE i zalesień wyniosły 98,2 mln zł. Od 1 grudnia będą przekazywane płatności końcowe. Czas na wydanie decyzji w sprawie przyznania dopłat bezpośrednich i obszarowych za 2025 rok mija 31 maja 2026 roku, a realizacja wypłat z tego tytułu powinna się zakończyć do 30 czerwca 2026 roku.

Dolnośląskie rolnictwo na finiszu wielkich inwestycji – czas rozliczeń i ostatnich szans na wsparcie.

Wielomiliardowe wsparcie dla rolników z Dolnego Śląska w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich (PROW) zbliża się do końca. 31 grudnia 2025 roku upływa okres kwalifikowalności wydatków, a tempo rozliczeń nabiera rozpędu.

Inwestycje na wagę przyszłości

Od modernizacji gospodarstw po ochronę środowiska – dolnośląscy rolnicy korzystają z szerokiego wachlarza wsparcia inwestycyjnego. Program obejmuje m.in.:
- Inwestycje w gospodarstwach na obszarach Natura 2000 (4.1.1)
- Ochronę wód przed zanieczyszczeniem azotanami (4.1.2)
- Modernizację gospodarstw rolnych (4.1.3)
- Zapobieganie skutkom klęsk żywiołowych (5.1)
- Odtwarzanie gruntów rolnych po katastrofach (5.2)
- Rozwój usług rolniczych (6.4)

Pierwotny budżet PROW na lata 2014–2020 wynosił 13,6 mld euro, z czego 8,7 mld euro pochodziło z funduszy UE, a 4,9 mld euro z wkładu krajowego. Wprowadzenie okresu przejściowego oraz dodatkowych środków z Europejskiego Instrumentu Odbudowy zwiększyło pulę o kolejne 6,4 mld euro. Umożliwiło to realizację projektów związanych z cyfryzacją i ekologiczną transformacją rolnictwa.

W województwie dolnośląskim złożono 4 830 wniosków o pomoc na łączną kwotę ponad 1 mld zł, a podpisane umowy opiewają na 553,6 mln zł dofinansowania.

Premie dla młodych i przedsiębiorczych

Oprócz inwestycji infrastrukturalnych, PROW wspiera rozwój osobisty i przedsiębiorczość na wsi. Kluczowe działania premiowe to:
6.1 – Premie dla młodych rolników
6.2 – Premie na rozpoczęcie działalności pozarolniczej
6.3 – Restrukturyzacja małych gospodarstw

Beneficjenci mieli czas do 31 sierpnia na złożenie wniosków o wypłatę drugiej raty pomocy wraz z dokumentacją potwierdzającą realizację biznesplanów. Na Dolnym Śląsku do obsługi pozostaje jeszcze 265 wniosków, a w skali kraju – 11 735. Na dzień 19 listopada w regionie nierozliczonych jest ok. 25% spraw, a w całej Polsce – ok. 15%.

Zbliżający się koniec okresu kwalifikowalności oznacza intensywną pracę dla rolników i instytucji obsługujących program. To ostatnia szansa na wykorzystanie dostępnych środków i zakończenie inwestycji, które mają kluczowe znaczenie dla konkurencyjności i zrównoważonego rozwoju polskiego rolnictwa.

Dolny Śląsk pokazuje, że inwestycje w rolnictwo to nie tylko modernizacja, ale także krok w stronę innowacji i ochrony środowiska. Teraz wszystko zależy od sprawnego rozliczenia – czas ucieka, a stawka jest wysoka.

Krajowy Plan Odbudowy – rolnictwo 4.0 i infrastruktura

ARiMR realizuje także inwestycje w ramach KPO, które zakończą się do 2026 roku. Wśród działań są: wsparcie przetwórstwa produktów rolnych, budowa silosów, wymiana dachów z materiałów szkodliwych, rozwój rolnictwa 4.0 oraz wymiana słupów na plantacjach chmielu. Na Dolnym Śląsku złożono 1 341 wniosków na kwotę 143,7 mln zł, a podpisano umowy na 64,9 mln zł.

Premie i wsparcie dla młodych rolników

W 2025 roku, w województwie dolnośląskim złożono 126 wniosków w ramach premii dla młodych rolników. Planowana jest zmiana stawki premii z 200 tys. zł do 300 tys. zł dla gospodarstw rozwijających produkcję zwierzęcą. Zwiększone wsparcie będzie dostępne od naboru w 2026 roku, a także dla osób, które złożyły wnioski w 2025 roku.

Inwestycje w gospodarstwach rolnych zwiększające konkurencyjność

20 listopada rozpoczął się nabór w ramach PS WPR na lata 2024-2027 z Interwencji I.10.1.1 „Inwestycje w gospodarstwach rolnych zwiększające konkurencyjność".

Nabór trwa do 19 grudnia i obejmuje dwa obszary: obszary A – wsparcie na operacje dotyczące rozwiązań rolnictwa precyzyjnego w budynkach lub budowlach służących produkcji zwierzęcej oraz obszar D – wsparcie na operacje dotyczące maszyn do zbioru.

Limit środków przeznaczony na ten nabór wynosi 836,55 mln PLN.

Pomoc krajowa i interwencyjna

ARiMR wypłaciła już ponad 36 mln zł w ramach programów związanych z powodzią z 2024 roku oraz dodatkowe środki dla poszkodowanych w suszy. W ramach 18 programów pomocowych tylko w 2025 roku na Dolnym Śląsku udzielono pomocy krajowej na kwotę ponad 32 mln zł. Programy obejmowały m.in. dopłaty do materiału siewnego kwalifikowanego, wsparcie dla producentów świń, pszczelarzy oraz pomoc w przypadku szkód spowodowanych klęskami żywiołowymi.

Koła Gospodyń Wiejskich – siła lokalnych społeczności

Wsparcie dla KGW rośnie z roku na rok. W 2025 roku przeznaczono na ten cel 153,5 mln zł, z czego prawie 7,5 mln zł trafiło do dolnośląskich kół. Organizowane są szkolenia, spotkania integracyjne i działania aktywizujące lokalne społeczności. W Krajowym Rejestrze Kół Gospodyń Wiejskich zostało zarejestrowanych 18 858 kół, w tym 942 na Dolnym Śląsku.

We współpracy z Dolnośląskim Ośrodkiem Doradztwa Rolniczego we Wrocławiu oraz Dolnośląskim Urzędem Marszałkowskim, we wszystkich powiatach zostały zorganizowane spotkania szkoleniowo-integracyjne dotyczące ważnych aspektów działalności KGW. Główne tematy to współpraca z lokalnym samorządem i różnymi instytucjami przy pozyskiwaniu środków zewnętrznych przez KGW, wymagania sanitarno-higieniczne oraz obowiązki KGW względem Urzędu Skarbowego.

Ogromna aktywność oraz szeroki zakres działań podejmowanych przez Koła pokazują, że są one otwarte i chętne do podejmowania różnorodnych inicjatyw. Ich obecność na terenach wiejskich ma duże znaczenie dla społeczności. Mając zwiększone możliwości pozyskiwania środków na aktywizację społeczności i rozwój terenów wiejskich, kobiety podejmują wysiłek, a jednocześnie pełnią ważną rolę w funkcjonowaniu polskich wsi.

Warto dostrzegać i doceniać ten trud.

To nie koniec działań wspierających Polską Wieś, należy również wspomnieć o realizowanej przez ARiMR pomocy dla grup producentów, interwencji związanych z systemami jakości żywności czy nadzwyczajnym wsparciem skierowanym do sektora drobiarskiego. To również 7 interwencji pszczelarskich (I.6.1 – I.6.7) i rozliczony do 15 października III nabór, zamykający się kwotą ponad 2 mln zł, wypłaconych na Dolnym Śląsku oraz nowy IV nabór, trwający od 10 października do 28 listopada.

Przed ARiMR kolejne zadania związane nie tylko z rolnictwem. Sprawna organizacja i realizacja dużej liczby działań w wyznaczonych terminach została dostrzeżona przez Ministerstwo Infrastruktury, które ARiMR wesprze w rozliczeniu wsparcia dofinansowania do wymiany tachografów. Nabór potrwa od 1 grudnia do 31 stycznia, a przewidziany budżet to 319 mln zł.

ARiMR nie zwalnia tempa – przed agencją kolejne wyzwania – cyfryzacja usług, realizacja nowych programów w ramach Planu Strategicznego WPR oraz reagowanie na skutki zmian klimatycznych. Wszystkie te działania mają jeden cel – zapewnić stabilne, nowoczesne i skuteczne wsparcie dla polskiego rolnictwa.

Szanowni Mieszkańcy dolnośląskiej wsi,

Z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, Dyrekcja Dolnośląskiego Oddziału Regionalnego Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa pragnie złożyć życzenia wszystkim beneficjentom naszej instytucji, aby ten szczególny czas był wytchnieniem od codziennych trosk oraz przepełniony spokojem i radością wypełnionym szczęściem spędzonym w gronie najbliższych.

Życzymy Państwu zdrowia, pomyślności, satysfakcji i sukcesów w realizacji planów osobistych i zawodowych oraz szczęśliwego Nowego Roku 2026.

Dyrekcja DOR ARiMR

eprasa.pl ea08fe165b

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?
Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249
Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapress.pl

W Biurze Reklamy:
Biuro Ogłoszeń: **Wrocław**, ul. Świętego Antoniego 2/4
tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132
Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8.00-16.00

Gazeta WROCŁAWSKA

BIURA W REGIONIE:

Jelenia Góra, tel. 797 607 853
Legnica, tel. 514 800 870
Syców, tel. 514 800 969
Lubin, tel. 514 800 969
Wałbrzych, tel. 502 499 983
Głogów, tel. 798 751 830
Świdnica, tel. 502 499 983

BIURA WSPÓŁPRACUJĄCE:

ARPRO Sp. z o.o. Al. Kasztanowa 20, tel.71/341-23-53
DAMAK'S ul. Kniaziewicza 23 B, tel. 71/341-07-87
EUROPARTNER Centrum Ogłoszeń Prasowych Wrocław, ul. Stefana Czarnieckiego 13, tel. 71/789-44-00 -03
PRESTIGE ul. Kościuszki 128a, tel. 693-693-737
SEBAMAR ul. Sienkiewicza 43, tel. 71/321-29-04
SUNPRESS Biuro Ogłoszeń Prasowych Plac Pereca 3 lok. 1 B, tel. 71/785-55-23

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ bez pośrednika 500-185-254.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

SPRZEDAM działkę budowlanom. Biały Kościół gmina Strzelin, tel. 531-000-284.

Handlowe

ANTYKI

ANTYKI, stare obrazy, meble, starocie - kupię, 660-532-696.

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki hamulcowe - wymiana okładzin. Świdnica. www.metalowiec.com Tel. 728-493-565.

Praca

ZATRUDNIĘ

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

Zdrowie

STOMATOLOGIA

Protetyka 507-650-105.

WIECZORNA, SOBOTNIA pomoc stomatologiczna. Rozpoczynamy dyżury 03.01.2025 od 16.00 do 22.00. PORADENTIC 507 650 105.

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów LED, LCD; 71/351-60-02, 502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary. 71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie 71/351-15-15, 603-867-128.

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna, rolety, drzwi. Montaż, produkcja, naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie, tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

Hydraulik, Elektryk 505-087-474.

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: **ibo.polskapress.pl**

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis drzwi antywłam. 501-104-158.

Różne

WRÓŻBY, porady: profesjonalnie 693611517, www.wrozby.pop.pl

Usługi kamieniarskie

KAMIENIARSTWO. Pomniki granitowe. Koszt z montażem 2.500 zł. Tel. 691-883-105.

REKLAMA 0011455664

Starosta Lwówecki

informuje,

że w dniu 19 grudnia 2025 r. na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego w Lwówku Śląskim został wywieszony na okres 21 dni **wykaz nieruchomości przeznaczonej do sprzedaży**, stanowiącej własność Skarbu Państwa, położonej w obrębie Golejów, gmina Lubomierz oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 106/4.

REKLAMA 0011455672

Starosta Lwówecki

informuje,

że w dniu 15 grudnia 2025 roku na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego w Lwówku Śląskim został wywieszony na okres 21 dni wykaz nieruchomości, stanowiącej własność Skarbu Państwa, oznaczonej w ewidencji gruntów w obrębie 1 miasta Lwówek Śląski jako działka nr 392, przeznaczonej do oddania w użyczenie.

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strona podróży

Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

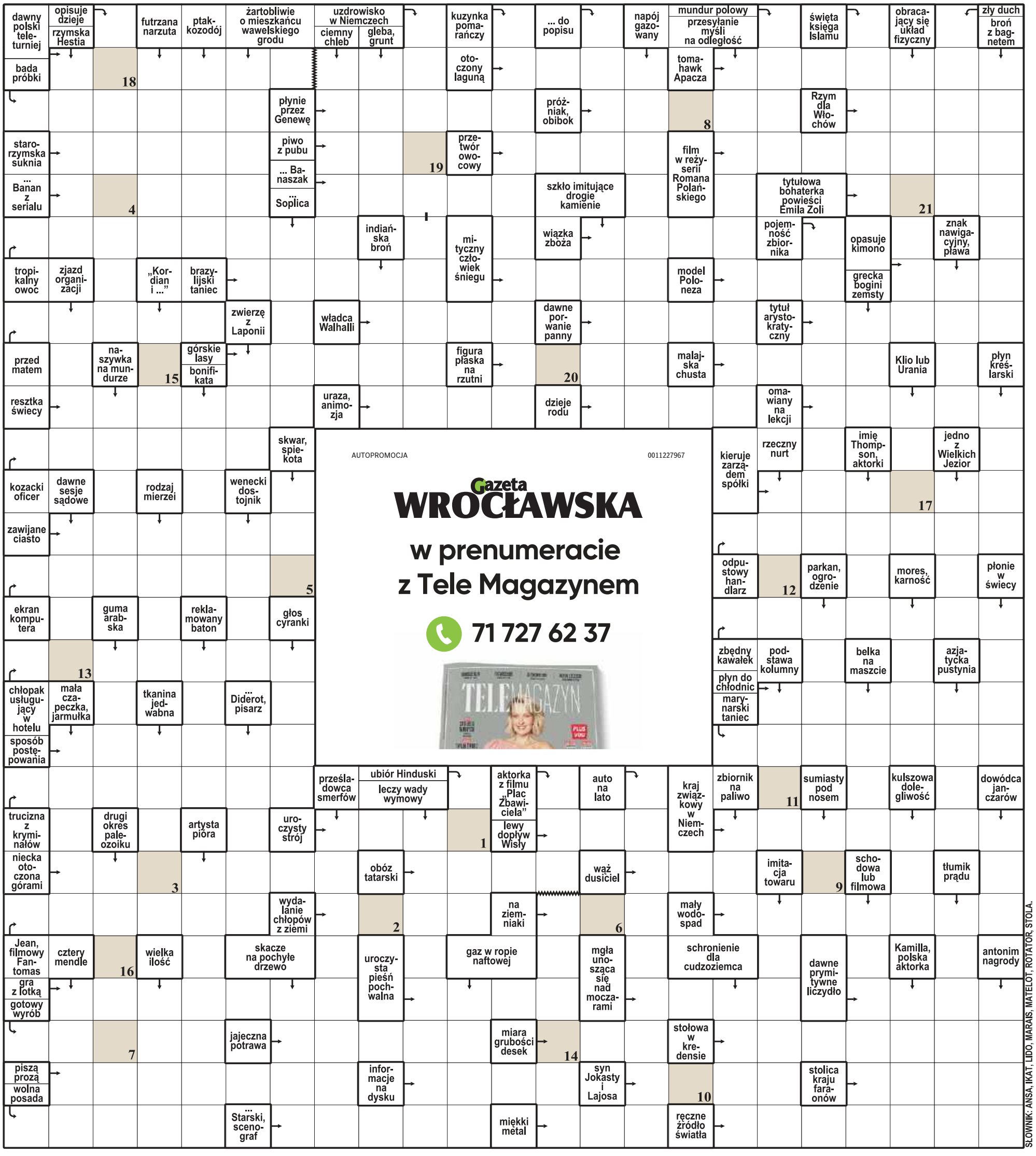

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą rozwiązanie – myśl Cypriana Kamila Norwida.

SŁOWNIK: ANSA, IKAT, LIDO, MARAIS, MATELOT, ROTATOR, STOLA.

ROZWIĄZANIE: AUTORÓW SĄDZĄ ICH DZIEŁA.

eprasa.pl ea08fe165b

Powrót „Lewego”. Zalewski i Piotrowski z asystami

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **To był kolejny niezbyt udany weekend reprezentantów Polski. Żaden nie strzelił gola, a asysty zaliczyli tylko Nicola Zalewski i Jakub Piotrowski. Do gry wrócił Robert Lewandowski.**

Prawy obrońca Aston Villi Matty Cash zaliczył koszmarny błąd przy golu rywala w meczu z Manchesterem United – wdał się w drybling pod własnym polem karnym, stracił piłkę i w kosekwencji „The Villans” bramkę. Na szczęście strata gola nie przeszkodziła w wygranej. Kolejny występ zaliczył w Bundeslidze 18-letni środkowy obrońca FSV Mainz 05 Kacper Potulski.

Atalanta Bergamo męczyła się cały mecz w niedzielę z Genoą. Już w 3. minucie czerwoną kartką ukarany został bramkarz Genui Nicola Leali. Mimo mniejszej liczby zawodników, gospodarze dzielnie się bronili i niemal do ostatniego gwizdka utrzymali bezbramkowy remis. Na ławce rezerwowych aż do 69. minuty siedział Nicola Zalewski. Gdy wszedł na murawę, szybko dostał żółtą kartkę. Mimo gry w przewadze, Atalanta nie umiała strzelić gola, aż do ostatniej akcji meczu. W 94. minucie Zalewski został jednym z bohaterów, bowiem popisał się perfekcyjnym dośrodkowaniem z rzutu rożnego w pole karne, gdzie szwedzki obrońca Isak Hien precyzyjnym uderzeniem dał zwycięstwo Atalancie.

– Przed wejściem na boisko trener Palladino poprosił mnie, żebym robił to, co zwykle, czyli dawał z siebie wszystko w obronie, rywalizując z Nortonem-Cuffym, żebym naciskał, aby trzymać go nisko. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się wygrać, niezależnie od tego, kto strzelił czy zaliczył asystę. Potrzebowaliśmy tych punktów – przyznał Zalewski.

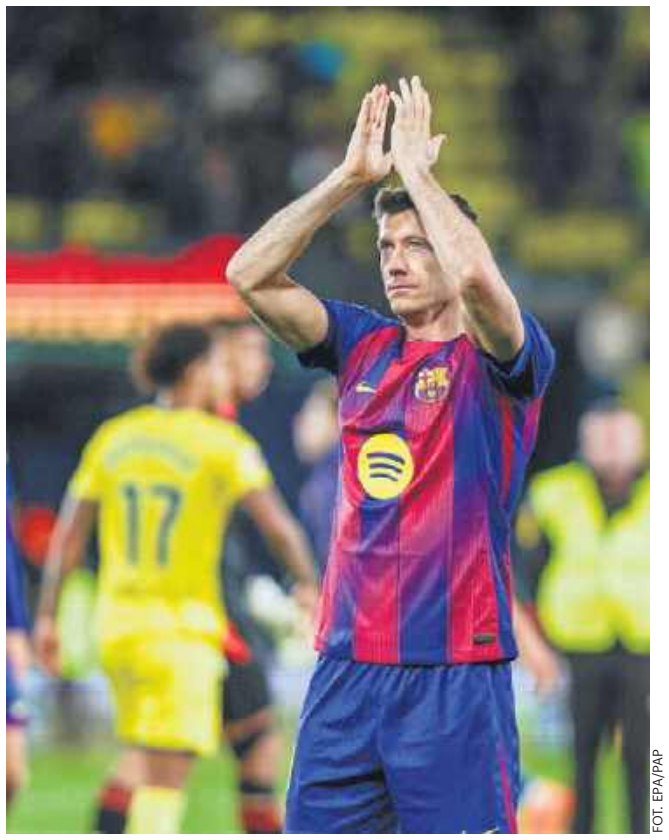
FOT. EPA/PAP

Robert Lewandowski wrócił do gry w Barcelonie, ale tym razem nie zdobył bramki w meczu z Villarrealem

Asystę zaliczył też niepowoływany ostatnio Jakub Piotrowski. Pomocnik Udinese, 66. minucie zagrał piętą w środku pola do Oumara Soleta. Francuz popędził w kierunku bramki gospodarzy i potężnym uderzeniem zza pola karnego nie dał bramkarzowi rywali żadnych szans. Była to jednak asysta na otarcie łez, bo Udinese uległo ostatniej w tabeli Serie A Fiorentinie aż 1:5.

Na murawę, po kilku meczach przerwy, wrócił w FC Barcelonie Robert Lewandowski. „Blaugrana” wygrała 2:0 z Villarrealem, ale „Lewy” nie był w stanie wywrzeć jakiejś niesamowitej presji pod bramką gospodarzy. Cieszy, że porównywalnie w pierwszej połowie zagrał Ferran Torres, a można rzec, że Lewandowski był w niedzielę lepszy od Hiszpana.

©℗

WEEKEND KADROWICZÓW

Bramkarze:
Bartłomiej Drągowski (Panathinaikos) – na ławce rezerwowych w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.
Kamil Grabara (VfL Wolfsburg) – 90 minut w przegranym 3:4 meczu z Freiburgiem.
Kacper Tobiasz (Legia Warszawa) – na ławce w wygranym 4:1 meczu z Lincoln.
Mateusz Kochalski (Karabach Agdam) – na ławce w wygranym 2:1 meczu z Gabalą.

Obrońcy:
Jan Bednarek (Porto) – mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia, ale nie zagrał z powodu nadmiaru kartek.
Matty Cash (Aston Villa) – 90 minut i błąd w wygranym 2:1 meczu z Manchesterem United.
Tomasz Kędziora (PAOK) – 90 minut w wygranym 2:0 meczu z Panathinaikosem.
Jakub Kiwior (Porto) – mecz odbył się w poniedziałek, 22 grudnia.
Kryspin Szcześniak (Górnik Zabrze) – runda jesienna zakończona.
Przemysław Wiśniewski (Spezia) – 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Frosinone.
Paweł Wszołek (Legia Warszawa) – runda jesienna zakończona.
Jan Ziółkowski (AS Roma) – 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Juventusem.
Kacper Potulski – reprezentant Polski U21 (Mainz) – 90. minut w zremisowanym 0:0 meczu z St. Pauli.

Pomocnicy:
Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin) – runda jesienna zakończona.
Jakub Kamiński (FC Köln) – 86. minut w przegranym 0:1 meczu z Unionem Berlin.
Bartosz Kapustka (Legia Warszawa) – runda jesienna zakończona.
Kacper Kozłowski (Gaziantep FK) – mecz odbył się wczoraj.
Filip Rózga (Sturm Graz) – 17 minut w przegranym 1:3 meczu z Austrią Wiedeń.
Michał Skóraś (Gent) – pauza za czerwoną kartkę.
Bartosz Slisz (Atlanta United) – zakończył sezon.
Sebastian Szymański (Fenerbahce) – 9 minut w wygranym 3:0 meczu z Eyupsporem.
Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo) – 21 minut i asysta w wygranym 1:0 meczu z Genoą.
Piotr Zieliński (Inter Mediolan) – 90 minut w przegranym 1:2 meczu z Bologną.
Jakub Piotrowski (Udinese) – 90. minut i asysta w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.

Napastnicy:
Adam Buksa (Udinese) – 26. minut w przegranym 1:5 meczu z Fiorentiną.
Robert Lewandowski (FC Barcelona) – 29 minut w wygranym 2:0 meczu z Villarrealem.
Karol Świderski (Panathinaikos) – 66 minut i żółta kartka w przegranym 0:2 meczu z PAOK-iem.

Tomasiak najwyżej wśród Polaków na liście płac Pucharu Świata skoczków

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Po 10 z 35 zawodów numerem 1 na liście płac jest lider Pucharu Świata Domen Prevc.**

Kacper Tomasiak po udanym weekendzie w Szwajcarii, gdzie zajął 13. miejsce w sobotę i piąte w niedzielę, awansował w zestawieniu zarobków na 13. lokatę. Na jego koncie jest ponad 28 tysięcy euro, czyli około 120 tys. zł.

Domen Prevc, który w sobotę był pierwszy i wygrał piąty raz z rzędu w sezonie, a w niedzielę musiał uznać wyższość jedynie Japończyka Ryoyu Kobayashiego, zarobił już 134 775 euro, czyli 566 tys. zł.

Zwycięzca klasyfikacji generalnej Pucharu Świata i lider płac w minionym sezonie, Austriak Daniel Tschofenig, jest obecnie ósmy na liście zarobków (54 650 euro), po tym jak w Engelbergu nie zdołał w niedzielę zakwalifikować się do drugiej serii.

Po raz pierwszy w historii FIS nagrody finansowe wypłaca nie we frankach szwajcarskich, lecz w euro. Za pierwsze miejsce w konkursie indywidualnym płaci się 15 tys. euro, a za zwycięstwo w kwalifikacjach 3175 euro. Nagrodę finansową otrzymuje każdy skoczek, który wystąpił w drugiej serii. Za 30. pozycję jest to 500 euro. Za pierwsze miejsce w konkursie drużynowym i mikstów każdy z uczestników dostaje 8500 euro.

Oficjalne premie nie są jedynymi dochodami skoczków narciarskich. Zawodnicy ze światowej czołówki mają podpisane prywatne kontrakty sponsorskie i reklamowe, których wysokość jest objęta tajemnicą. ©℗

LISTA PŁAC PUCHARU ŚWIATA
(kwoty w euro i złotych)
1. Domen Prevc (Słowenia) 134 775 (566 000).
2. Ryoyu Kobayashi (Japonia) 103 075 (432 900).
3. Philipp Raimund (Niemcy) 76 175 (319 900).
.....
13. Kacper Tomasiak (Polska) 28 450 (119 500).
23. Kamil Stoch (Polska) 16 325 (68 600).
24. Piotr Żyła (Polska) 13 200 (55 400).
32. Paweł Wąsek (Polska) 6 450 (27 200).
36. Dawid Kubacki (Polska) 5 100 (21 400).
37. Maciej Kot (Polska) 4 200 (17 600).

FOT. EPA/PAP

Osiemnastoletni Kacper Tomasiak zarobił dotychczas najwięcej spośród Polaków w Pucharze Świata skoczków

Czy FC Barcelona powinna zostawić Lewandowskiego? Za i przeciw

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Robert Lewandowski młodszy już nie będzie. W przyszłym roku skończy 38 lat, a jego kontrakt z FC Barceloną obowiązuje tylko do końca obecnego sezonu.**

Pojawia się więc pytanie, czy mistrzowie Hiszpanii zdecydują się na jego przedłużenie. Oto argumenty za i przeciw.

W kuluarach coraz częściej słychać, że może to być ostatnia kampania kapitana reprezentacji Polski w barwach Barcelony. Tym bardziej że po Lewandowskiego ustawiła się już kolejka chętnych – wśród nich wymienia się kluby z Arabii Saudyjskiej, amerykańskie Chicago Fire oraz włoski AC Milan. Te zespoły mogą zaproponować Polakowi znacznie lepsze warunki finansowe niż te, które może zaoferować Barcelona.

W tym sezonie Lewandowski radzi sobie gorzej. Strzelił 8 goli w La Liga, a w Lidze Mistrzów wciąż czeka na premierowe trafienie w trwającej kampanii. Jego licznik zatrzymał się na 105 trafieniach.

Argumenty „za”

Gwarantuje 15+ goli w roku – trudno sobie wyobrazić, by Robert Lewandowski miał zejść poniżej pewnego poziomu. Nawet gdy zaczyna mecze na ławce rezerwowych, jak w ostatnich występach Barcelony, wciąż potrafi trafiać do siatki. Znaleźć innego środkowego napastnika w jego wieku, który w ciągu jednego roku kalendarzowego zdobyłby aż 27 bramek, graniczy z cudem. Nawet Cristiano Ronaldo czy Lionel Messi dziś funkcjonują raczej na peryferiach wielkiej piłki i nie odgrywają już kluczowych ról w europejskim futbolu.

Doświadczenie i leadership – Lewandowski w Barcelonie to nie tylko superstrzelec, ale przede wszystkim mentor i lider młodszych zawodników, takich jak Gavi, Pedri, Lamine Yamal czy Fermín López. Jego ogromne doświadczenie i obycie na europejskich boiskach bez wątpienia wpływa na postawę całej drużyny.

Argumenty „przeciw”

Wiek i perspektywy na przyszłość – Robert ma ponad 37 lat, a to oznacza u niego naturalny spadek dynamiki i wydolności, co może być coraz bardziej widoczne. Mogliśmy to obserwować w ostatnich meczach, w których zaczynał na ławce rezerwowych i ewentualnie podnosił się z niej w drugiej połowie rywalizacji.

Koszty kontraktu – jeśli Barcelona zdecyduje się przedłużyć umowę z „Lewym”, na pewno nie będzie to na obecnych warunkach, a sam piłkarz będzie musiał liczyć się ze znaczną obniżką wynagrodzenia.

Coraz częstsze kontuzje utrudniające mu regularną grę i strzelanie goli.

Co zrobi Laporta?

Prezes Barcelony Joan Laporta przed podjęciem decyzji powinien powyższe „za” i „przeciw” wziąć pod uwagę, a także kogo z rynku i za jaką kwotę mógłby ściągnąć jako „9” na następcę polskiego goleadora. Dopiero te wytyczne dadzą właściwą odpowiedź.

©℗

eprasa.pl ea08fe165b

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

NIEDZIELA, 21.12
Multi Multi – godz. 22:00
2, 3, 6, 8, 19, 23, 26, 28, 31, 36, 38, 40, [47], 48, 54, 66, 74, 75, 77, 79
Mini Lotto
3, 5, 37, 38, 40

Kaskada – godz. 22:00
2, 4, 6, 11, 12, 13, 16, 17, 18, 20, 22, 23
Ekstra Pensja
6, 19, 31, 34, 35 + 3
Ekstra Premia
9, 17, 24, 25, 29 + 1

PONIEDZIAŁEK, 22.12
Multi Multi – godz. 14:00
5, [10], 16, 23, 31, 46, 47, 49, 50, 58, 63, 66, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74
Kaskada – godz. 14:00
2, 4, 5, 6, 11, 12, 13, 15, 17, 21, 22, 24

Rózgi i pomarańcze na spartańskie święta

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

ŻUŻEL. **Podsumowujemy 2025 rok we wrocławskim żużlu, rozdając na święta Bożego Narodzenia symboliczne pomarańcze i rózgi.**

Tę tradycję podtrzymujemy od dawna w kontekście piłkarskiego Śląska, a w ostatnich latach dotyczy ona także wrocławskiego żużla. Bierzemy pod uwagę nie tylko samych zawodników, ale również tych, którzy tworzą Spartę - działaczy, trenerów i kibiców. Zacznijmy od pozytywów.

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Podczas przedsezonowej prezentacji cała drużyna Betard Sparty Wrocław okazała wsparcie Taiowi Woffindenowi, który kilka dni wcześniej uległ ciężkiemu wypadkowi

POMARAŃCZE

Dariusz Śledź

Za całokształt. Złośliwi powiedzą, że poprowadził Spartę tylko do jednego mistrzostwa, nie zawsze podejmował dobre wybory taktyczne, a członków drużyny traktował bardziej jak kolegów niż „żołnierzy". Trzeba mu jednak oddać, że zapracował na status żywej legendy Sparty, sięgając z nią po złoto zarówno jako zawodnik (1993-1995), jak i trener (2021). Szkoda tylko, że nie miał okazji, aby z honorami - tak jak rok wcześniej Tai Woffinden - pożegnać się z wrocławskimi kibicami. O tym jednak nieco później...

Brady Kurtz

Wszedł do Betard Sparty razem z drzwiami. W swoim debiucie w barwach WTS-u (wyjazdowy mecz z PRES Grupą Deweloperską Toruń) wypadł co prawda dość blado, ale przywitanie z kibicami na Stadionie Olimpijskim miał już najlepsze z możliwych (komplet 14+1 w spotkaniu ze Stelmet Falubazem Zielona Góra). Należy podkreślić, że miewał gorsze momenty, ale jego siłą było to, że nawet po słabszych początkach meczów potrafił odnaleźć dobre ustawienia i wrócić do gry. Betard Sparta będzie miała z niego sporo pożytku, a my mamy poważnego kandydata do tytułu Sportowca Roku w naszym plebiscycie.

Młodzież

Młodzi mają prawo popełniać błędy. Juniorzy Betard Sparty nie stanowią wyjątku, ale w ostatnim sezonie wszelkie niedociągnięcia zostały skutecznie przykryte wyraźnym progresem.

Jakub Krawczyk spisywał się tak dobrze, że szefostwo klubu może żałować, iż tak szybko zdecydowało o jego najbliższej przyszłości. 21-latek w sezonie 2026 będzie jeździł w swojej macierzystej Moonfin Malesie Ostrów, a w 2027 roku wróci do Wrocławia. Wydaje się, że w obecnej formie byłby większym wzmocnieniem zespołu na pozycji U24 niż Bartłomiej Kowalski.

Na brawa zasługuje też Marcel Kowolik. Przed 17-latkiem wciąż dużo pracy, ale widać, że z każdym meczem ma coraz więcej umiejętności i pewności siebie.

Warto podkreślić, że drugi rok z rzędu Beckhoff Sparta wygrała rozgrywki U24 Ekstraligi, a motorem napędowym wrocławskiej drużyny był duński narybek - William Echardt Drejer i Mikkel Andersen. Tego drugiego w sezonie 2026 będziemy oglądać zapewne znacznie częściej, już w tym „dorosłym" żużlu w PGE Ekstralidze.

Kibice

93,82 / 99,06 / 100,00 / 100,00 - to procentowe wskaźniki frekwencji na domowych spotkaniach Betard Sparty w latach 2022-2025. W umownych mistrzostwach Polski kibiców fani WTS-u mieliby na koncie kilka złotych medali z rzędu. Nic nie wskazuje na to, aby ta tendencja miała ulec zmianie. Zdecydowana większość karnetowiczów z 2025 roku przedłużyła całosezonowe wejściówki na przyszłoroczne rozgrywki PGE Ekstraligi.

RÓZGI

Maciej Janowski

Można odnieść wrażenie, że nawet ci kibice, którzy krytykują jego dyspozycję na torze, w głębi serca życzą mu powrotu do wysokiej formy. Janowski często podkreśla, że podczas treningów „przerzuca" sporo sprzętu i szuka jak najlepszych rozwiązań. I kiedy wydaje się, że już to odnalazł, w kolejnym wyścigu ponownie słabo wychodzi spod taśmy, nie ma prędkości i zabawa zaczyna się od nowa. Kapitanowi Betard Sparty życzymy, aby w 2026 roku - już pod okiem nowego trenera, Piotra Protasiewicza - nawiązał do swoich najlepszych lat. Prezes Andrzej Rusko ma do niego w pełni uzasadnioną słabość, ale jeśli „Magic" zaliczy kolejny słaby sezon, szef klubu nie będzie miał argumentów, aby przedłużyć z nim współpracę.

Bartłomiej Kowalski

Podobny przypadek co Janowski. Nie można zarzucać mu braku zaangażowania, ale w ostatnim sezonie wyraźnie spuścił z tonu. Na Stadionie Olimpijskim miał niezłą skuteczność (1,976), ale na wyjazdach było znacznie gorzej (0,824). Kowalskiemu życzymy więc, aby na każdym torze czuł się jak w domu. Wciąż drzemie w nim spory potencjał.

AWF Wrocław

Gdy okazało się, że Betard Sparta nie może być gospodarzem rewanżowego meczu o brązowy medal PGE Ekstraligi, gromy spadły najpierw na głowy przedstawicieli WTS-u. Okazało się jednak, że wrocławski klub przed sezonem przekazywał Akademii Wychowania Fizycznego, w jakich datach Betard Sparta może rozgrywać kluczowe spotkania. Prośba niestety nie została wysłuchana. 27 i 28 września Stadion Olimpijski ostatecznie gościł międzynarodową wystawę psów rasowych, a nie ceremonię wręczenia brązowych krążków. Kibicom WTS-u na osłodę pozostało wysokie zwycięstwo nad Bayersystem GKM-em Grudziądz w pierwszym starciu o trzecie miejsce. Dariusz Śledź po siedmiu latach w roli trenera Betard Sparty stracił jednak okazję, aby pożegnać się z wrocławskimi kibicami i podziękować im za siedem lat, w trakcie których prowadził WTS. ©℗

Najlepsi floreciści w kraju walczyli w Obornikach Śląskich

Jan Nowak i Amelia Olszewska wygrali II Puchar Polski Seniorów we florecie. Zawody zorganizowano w Obornikach Śląskich.

Wrocławski Klub Szermierczy „Kolejarz" zorganizował - w pięknie wyremontowanym, przyjaznym dla szermierki Ośrodku Sportu i Rekreacji w Obornikach Śląskich - kolejną ogólnopolską imprezę szermierczą. Tym razem był to II Puchar Polski Seniorów we florecie kobiet i mężczyzn.

W sobotę na planszach walczyli najlepsi w Polsce seniorzy. Zdecydowanym zwycięzcą okazał się Jan Nowak (AZS-AWF Poznań), który w finałowym pojedynku pokonał 15:12 Adama Jakubowskiego (KS AZS AWFIS Gdańsk). Na najniższym stopniu podium stanęli Bartosz Sacharczuk (KS AZS AWFIS Gdańsk) i Adam Wojtkowiak AZS-AWF Poznań). Szósty był Leszek Rajski (KSz Wrocławianie).

Wśród kobiet na najwyższym stopniu podium po klubowej walce finałowej, która zakończyła się wynikiem 15:10, stanęła Amelia Olszewska (KS AZS AWFIS Gdańsk). Na drugim stopniu podium stanęła jej koleżanka klubowa Hanna Wojtas. Obie wyżej wymienione panie wygrały swoje pojedynki półfinałowe z Aleksandrą Jeglińską (AZS-AWF Warszawa) oraz Danutą Tym (Warta-Muszkieterowie Poznań).

Zawody - jak zawsze - przeprowadzono sprawnie, a najlepsi otrzymali wartościowe nagrody dzięki finansowemu wsparciu Urzędu Marszałkowskiemu Województwa Dolnośląskiego oraz firmy Deichmann Sp. z o.o. **JG**

FOT. MAT. PRASOWE

Organizatorem zawodów był niezawodny klub Kolejarz Wrocław

eprasa.pl ea08fe165b

Wtorek
23.12.2025

| 6,50 ZŁ w tym 8% VAT

WYD. 6

Głogów

Gazeta WROCŁAWSKA

tygodnik
GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 297/52

LUDZIE

MIŁOŚĆ PONAD GRANICAMI

PRZYSTOJNY GREK PODBIŁ SERCE PANI WÓJT. ZA NIMI JUŻ ZARĘCZYNY

str. 10

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

INWESTYCJE

W śródmieściu kilka ulic idzie do remontu

W przyszłym roku duże zmiany ma przynieść przebudowa ulic położonych przy dworcu PKP **str. 4**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206

UWAGA

Drodzy Czytelnicy, razem ze świątecznym wydaniem Tygodnika otrzymacie kalendarz na 2026 r. w prezencie

Spokojnych, radosnych Świąt Bożego Narodzenia i pomyślności w Nowym Roku życzy redakcja

FOT. GETTY IMAGES

REKLAMA 0011233183

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DOROSŁYCH I DZIECI

CZEKAMY NA PAŃSTWA
W NOWEJ LOKALIZACJI

Zmiana lokalizacji

Głogów, ul. Kościuszki 15 F
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)
888 748 707, 76 835 05 01

eprasa.pl ea08fe165b

Tadeusz Płatek

Wiem dużo, bardzo dużo. To wspaniale!

Niezależnie o tego jak rozwijać się będą media, jednego możemy być pewni - zawsze będą quizy. Reportaże, newsy czy nawet horoskopy - pewny nie jestem. Quizy natomiast przetrwają zagładę atomową z prostej przyczyny - pragniemy się lubić. Zdarzają się takie dni, że słyszę chichot świata. Wszystko wtedy daje jasno do zrozumienia, że nie jestem królem życia. Że są ode mnie ludzie pod każdym względem lepsi, mądrzejsi, piękniejsi, silniejsi. Co wtedy, w beznadziei, robię? Czekam pół roku na pierwsze promienie wiosny? Czytam Herberta, by przynajmniej poczuć się szlachetnym? Nie! Wchodzę do internetu, klikam w portal i odpalam „Wielki quiz geograficzny. 10/15 osiągnie tylko mistrz". Pięć minut i co? Jestem mistrzem. Nie tylko geografii, ale też ortografii. A potem jeszcze pluję z góry na chichot losu, ponieważ rozwaliłem system z historii współczesnej. Dowiodłem, całemu światu i sobie, że wiem co to Surinam, przydawka i Kadafi. Czasem, gdy jednak czegoś nie wiem, to sobie ukradkiem sprawdzę w Wikipedii. Tak jak zrzynałem w szkole, tak teraz sobie poszachruję - ważne, by być mistrzem. Udowodnić, że cała ta moja szkoła, szkół wiele, te wszystkie nauki, zeszyty, preparatki, kolokwia, że one miały głęboki sens. Nawet gdy się wszystko zawali, to wciąż będę wiedział co to punkt rosy i że parowanie zachodzi w każdej temperaturze. Edukacja w Polsce to jest jeden wielki quiz. Polega na przyswajaniu wiedzy z pozoru bezwartościowej, a jednak niezbędnej. Regały ciekawostek w naszych czaszkach pozwalają bowiem nie tylko gromić krzyżówki i błyszczeć przed wnukami. One dają nam wewnętrzne poczucie wartości.

Bank PKO BP zmienia siedzibę

Grażyna Szyszka
Głogów

Oddział banku PKP BP przy Placu Konstytucji 3 Maja w Głogowie zmienia siedzibę. Po blisko 30 latach opuszcza lokal przy hotelu Qubus. I to jeszcze w grudniu.

Klienci banku Oddziału 1 PKO BP przy Placu Konstytucji 3 Maja w Głogowie muszą się przygotować na zmiany. Pod koniec grudnia placówka wyprowadza się z lokalu przy Hotelu Qubus pod nowy adres.

Bank będzie działać na parterze nowego apartamentowca przy ul. Sikorskiego 11 H (między Szkołą Podstawową nr 2 a Bankiem Spółdzielczym Głogów). Przeprowadzka wiąże się z czasowym zamknięciem placówki. Jak informuje bank, w starej siedzibie oddział będzie pracował do poniedziałku, 22 grudnia do godziny 14. Ponownie otworzy się już w nowej siedzibie przy ul. Sikorskiego, ale po świętach, czyli w poniedziałek, 29 grudnia w godzinach 12-17.

Nowa placówka ma być nowoczesna i na parterze, więc nie będzie już kłopotliwych, zwłaszcza dla starszych, schodów

Nowa placówka ma być nowoczesna i na parterze, więc nie będzie już kłopotliwych, zwłaszcza dla osób starszych, schodów.

Znikną też kolejki do bankomatu, bo przy Sikorskiego klienci będą mieć do dyspozycji dwa takie urządzenia. Do tego stanie też wrzutnia elektroniczna.

- Przez wielu klientów zmiana naszej siedziby postrzegana jest bardzo pozytywnie - przyznaje Joanna Kaczmarek, dyrektorka głogowskiego oddziału PKO BP.

I dodaje, że będzie to nowa jakość, zarówno dla odwiedzających bank, jak i dla pracowników.

FOT. GMINA GAWORZYCE

NIELUBIA

Wigilia zuchów i harcerzy

Zuchy i harcerze Związku Drużyn „Żywioły"z gmin Żukowice, Radwanice i Gaworzyce spotkali się przy wigilijnym stole. Wspólne kolędowano oraz rozmawiano przy wigilijnym stole. Zaproszono m.in. starostę polkowickiego Kamila Ciupaka, wójta gminy Gaworzyce Jacka Szwagrzyka, wójta gminy Żukowice Krzysztofa Wołoszyna oraz przedstawiciele gminy Radwanice.

Harcerską kadrę instruktorską reprezentowali Krzysztof Stachów, Komendant Hufca ZHP Głogów, oraz Ewa Chorąży wraz z drużynowymi.

- To spotkanie jest ważne przede wszystkim dla dzieci i młodzieży. Widać, że czują się tu swobodnie i że to dla nich coś więcej niż oficjalne wydarzenie. Takie inicjatywy budują relacje, które zostają na lata – powiedział wójt Krzysztof Wołoszyn.

W centrum wydarzenia pozostawali zuchy i harcerze. To oni nadawali spotkaniu rytm i charakter, a obecność dorosłych miała przede wszystkim wymiar organizacyjny i wspierający. SEL

GŁOGÓW

Zapraszają do zwiedzenia Jubilata

Jubilat otworzy drzwi dla zwiedzających. Kiedyś kino a po przebudowie Miejskie Centrum Integracji. Miasto zaprasza na Dzień Otwarty obiektu - 30 grudnia, czyli we wtorek. Zwiedzanie ma się odbywać w godz. 10-17. A tuż po nowym roku, w dawnym kinie Jubilat zostanie otwarte Miejskie Centrum Integracji. Przebudowa budynku trwała od 2023 roku, a terminy otwarcia były kilka razy przesuwane. W sumie poślizg inwestycji ma blisko… rok. Niedawno ściągnięto blaszany płot okalający plac budowy i można już swobodnie przechodzić nowymi ścieżkami. Widać też, jak bardzo zmieniło się otoczenie dawnego kina. Przybyło sporo ławek, obsadzono klomby, a na bocznej ścianie budynku zamontowano sporą konstrukcję z roślinnością. SEL

GŁOGÓW

Ciężarówka uderzyła w budynek

W Brzegu Głogowskim doszło 18 grudnia do niebezpiecznej sytuacji na drodze. Po godz. 8 na zakręcie samochód ciężarowy wpadł w poślizg, uderzył w budynek mieszkalny, odbił się od niego i następnie wpadł na sąsiednią posesję. Budynek, w który uderzył pojazd nie został konstrukcyjnie naruszony. Auto zerwało jedynie część ocieplenia. Podczas zdarzenia w pomieszczeniu nie było mieszkańców. O tym, że coś się stało, dowiedzieli się dopiero po przyjeździe służb. Kierowca wyszedł bez szwanku. Był trzeźwy. Prawdopodobnie jechał zbyt szybko. Został ukarany mandatem karnym w wysokości 1 tys. zł. SEL

AWANS NAUCZYCIELEK Z GŁOGOWSKICH SZKÓŁ

FOT. KACPER CHUDZIK

Pięć nauczycielek, awansowanych na stopień nauczyciela mianowanego, złożyło ślubowanie w głogowskim ratuszu. To Dominika Rolla z SP 7, Maryla Gut-Rejkowicz z SP 3, Natalia Sobczyk z SP 12, Katarzyna Sarzyńska z SP 10 i Magdalena Mackiewicz z SP 11. – Bardzo się cieszę z faktu, że nasza głogowska kadra nauczycielska ciągle podnosi swoje kwalifikacje, co przełoży się na jeszcze lepsze warunki edukacji dzieci i młodzieży. Serdecznie gratuluję awansu – powiedział prezydent Rafael Rokaszewicz. Magdalena Piszlewicz

tygodnik GŁOGOWSKI

SZEF REDAKCJI LOKALNEJ: **Grażyna Szyszka, grazyna.szyszka@gazeta.wroc.pl.** DZIENNIKARZ: **Magdalena Piszlewicz, magdalena.piszlewicz@polskaress.pl, tel. 514 800 964.**
BIURO OGŁOSZEŃ: **Aneta Siwiak, tel. 798 751 830, aneta.siwiak@polskapress.pl;** PRENUMERATA: **tel. 71 727 62 37;** DRUK: **Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a.** WYDAWCA **Polska Press Sp. z o.o. ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 20 14 4 00, fax: 22 20 14 4 10.** PREZES ZARZĄDU POLSKA PRESS GRUPY **Zenon Nowak**. PREZES MAKROREGIONU **Robert Glinkowski**. PROJEKT GRAFICZNY **Tomasz Bocheński**. WYDAWCA **Janusz Michalczyk**

POLSKA PRESS GRUPA

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl ea08fe165b

SAMORZĄD Z PŁACENIA ZWOLNIONO WŁAŚCICIELI AUT HYBRYDOWYCH

Czeka nas podwyżka opłat za parkowanie

Grażyna Szyszka
Głogów

Kierowców czeka podwyżka biletów w Strefie Płatnego Parkowania. Ceny wzrosną o 10 procent. Będzie zerowa stawka dla zabytkowych aut oraz tych z napędem hybrydowym.

Parkowanie samochodów w Strefie Płatnego Parkowania będzie droższe. Od nowego roku ceny biletów wzrosną o 10 procent. Obecnie za godzinę postoju kierowcy płacą 3 złote, po podwyżce wzrośnie do 3,30 zł.

Od stycznia ceny za parkowanie wyniosą: postój za pierwsze 15 minut - 0,90 zł; postój za drugą godzinę - 3,70 zł; postój za trzecią godzinę - 3,90 zł; postój za czwartą i każda kolejną godzinę - 3,30 zł.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Pierwsza godzina parkowania będzie kosztować od stycznia 3,30 zł

Na terenie SPP znajduje się łącznie 1080 miejsc postojowych. Tym roku wymieniono 50 parkomatów, które są nowoczesne, nie zacinają się i można w nich płacić nie tylko gotówką, ale też kartą płatniczą.

Wpływy z biletów wpływają bezpośrednio na konto urzędu miasta. Jak wyjaśnia Bartosz Ławrowski, wicedyrektor Głogowskich Obiektów Usługowych, którym podlega SPP, miasto nie dokłada do strefy.

- Gmina utrzymuje ją z opłat za parkowanie. Przypomnę, że strefa nie jest po to, by na niej zarabiać, ale po to, by na parkingach była rotacja i żeby kierowcy mieli gdzie zaparkować - mówi Bartosz Ławrowski.

W uchwale dotyczącej SPP, przyjętej przez radę na grudniowej sesji, radni zdecydowali też o wprowadzeniu zerowej stawki m.in., dla służbowych pojazdów UM, powiatu, instytucji i szkół oraz służb.

Zwolnieni z opłat zostali też właściciele samochodowych z napędem hybrydowym. Jest jednak warunek - muszą mieć specjalne identyfikatory, które można uzyskać w biurze SPP. W tym celu należy przedłożyć odpowiednie dokumenty (szczegóły na glogow.naszemiasto.pl).

Z opłat zwolnieni są też posiadacze aut zabytkowych z żółtymi tablicami.

Teren przed szpitalem bardzo się zmienił

Grażyna Szyszka
Głogów

Przed głównym wejściem do szpitala zrobiło się jasno i przestronnie. Ale wciąż to plac budowy.

Remont przed wejściem szpitala trwa już blisko pół roku i miał się zakończyć w listopadzie. Wciąż się przeciąga, a pacjenci muszą korzystać z bocznych wejść. Jak się dowiedzieliśmy, oddanie inwestycji planowane jest jeszcze w tym roku.

Pojawiły się tam pochylnie dla niepełnosprawnych, a stare płyty przy wejściu zamieniono na nowe. Przed głównym wejściem powstały niewielkie skwery z ławkami. Posadzono też zieleń.

Co ważne, na teren szpitala z ulicy Kościuszki, zamiast starej wąskiej furtki prowadzi nowe, szerokie wejście. Obok schodów zbudowano podjazd dla wózków. Wyremontowano też wewnętrzną ulicę, ułożono chodniki i oznaczono miejsca postojowe.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Dopinane są ostatnie prace przed odbiorem, który może nastąpić jeszcze przed Nowym Rokiem

REKLAMA 0011453605

DRODZY GŁOGOWIANIE
Z OKAZJI
Świąt Bożego Narodzenia
życzymy Wam spokojnych, pełnych radości i przepełnionych serdecznością chwil spędzonych w gronie najbliższych. Niech ten magiczny czas przyniesie Wam spokój, miłość i wzajemną życzliwość. Życzymy, aby nadchodzący Rok przyniósł Wam nowe możliwości i inspirujące wyzwania, które przełożą się na sukcesy w życiu osobistym i zawodowym. Niech ten czas obfituje w zdrowie, szczęście i pomyślność!
SŁAWOMIR MAJEWSKI
PRZEWODNICZĄCY RADY MIEJSKIEJ
RADNI RADY MIEJSKIEJ
W GŁOGOWIE
RAFAEL ROKASZEWICZ
PREZYDENT GŁOGOWA

REKLAMA 0011261169

Wszystkim mieszkańcom Powiatu Głogowskiego
życzymy
Zdrowych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz szczęścia i pomyślności
w Nowym 2026 Roku
Powiat Głogowski
Michał Wnuk
Starosta Głogowski
wraz z Zarządem Powiatu

eprasa.pl ea08fe165b

Śródmiejskie ulice idą do remontu

Grażyna Szyszka
Głogów

Ulica 1-go maja, Spółdzielcza, Poczdamska, plac Tysiąclecia wymagają dużych remontów. Centrum było kiedyś wizytówką miasta, dziś nie robi najlepszego wrażenia.

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Stan tych ulic pozostawia wiele do życzenia

Na Śródmieściu, gdzie na chodnikach i ulicach czas jakby się zatrzymał, planowane są wielkie remonty. Zmiany ma przynieść przebudowa ulic przy dworcu PKP, które zmieni się Centrum Przesiadkowe. Jego główną oś wyznaczy ulica Transportowa z dojazdami od Poczdamskiej i Przemysłowej.

Plany budowy centrum były od dawna. Miasto miało nawet opracowaną dokumentację, którą teraz trzeba uaktualnić. A zakres inwestycji jest spory. Przy kolejowym dworcu powstaną miejsca parkingowe, także dla autobusów, wiaty rowerowe a nawet nowe wejście na kładkę, którą będzie można dojść i na perony i do budynku dworca.

- Jak to będzie wyglądać architektonicznie, pokaże nam dokumentacja, nad którą pracujemy - wyjaśnia Rafael Rokaszewicz, prezydent miasta.

Centrum Przesiadkowe w 2028 roku

W przyszłym roku miasto ma wybrać wykonawcę na zadanie w trybie zaprojektuj i zbuduj. Centrum Przesiadkowe ma być gotowe w 2028 roku. Jego koszt wyliczono wstępie na około 40 mln zł.

Planowane Centrum Przesiadkowe musi być też dobrze i bezpiecznie skomunikowane z miastem, dlatego przebudowy doczekają się wreszcie śródmiejskie ulice. Chodzi między innymi o Poczdamską, fragment Jedności Robotniczej i części Przemysłowej.

Kolejne ulice też czeka remont, ale już w ramach innego zadania - poprawy infrastruktury drogowej na Śródmieściu. Chodzi między innymi o remont nawierzchni na przedłużeniu alei Wolności, części Wojska Polskiego (od skrzyżowania z Sikorskiego w kierunku PKP), 1-go Maja,Spółdzielczej oraz placu Tysiąclecia łącznie z rondem Popiełuszki.

Zadanie to zaplanowano na lata 2028-2029.

Poczdamska i Plac Jana z Głogowa

Kolejne drogowe zadanie na Śródmieściu ma się zacząć w przyszłym roku.

- Będziemy remontować ulicę Poczdamską i Plac Jana z Głogowa, łącznie z chodnikami - wylicza prezydent. - Przygotowujemy na to dokumentację.

Prezydent zaznaczył jednak, że drogowe remonty na Śródmieściu nie oznaczają tylko wymiany nawierzchni na nowy asfalt. Na przykład na Placu Tysiąclecia zostanie zachowany historyczny charakter jezdni, czyli kostka. Podobnie będzie z ulicą wokół Placu Jana z Głogowa, gdzie pod asfaltem znajduje się granitowa kostka. Podczas remontu zostanie częściowo odsłonięta.

Nie pozwoli konserwator zabytków

Także w przyszłym roku zmieni się wreszcie teren przy wejściu na kolejowy dworzec. Stare, krzywe i zwyczajnie brzydkie płyty od lat nie są wizytówką miasta, podobnie jak betonowe kwietniki, które tylko tarasują przejście pasażerom z bagażem.

- Oczywiście, remont tego miejsca też zostanie przeprowadzony z zachowaniem dawnego charakteru. Chodnik przed wejściem zostanie odtworzony, by był i estetyczny i bezpieczny dla pieszych - zapewnia Rafael Rokaszewicz.

REKLAMA 0011428664

Niech magiczna moc Wigilijnego Wieczoru
przyniesie mieszkańcom Gminy Głogów spokój i radość.
A Nowy Rok 2026 obdaruje pomyślnością i szczęściem.
Najpiękniejszych ***Świąt Bożego Narodzenia***
oraz dobrego i spokojnego Nowego Roku
życzą

Przewodniczący Rady
Tomasz Jankowski

Wójt Gminy Głogów
Bartłomiej Zimny

REKLAMA 0011442281

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
- czasu spędzonego w gronie najbliższych,
radości z narodzenia Pana, Wiary, Nadziei i Miłości
oraz błogosławieństwa Bożego
na każdy dzień Nowego Roku.
życzą

Poseł na Sejm RP Wojciech Zubowski
oraz Komitet Prawo i Sprawiedliwość Głogów

@Wzubowski @WojciechZubowskiPL @wojciechzubowski

Zapraszam do odwiedzenie strony **www.wojciechzubowski.pl**
oraz **Biura Poselskiego w Głogowie, ul. Poczdamska 1**

eprasa.pl ea08fe165b

„Fasada Roku". Młyn Kultury z nagrodą

Grażyna Szyszka
Gaworzyce

Stary młyn w Gaworzycach, który został odremontowany i służy mieszkańcom jako centrum kultury, otrzymał wyróżnienie w prestiżowym konkursie.

FOT. GMINA GAWORZYCE

W konkursie oceniana jest m.in. kolorystyka, struktura elewacji, dbałość o detale...

FOT. GMINA GAWORZYCE

... a także poszanowanie historycznej tradycji

Gmina Gaworzyce ma powody do zadowolenia. Wyremontowany młyn, który stał się centrum kultury, spotkań i inspiracji, został wyróżniony w kategorii „Budynek zabytkowy po renowacji" w ogólnopolskim konkursie organizowanym przez firmę Baumit. „Fasada Roku" to jedno z najważniejszych wydarzeń w branży budowlanej i architektonicznej w Polsce.

Od 19 lat konkurs wyłania najlepsze realizacje, w których zastosowano kompleksowe technologie Baumit - od systemów ociepleń, przez tynki, aż po programy renowacyjne.

Konkurs rozgrywany jest w pięciu kategoriach, w tym: budynki jednorodzinne, wielorodzinne, po termomodernizacji, niemieszkalne oraz zabytkowe po renowacji.

Laureaci otrzymują nagrody finansowe oraz możliwość udziału w międzynarodowym wydarzeniu Baumit Life Challenge, gdzie ich projekty oceniają wybitni architekci z całej Europy.

Oceniane są m.in. kolorystyka, struktura elewacji, dbałość o detale architektoniczne oraz poszanowanie historycznej tradycji.

- Dzięki współpracy gminy, architekta i wykonawcy udało się przywrócić dawną świetność obiektowi, który odgrywa ważną rolę w lokalnej tożsamości - przyznaje gmina.

Młyn w Gaworzycach jest przykładem łączenia szacunku dla lokalnego dziedzictwa z nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi. W realizacji wykorzystano m.in. materiały Baumit oraz farby i tynki silikatowe, które pozwoliły zachować oryginalny charakter budynku, jednocześnie zabezpieczając go na kolejne lata. Projekt, który dał nowe życie staremu młynowi w Gaworzycach został przygotowany przez RS Budownictwo i Konserwacja Zabytków Ryszard Sieledczyk, a wykonany przez firmę KINGA Serwis Polkowice.

Wyróżnienie Młyna w konkursie „Fasada Roku 2025" to nie tylko sukces inwestycyjny, ale przede wszystkim uznanie dla troski o lokalne dziedzictwo. Dzięki renowacji budynek odzyskały swój blask, stając się wizytówką Gaworzyc i świadectwem, że historia może inspirować współczesność.

Prace przy przebudowie młyna kosztowały ponad 12 mln zł, przy czym zadanie dofinansowanie z Polskiego Ładu wynosi blisko 11 mln zł.

REKLAMA 0111428630

brose sitech
Interior Solutions

eprasa.pl ea08fe165b

HISTORIA CUDEM OCALAŁ WTEDY ICH KOLEGA. MIJA 41 LAT OD TEJ TRAGEDII

W tunelu zginęło dwóch chłopców

Grażyna Szyszka
Głogów

Marek i Piotr weszli do tunelu w Miejskiej Fosie. Zginęli pod zwałami obsypującego się piachu. Mimo że od tragedii mijają ponad cztery dekady, to wielu głogowian wciąż o niej pamięta.

Kontrminowe tunele są pozostałością po elementach obronnych twierdzy. Całkowita długość tych ślepych korytarzy wraz z odnogami wynosiła ok 500 m. Na końcach rozgałęzień znajdowały się tzw. piece, czyli miejsca, w których zakładano ładunki wybuchowe. W razie dokonywania podkopu przez nieprzyjaciela były wysadzane. To właśnie w takim tunelu, jedynym dostępnym z kilkunastu, które powstały w XVIII w., 40 lat temu doszło do tragedii.

Zdarzenie zostało opisane m.in. w „Sztandarze Młodych", a stronę z gazety wydanej pod koniec 1984 r. zachował do jeden z uczestników tamtych wydarzeń - Jan Krzemiński, emerytowany policjant.

Dramat rozegrał się 7 grudnia 1984 r. ok. godz. 9. Jak zeznał dzień później 11-letni wówczas Wojciech, uczeń klasy 5 D, Szkoły Podstawowej nr 9 w Głogowie: „Wraz z kolegami z mojej klasy, Piotrem i Markiem udaliśmy się do fosy (...). Chodzili tam wcześniej z innymi kolegami. Ja nigdy z nimi nie wchodziłem. Zawsze czekałem na zewnątrz lub wchodziłem tylko troszeczkę. (...) Piotrek miał ze sobą dużą latarkę, Marek dwie mniejsze latarki i młotek (...) powiedzieli, że będą zwiedzać i poszerzać przejście. Pierwszy wszedł Piotrek, za nim ja z Markiem, bo on bał się iść ostatni. Był z nami pies Miś - przybłęda podwórkowy. Doszliśmy do bardzo niskiego przejścia w tunelu, gdzie trzeba się przeczołgać. Dalej znów szliśmy normalnie, aż do dziury znajdującej się w drugim rozgałęzieniu tunelu głównego ok. 160 m od wejścia. (...) Piotr kopał młotkiem piasek, a Marek odgarniał go rękami. Gdy już trochę wykopali, to obydwaj weszli do tej wnęki. (...). Zajrzałem jedynie z ciekawości. To była mała dziura, tylko dla nich dwóch. Kopali dalej.

FOT. ARCHIWUM TG

Wejście do tunelu w fosie - tak wygląda obecnie. Wstępu bronią solidne drzwi

Po pewnym czasie powiedziałem, żebyśmy przestali kopać i wyszli na zewnątrz. Nie słuchali mnie. A Piotrek powiedział, że musi to zrobić abym i ja zobaczył. Wykopali dla mnie wejście, lecz ja się uparłem żeby nie wchodzić (...). Zaczęli poszerzać dziurę bijąc młotkiem w mur. W pewnym momencie osunął się piasek i usłyszałem tylko jak Piotrek krzyknął: Ma! Chyba chciał powiedzieć Marek, lecz już nie zdążył. Piasek obsunął się całkowicie i już ich nie widziałem. Zacząłem wołać i kopać w piasku, ale on osypywał się dalej. Rozpłakałem się. Zostałem tylko z psem i miałem ze sobą latarkę. Pociągnąłem ze sobą psa na pasku i ile tylko miałem sił, udałem się prosto do Straży Pożarnej, gdzie powiedziałem o całym zdarzeniu".

Pierwsi na miejscu wypadku byli strażacy, do nich dołączył pan Jan Krzemiński wraz z kolegą z RUSW, Romanem Główczyńskim, który tak opisywał te wydarzenia: „Trudno się było do nich dostać. Strażacy kuli mur toporkami. Bo widzieliśmy chłopaków, ale nie można ich było wyciągnąć. Dziura była malutka. Oni się wcisnęli, bo byli drobni. Ja jestem z zawodu górnikiem. Widziałem, że strażacy robili to ryzykownie, bez żadnego ubezpieczenia, byle szybciej. Kiedy dokopaliśmy się do nich, poprosiliśmy lekarza, żeby sprawdził, czy dają oznaki życia. Ale on stwierdził, że to jest zgon".

Tunel miał wymiary mniej więcej 1,40 m na 1,20 m. Nie można było użyć żadnego sprzętu. W przodzie mogło pracować tylko dwóch ludzi obok siebie. Zmienialiśmy się często. W półtorej godziny odrzuciliśmy dobre 20 ton tego piachu. A on się ciągle z góry sypał. (...) Ten pierwszy siedział tak dziwnie na murku. Zrobił jakby siad płotkarski. Jedną nogę miał opuszczoną. Chcieliśmy jak górnicy wbijać deski nad jego głową. Dobrze, że tego nie zrobiliśmy, bo akurat trafiłoby w pierś drugiego, który stał obok. (...). Jeszcze byli ciepli. Ciało nie zdążyło ostygnąć. - czytamy w materiale sprzed 40 lat.

Na przestrzeni lat poprzedzających feralne wydarzenia wlot do tunelu bywał kilkukrotnie zamurowywany i rozbijany. Okazało się, że wiele razy głogowskie dzieci wchodziły tam już wcześniej. Niestety, musiało dojść do tragedii, żeby odpowiednie służby zajęły się tym problemem i porządnie zabezpieczyły wejście do tunelu.

W latach 90. za sprawą działań prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Głogowskiej (poprzednika TZG) Jerzego Sadowskiego tunel kontrminowy został przystosowany dla zwiedzających. Wejście zabezpieczono solidnymi drzwiami.

REKLAMA 0011442244

Z okazji zbliżających się
Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 2026
Wszystkim Mieszkańcom Gminy Grębocice oraz całego regionu
składamy najserdeczniejsze życzenia.
Przede wszystkim życzymy dużo zdrowia oraz wzajemnego zrozumienia, a także ciepła i spokoju.
Życzymy także, by Nowy Rok był spełnieniem wszystkich marzeń i oczekiwań.

Przewodniczący
Rady Gminy Grębocice
Marek Pakiet

GMINA GRĘBOCICE

Wójt
Gminy Grębocice
Roman Jabłoński

REKLAMA 0011436316

Z okazji nadchodzących
Świąt Bożego Narodzenia
składamy Państwu najserdeczniejsze życzenia.
Niech ten magiczny czas napełni Wasze serca radością,
a domy ciepłem i miłością.
Życzymy, aby Święta były pełne wspólnych chwil, rozmów, uśmiechów
i wzajemnej życzliwości.
Niech nadchodzący rok przyniesie Państwu zdrowie, spokój
oraz spełnienie marzeń i zawodowych planów.

Przewodniczący Rady
Grzegorz Stroiński

Wójt Gminy Kotla
Kamila Suchocka-Szperlik

eprasa.pl ea08fe165b

„Choinka dla życia". Otrzymali świerki za krew

Magdalena Piszlewicz
Głogów

Głogowscy leśnicy rozdawali choinki dawcom krwi. Przed stacją krwiodawstwa zorganizowano 17 grudnia akcję „Choinka dla życia". Głogowianie jak zwykle nie zawiedli.

FOT. MAGDALENA PISZLEWICZ

FOT. MAGDALENA PISZLEWICZ

„Choinka dla życia" to ogólnopolska akcja Lasów Państwowych. Honorowi Dawcy Krwi mogli wybrać sobie pachnące, świąteczne drzewka. Do akcji włączyło się Nadleśnictwo Głogów, które przywiozło pod stację przy ul. Kościuszki 50 drzewek. Dawcy, którzy do południa przyszli oddać krew wracali do domu ze świeżo ściętymi świerkami.

- Zainteresowanie akcją jest spore, co zaobserwowaliśmy już w poprzednim roku - mówi Barbara Matyjasik z Nadleśnictwa Głogów. - Ze względu na to planowane są kolejne edycje.

W inicjatywie wzięła udział między innymi Patrycja Lipska, która regularnie oddaje krew od dwunastu lat.

- Kiedy chodziłam do szkoły średniej, zorganizowano zbiórkę krwi dla chłopaka po wypadku - wspomina pani Patrycja. - Od tamtej pory regularnie oddaję krew, natomiast w akcji „Choinka dla życia" biorę udział pierwszy raz.

FOT. MAGDALENA PISZLEWICZ

Inny dawca - Krzysztof Walas również po raz pierwszy wsparł akcję. Deklaruje chęć wzięcia w niej udziału w następnym roku.

- Jeżeli tylko będzie organizowana, oczywiście jestem jak najbardziej za - dodaje pan Krzysztof.

FOT. MAGDALENA PISZLEWICZ

REKLAMA 0011445126

NOWE MIESZKANIA NA SPRZEDAŻ

SWS INVEST Sp. z o.o.
SWS-INVEST.PL

Biuro sprzedaży:
Głogów, ul. Elektryczna 7A

607 440 660

Złota Podkowa – etap D
- metraże od 31 m² do 73 m²
- winda w budynku
- plac zabaw
- spokojna okolica
- gwarantowana jakość wykonania
- sprawdzony deweloper

GENERALNY WYKONAWCA
SOBOTA

Pełnych ciepła, spokoju i radości Świąt Bożego Narodzenia oraz pomyślności i sukcesów w Nowym 2026 Roku

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011454217

Gmina Jerzmanowa

Gościna dla natury

OGŁOSZENIE

WÓJTA GMINY JERZMANOWA

w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla obrębów geodezyjnych: Gaiki-Potoczek, Jaczów i Jerzmanowa położonych na terenach górniczych

Na podstawie art. 17 pkt 1 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (Dz. U. z 2024 r. poz. 1130, z późn. zm.) zawiadamiam o podjęciu przez Radę Gminy Jerzmanowa uchwały Nr VIII/47/2024 z dnia 27 listopada 2024 r. *w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla obrębów geodezyjnych: Gaiki-Potoczek, Jaczów i Jerzmanowa położonych na terenach górniczych*, zmienionej uchwałą Nr XVI/103/2025 Rady Gminy Jerzmanowa z dnia 10 września 2025 r.

Projektem planu obejmuje się obszary wskazane na załącznikach do ww. uchwał, z wyłączeniem obszarów nr 4 i 5 oraz obszaru nr 6 w zasięgu działek ewidencyjnych nr: 537, 538/4, 538/1, 538/3, 539, 540/1, 540/2, 541/1, 541/3, 541/18, 541/17 w obrębie Jerzmanowa, wskazanych na załącznikach do ww. uchwały Nr VIII/47/2024 Rady Gminy Jerzmanowa z dnia 27 listopada 2024 r. Jednocześnie na podstawie art. 39 ust. 1, w związku z art. 46 ust. 1 pkt 1 i ust. 2 oraz art. 54 ust. 2 i 3 *ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko* (Dz. U. z 2024 r. poz. 1112, z późn. zm.) zawiadamiam o przystąpieniu do przeprowadzenia strategicznej oceny oddziaływania na środowisko skutków realizacji ww. projektu planu miejscowego, obejmującej w szczególności sporządzenie prognozy oddziaływania na środowisko.

Dokumentacja sprawy znajduje się w Biuletynie Informacji Publicznej, w zakładce „Rejestr urbanistyczny" pod adresem: **https://bip.jerzmanowa.com.pl/m,5103,procedury-planistyczne-dotyczace-sporzadzeniazmiany-mpzp.html**) oraz w Urzędzie Gminy Jerzmanowa, ul. Lipowa 4, 67-222 Jerzmanowa (pokój nr 122) i można się z nią zapoznać w godzinach pracy Urzędu.

Zainteresowani mogą składać wnioski do ww. projektu planu miejscowego oraz w ramach strategicznej oceny oddziaływania na środowisko w nieprzekraczalnym terminie do 31 stycznia 2026 r. Wnioski należy składać:

- w formie pisemnej w siedzibie Urzędu Gminy Jerzmanowa lub pocztą na adres Urzędu Gminy Jerzmanowa, ul. Lipowa 4, 67-222 Jerzmanowa;
- ustnie do protokołu w pokoju nr 122 Urzędu Gminy Jerzmanowa;
- w formie elektronicznej – za pomocą środków komunikacji elektronicznej bez konieczności opatrywania ich bezpiecznym podpisem elektronicznym, o którym mowa w ustawie z dnia 5 września 2016 r. o *usługach zaufania oraz identyfikacji elektronicznej* (Dz. U. z 2021 r. poz. 1797, z późn. zm.) na adres: **sekretariat@jerzmanowa.com.pl**, poprzez Elektroniczną Skrzynkę Podawczą Urzędu Gminy Jerzmanowa (**ePUAP: /xo4868ilgy/skrytka**) lub eDoręczenia: AE:PL-84138-14659-ETFST-28.

Wniosek należy złożyć na formularzu stanowiącym załącznik do rozporządzenia Ministra Rozwoju i Technologii z 13 listopada 2023 r. *w sprawie wzoru formularza pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego* (Dz.U. z 2023 r. poz. 2509) dostępnym do wypełnienia w Urzędzie Gminy Jerzmanowa (Biuro obsługi interesanta: nr 119) lub do pobrania na stronie Biuletynu Informacji Publicznej Gminy Jerzmanowa w zakładce „Rejestr urbanistyczny" (**https://bip.jerzmanowa.com.pl/m,5102,wnioski-o-zmianesporzadzenie-planu-ogolnego-mpzp-i-zpi.html**). Składający wniosek podaje: swoje imię i nazwisko lub nazwę, adres zamieszkania albo siedziby oraz adres poczty elektronicznej – o ile taki posiada, a także wskazuje czy jest właścicielem lub użytkownikiem wieczystym nieruchomości objętej wnioskiem; może także podać dodatkowe dane do kontaktu jak adres do korespondencji lub numer telefonu.

Organem właściwym do rozpatrzenia wniosków jest Wójt Gminy Jerzmanowa.

Przekazane dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z informacją zawartą w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Gminy Jerzmanowa: ***https://bip.jerzmanowa.com.pl/m,4870,klauzule-informacyjne.html****, przy uwzględnieniu art. 8a ust. 1 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.*

REKLAMA 0011453994

Kupię

ciągniki, przyczepy, maszyny rolne.

Tel. 535 135 507

REKLAMA 0011264725

USŁUGI POGRZEBOWE

24h

76 833 23 42
606 187 729

Głogów, ul. 10 Maja 2
Usługi Pogrzebowe
Paweł Kraus - Rybarczyk

KOMPLEKSOWA OBSŁUGA POGRZEBÓW, PRZEWOZY, KREMACJE, WIENCE, ODZIEŻ ŻAŁOBNA

AUTOREKLAMA

motofakty.pl

Motoryzacja
na wysokich obrotach

motofakty.pl

FOT. MOK GŁOGÓW

Od prawej: Dorota Drozd, Bartłomiej Adamczak i Jacek Bierwidis

MOK DOTACJA Z MINISTERSTWA KULTURY

Nowy, multimedialny sprzęt i nagłośnienie

Grażyna Szyszka
Głogów

Do głogowskiego MOK-u trafił nowoczesny sprzęt multimedialny i nagłośnieniowy wart blisko 200 tys. zł. Zakupy były możliwe dzięki dofinansowaniu z ministerstwa kultury.

Miejski Ośrodek Kultury w Głogowie otrzymał dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na zakup sprzętu multimedialnego i nagłośnieniowego. Dofinansowanie dla MOK-u przyznano w ramach programu Infrastruktura domów kultury 2025.

Nowoczesny sprzęt multimedialny

- Dzięki projektowi, który napisała Dorota Drozd, a który zrealizował Jacek Bierwidis, udało się nam kupić sprzęt za blisko 200 tysięcy złotych powiedział Bartłomiej Adamczak, dyrektor CK MOK w Głogowie.

Celem projektu była optymalizacja działalności MOK w Głogowie w zakresie edukacji kulturalnej i animacji kultury.

- Pozyskaliśmy nowoczesne wyposażenia multimedialne, oświetlenie i nagłośnieniowe sceniczne oraz sprzęt komputerowy - wyliczyła Dorota Drozd, kierowniczka Centrum Kultury MOK.

Z nowym nagłośnieniem i oświetleniem

W ramach zadania zakupiono dla MOK nowoczesne projektory, ekrany multimedialne, tablety, monitory z funkcją bluetooth, nagłośnienie do sali widowiskowej, sceny klubowej oraz sal warsztatowych - sali plastycznej i studia wokalnego oraz wyposażenie komputerowe do stanowiska oświetleniowego.

Pozyskaliśmy nowoczesne wyposażenia multimedialne, oświetlenie i nagłośnieniowe sceniczne oraz sprzęt komputerowy

W zakupach uwzględniono zakup projektora krótkoogniskowego do sali widowiskowej, który ma charakter interwencyjny (montaż dodatkowego projektora obok naprawionego projektora uszkodzonego w wyniku burzy).

- Dzięki temu nie boimy się już, że w czasie wydarzenia padnie nam projektor główny i trzeba będzie zawiesić projekcje filmowe. Wreszcie będziemy mieć możliwość oświetlenia sceny bez oślepiania artystów - dodała Dorota Drozd.

Ministerialna dotacja

Doposażono też sprzętowo, między innymi sale,w których odbywają się zajęcia edukacyjne.

Zakupy sprzętu podnoszą jakość działania MOK, zwiększą atrakcyjność zajęć dla odbiorców z zakresu edukacji kulturalnej, zwiększą funkcjonalność pomieszczeń w CK - dodaje MOK.

Całość projektu to koszt prawie 188 tys. zł, z czego dofinansowanie MKiDN wyniosło 150 tys. zł.

eprasa.pl ea08fe165b

Emerytura w Batumi z widokiem na Morze Czarne

Grażyna Szyszka
Głogów

Przemierzył pół świata, mieszkał w USA i Norwegii, ale to Gruzja skradła jego serce. Piotr Sytek z Głogowa pokazuje, że emerytura może być początkiem przygody życia.

Piotr Sytek mieszka przy ul. Lecha i Marii Kaczyńskich w Batumi

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Odpoczywać na emeryturze w takich warunkach to marzenie wielu rodaków

Głogowianin Piotr Sytek przez blisko 30 lat pracował jako dysponent na oddziale MT (mechaniczny - taśmowy) w kopalni KGHM Polkowice - Sieroszowice. Ma 54 lata i od siedmiu jest już na emeryturze a od ponad roku mieszka w pięknym, gruzińskim Batumi mając za oknem widok na Morze Czarne.

- Zaczynałem pracę w kopalni w 1989 roku, po szkole zawodowej. Razem ze mną przyjęto 10 młodych ludzi. Po pięciu dniach zostało nas tylko dwóch - wspomina. - Pierwsza moja pensja wynosiła 18 dolarów. Dla przypomnienia powiem, że za wypłatę mogłem sobie wtedy kupić w Pewexie 18 butelek wódki. Ale chciałem mieć spodnie Levisy, które kosztowały 22 dolary, więc te brakujące pożyczyłem je od mamy.

W kopalni było niebezpiecznie

Pan Piotr przyznaje, że został w kopalni nie dla zarobków, ale dlatego, że jak się za coś bierze to kończy. Dziś wspomina, że w pracy pod ziemią różnie bywało, często także niebezpieczne.

- Opowiem jedno takie zdarzenie. Raz wysłali mnie z młotem, żeby koło przenośnika taśmowego skruszyć spadający z niego urobek. Po ponad godzinie pracy odezwał się we mnie jakiś wewnętrzny głos, który kazał mi iść odpocząć i napić się wody. Rozsądek z kolei mówił, że nie zostało mi już wiele do roboty i pójdę, jak skończę - wspomina zdarzenie sprzed lat. - Ale jednak poszedłem na krótką przerwę. Gdy wróciłem, w miejscu, w którym wcześniej pracowałem spadł potężny, około 300-kilogramowy urobek.

Pracując w KGHM ukończył liceum a potem studia. Ale zawsze ciągnęło go w świat. Przez ostatnich 30 lat zwiedził tyle krajów, że sam nie potrafi ich zliczyć. Pół roku mieszkał w USA, sporo czasu spędził w Norwegii. Blisko 15 lat temu przez miesiąc przebywał w Iranie, który mocno zaskoczył. I to pozytywnie.

- Poznałem wcześniej wiele kultur i wielu ludzi, ale nigdzie jeszcze nie spotkałem się z taką gościnnością, jak w Iranie - opowiada.

Koleją z Moskwy do Władywostoku

W 2019 roku głogowianin spełnił też swoje marzenie i wybrał się koleją transsyberyjską z Moskwy do Władywostoku. Pociągiem pokonuje się tę trasę w 7 dni, ale pan Piotr rozciągnął podróż na blisko miesiąc, by móc po drodze jak najwięcej zwiedzić.

Na pytanie, dlaczego ze wszystkich dotychczas odwiedzonych zakątków świata, na dłużej został w Gruzji, pan Piotr odpowiada:

- To był czysty spontan. Byłem akurat miesiąc w Azerbejdżanie i czułem niedosyt podróży. Nie chciałem wracać do Polski, bo tu zimno, szaro i bałem się, że jeszcze wpadnę w depresję - wyjaśnia. - Poleciałem więc najpierw w odwiedziny do koleżanki, Rosjanki mieszkającej przy granicy Gruzją, a potem do Tbilisi. Batumi nie brałem nawet pod uwagę, bo dla osoby zwiedzającej świat z plecakiem, chcącej poznawać zwykłych ludzi, to miasto źle się kojarzyło. Naczytałem się, że Batumi jest miejscem pod turystów, gdzie jest bogactwo, przepych, a na ulicach najdroższe auta na świecie - opowiada.

Emeryt KGHM ma widok na Morze Czarne

Stało się jednak tak, że znajomy naraił mu pośrednika, który namówił go na zakup apartamentu. Panu Piotrowi spodobał się 56-metrowy apartament na 7. piętrze wieżowca z widokiem na Morze Czarne.

- Mieszkam teraz tuż nad brzegiem morza a z panoramicznego okna sypialni oglądam wodę, statki i zachody słońca - mówi głogowianin.

Miesięczny czynsz w tym pięknym miejscu kosztuje pana Piotra około 85 dolarów. Dodając do tego pozostałe rachunki (prąd, woda) koszty utrzymania zamykają się w granicach 120 dolarów, co w przeliczeniu na złotówki wynosi niecałe 440 zł.

- Dla Gruzinów czynsz w takim apartamencie to majątek, bo zwykły mieszkaniec płaci za mieszkanie około 4-5 dolarów - opowiada głogowianin, który zdążył poznać i miasto i ludzi. A jacy są Gruzini? -- Życzliwi, otwarci, ale mają też swoje wady. Potrafią, na przykład, umówić się konkretnie na spotkanie i przyjść dopiero po tygodniu. I wcale nie mają poczucia winy - śmieje się głogowianin.

Co ciekawe, Piotr Sytek mieszka w Batumi przy ul. Lecha i Marii Kaczyńskich, koło parku ich imienia, w którym stoi także pomnik polskiej pary prezydenckiej.

Boże Narodzenie u mamy w Głogowie

Życie w taniej Gruzji dla pana Piotra ma też inny ważny aspekt - zostaje sporo pieniędzy na wyjazdy. W styczniu planuje już kolejny - tym razem na Malediwy. Ale wcześniej - na Boże Narodzenie będzie... w Głogowie. Przyjedzie, bo ma tu mamę.

Pan Piotr zaznacza, że w Gruzji jest już całkiem sporo emerytów z Polski, także z zagłębia miedziowego. Innym też poleca takie życie. - Jeśli nic ich nie trzyma w Polsce, nie mają hobby, działki a zamiast na ryby chodzą do baru to warto coś zmienić - podpowiada zaznaczając, że wie co mówi, bo zanim włączyła mu się ostrzegawcza lampka, sam też spędził w głogowskim barze kilka pierwszych tygodni na emeryturze.

A z okazji Bożego Narodzenia życzy głogowianom więcej otwartości na świat i na innych ludzi.

REKLAMA 0011452494

eprasa.pl ea08fe165b

LUDZIE MIŁOŚĆ PONAD GRANICAMI. BYŁY JUŻ ZARĘCZYNY, A PARA PLANUJE ŚLUB

Przystojny Grek podbił serce pani wójt

Grażyna Szyszka
Pęcław

Poznali się na greckim parkiecie, a dziś planują życie pod jednym dachem. Historia wójt Gminy Pęcław Doroty Jewniewicz i Miltosa pokazuje, że prawdziwa miłość nie zna granic.

Dorota Jewniewicz skończyła 40 lat, a od blisko dwóch lat rządzi jako wójt w Gminie Pęcław. Dobrze zna ten teren, ponieważ wychowała się w Leszkowicach i choć mieszka w Głogowie to w rodzinnej wsi ma wciąż dom po rodzicach.

Z pozoru nieśmiała, ma jednak silny charakter, który pozwala podejmować trudne decyzje, tak w życiu zawodowym jak i prywatnym.

Od siedmiu lat pani wójt jest w szczęśliwym związku z przystojnym Grekiem - Miltiadisem (w skrócie Miltos). Para spotyka się tak często, jak to tylko możliwe raz w Grecji, raz w Polsce, przy okazji zwiedzając, ale też poznając obyczaje i kulturę.

Wypatrzył ją na greckim wieczorku

Jak zaczęła się ta piękna znajomość, która przerodziła się w trwałe uczucie?

- Pojechałam z synem na nasze greckie wakacje. Zatrzymaliśmy się w hotelu, który organizował wieczorek dla gości z pokazem tradycyjnego, greckiego tańca. Jednym z czterech tancerzy był właśnie Miltos. Tak naprawdę, to on pierwszy mnie wypatrzył i zaprosił do wspólnych tańców - wspomina pani Dorota. - Potem przyznał, że zwrócił uwagę na moje niebieskie oczy i jasne włosy - śmieje się na wspomnienie.

Głogowianka zapewnia, że z jej strony nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale faktycznie, uroda Greka nie uszła jej uwadze. Przyznała jednak, że w mężczyźnie ujęła ją jego otwartość, szukanie kontaktu i wytrwałość w dążeniu do kontynuowania znajomości.

Po powrocie do domu znajomość się rozwijała, bo oboje pisali do siebie i niemal każdego dnia ze sobą rozmawiali. Na szczęście, oboje znają język angielski.

Trzy miesiące później mężczyzna zauroczony głogowianką zapytał, co by zrobiła, gdyby kupił bilet i przyleciał do Polski w odwiedziny.

- Cóż, odpowiedziałam, że bym go nie wygoniła - opowiada ze śmiechem pani Dorota.

Jak powiedział tak zrobił. Potem z rewizytą do Grecji poleciała pani Dorota, a ich miłość, po części na odległość trwa do dziś.

O swoim ukochanym mówi, że jest osobą wyjątkowo ciepłą, spokojną, a co ważne - potrafi się przy nim wyciszyć i nabrać zdrowego dystansu.

- Bardzo tego potrzebuję - przyznaje.

Poznają swoje kraje, ludzi i obyczaje

Miltos, który mieszka w środkowej części Grecji, pokazuje ukochanej kraj, jakiego nie poznaje zwykły turysta. Odkrywa przed nią cudowne krajobrazy, lokalne smaki, zabiera na klimatyczne, kameralne rejsy na piękne wyspy - ostatnio odwiedzili razem Skiatos na Morzu Egejskim.

- Przy okazji poznaję też fantastycznych ludzi, szczerych, gościnnych i otwartych na innych - wylicza pani Dorota.

Dorota Jewniewicz i jej przystojny Grek - Miltiadis (w skrócie Miltos)

Z kolei Miltos zdobywa Polskę, w której wcześniej nigdy nie był. Pokochał nasze góry i wszedł nawet Śnieżkę. Zwiedzał duże miasta, takie jak Kraków.

- Bardzo lubi jeździć do Sławy i spacerować nad jeziorem - przyznaje pani wójt. - Nad naszym morzem jeszcze nie był, ale obawiam się, że na Greku nie zrobi ono wielkiego wrażenia - żartuje. - Miltos zwraca też uwagę, że mamy dużo zieleni w miastach i ceni czystość na ulicach.

Polsko-grecka para ma już kolejne plany na wspólną przyszłość. Przypieczętował je zaręczynowy pierścionek, który Miltos przywiózł ze sobą na imprezę z okazji 40. urodzin pani Doroty.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

- Grecja jest piękna, zwłaszcza taka, jaką pokazuje mi MIltos - mówi głogowianka

- Przyjechał z przyjacielem i wiedziałam, że coś kombinują, bo obaj byli bardzo podekscytowani. Do tego jego znajomi ciągle dopytywali - czy już? Poprosiłam go tylko, by pozwolił mi spędzić urodziny tak, jak je sobie zaplanowałam, czyli bez niespodzianek. Oświadczył się więc dzień wcześniej - opowiada nam pani Dorota.

Podjęli ważną decyzję. Gdzie będą mieszkać?

Ślub jest w planach, ale na razie oboje podjęli jedną z ważniejszych dla nich decyzji - gdzie będą mieszkać. I okazało się, że przystojny Grek zamieszka w Polsce. Choć były inne plany, to na razie nie ma o tym mowy ze względu na obowiązki pani Doroty.

- Miltos jest z zawodu żołnierzem, pływał w greckiej marynarce i niedługo będzie mógł przejść na emeryturę. Uczy się polskiego i nawet widać już efekty. Potrafi wypowiedzieć pojedyncze słówka, zna ich znaczenie, więc jest na dobrej drodze - przyznaje pani Dorota.

Na pytanie, czy rozmowa z ukochanym tylko po angielsku pozwala na pełne oddanie uczuć, ale też codziennych emocji, pani Dorota odpowiada: - Jest na pewno trudniej, bo czasem trzeba się chwilę zastanowić. Ale też ma to swoje plusy, zwłaszcza podczas kłótni. Zanim znajdę słowo, które chcę mu powiedzieć, moja złość już mija - śmieje się głowianka.

Okazją do rozmów, kolejnych planów i przede wszystkim bycia razem będzie świąteczny czas, bo narzeczony pani Doroty spędza go w Polsce. Do Grecji wróci dopiero w styczniu.

REKLAMA 0011454124

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011443266

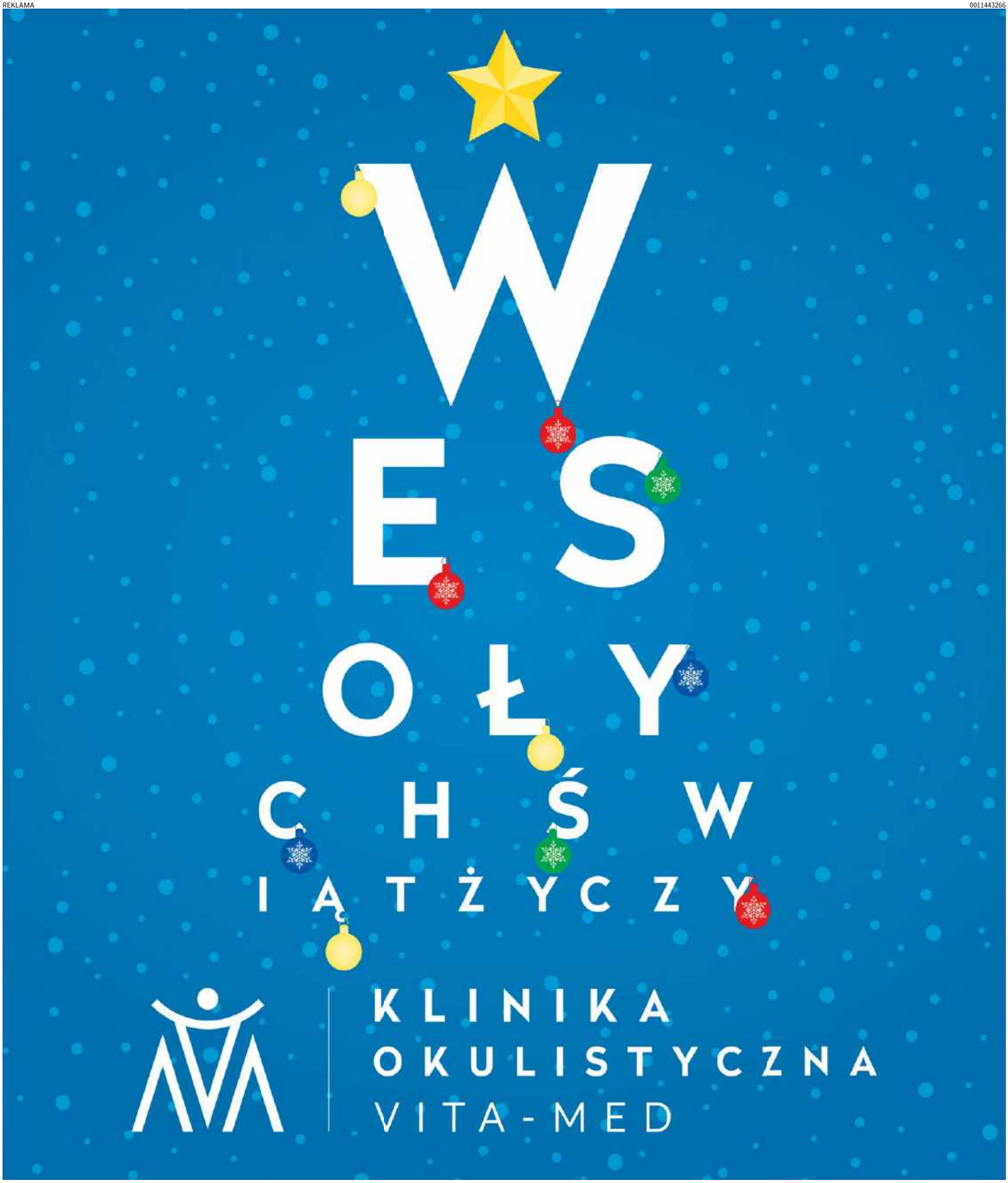

eprasa.pl ea08fe165b

KRÓTKA HISTORIA SZOPKI NA BOŻE NARODZENIE

Przedstawienia narodzin Jezusa w formie szopki narodziły się dość późno – dopiero w średniowieczu. Pierwszą taką scenę zaaranżował św. Franciszek w 1223 roku

Mariusz Grabowski

FOT. CC

Fresk przedstawiający pierwszą szopkę przygotowaną przez św. Franciszka w Greccio

W każdej szopce obowiązkowo znajdują się mały Jezus, Maria oraz Józef. Do tego Trzej Mędrcy z darami, pasterze i aniołowie grający na trąbach. Nierzadko elementami szopki są także zwierzęta: wół, osioł i owce. Nad całością symbolicznie góruje Gwiazda Betlejemska.

„Był wół i osioł"

Przenieśmy się do Greccio sprzed 800 lat. Bł. brat Tomasz z Celano, pierwszy biograf św. Franciszka, zapisał: „Noc stała się widna jak dzień, rozkoszna dla ludzi i zwierząt. Przybyły rzesze ludzi, ciesząc się w nowy sposób z nowej tajemnicy. Głosy rozchodziły się po lesie, a skały odpowiadały echem na radosne okrzyki. Bracia spieszyli, oddając Panu należne chwalby, a cała noc rozbrzmiewała okrzykami wesela. Święty Boży stał przed żłóbkiem, pełen westchnień, przejęty czcią i ogarnięty przedziwną radością. Ponad żłóbkiem kapłan odprawiał uroczystą Mszę świętą, doznając nowej pociechy.

Święty Boży ubiera się w szaty diakońskie, był bowiem diakonem, i donośnym głosem śpiewa świętą Ewangelię. A jego głos mocny i słodki, głos jasny i dźwięczny, wszystkich zaprasza do najwyższych nagród. Potem głosi kazanie do stojącego wokół ludu, słodko przemawiając o narodzeniu ubogiego Króla i małym miasteczku Betlejem".

Jak wyglądała pierwsza szopka? Na freskach, które powstały później, wygląda całkiem jak dzisiejsza, ale z opisu br. Celano wynika, że była wyjątkowo skromna. „Był wół i osioł, dwie żywe istoty, a w żłóbku św. Franciszek położył figurkę Pana Jezusa". To zresztą logiczne - św. Franciszek podpatrzył ten sposób naocznej ewangelizacji w obnośnych i wędrownych teatrzykach kukiełkowych, które przemierzając bezdroża Lacjum, z konieczności były skromne, wręcz symboliczne.

Jezus miał ciało

Jak lud przyjął religijny eksperyment św. Franciszka? „Pewien cnotliwy mąż miał dziwne widzenie. Widział w żłóbku leżące dzieciątko, bez życia, ale kiedy Święty Boży zbliżył się doń, ono jakby ożyło i zbudziło się ze snu. To widzenie nie jest nieodpowiednie, gdyż w wielu sercach dziecię Jezus zostało zapomniane. Dopiero Jego łaska, za pośrednictwem sługi świętego Franciszka, sprawiła, że zostało w nich wskrzeszone i utrwalone w kochającej pamięci" - notował br. Celano.

W powyższym doszukać się można religijnych sporów epoki średniowiecza. W czasach św. Franciszka katarzy i im podobni negowali to, że Jezus narodzony z Dziewicy na ziemi miał rzeczywiste fizyczne ciało. Tak samo negowali rzeczywistą obecność Jezusa w „Ciele" Eucharystycznym, który rodzi się co dzień na ołtarzu.

W Greccio św. Franciszek nie tylko wymyślił nowy sposób ewangelizacji w formie teatru jasełkowego, ale dał niejako wyraz swojej wierze w człowieczeństwo Jezusa. Ponadto pokazał, że ten, który narodził się w Betlejem, ponownie - jak uczy doktryna - rodzi się podczas każdej Mszy św.

Szopka z Neapolu

Historycy Kościoła dowodzą, że misteria Bożego Narodzenia były znane już w X w. we Francji, Szwajcarii, Niemczech, Belgii i Północnej Italii. Taką szopką była np. szopka neapolitańska, która stanęła po raz pierwszy pod koniec XIII w. w kościele Santa del Presepe. Szopki w Neapolu wykonuje się do dziś z malowanej terakoty, rzadziej z korala lub muszli morskich. Scenerią jest architektura miasta bądź krajobraz jego okolic.

Swoistą nowością było jednak połączenie misteriów bożonarodzeniowych (jasełek) z celebracją Mszy św. (pasterka). Owe misteria nie posiadały jeszcze fabuły o wyraźnie zaznaczonych związkach przyczynowo-skutkowych. Powiązania pomiędzy poszczególnymi scenami miały zazwyczaj charakter symboliczny i alegoryczny, odsłaniając głębszy, duchowy sens zjawisk. Akcja rozgrywała się najczęściej symultanicznie.

Franciszkanie przenieśli te na poły teatralne, na poły religijne zwyczaje także do Polski i to już kilkanaście lat po śmierci Świętego z Asyżu. Szopki w kościołach oo. Franciszkanów do dziś zajmują centralne miejsce, czyli budowane są w głównym ołtarzu. Na ich tle odprawiana jest Eucharystia - w taki symboliczny sposób oo. franciszkanie nadal wskazują na połączenie Bożego Narodzenia z tajemnicą Eucharystii.

„Kolęda, kolęda"

Szopki zdobyły na terenach Polski zadziwiającą popularność. Tematykę przedstawień opartych na wydarzeniach religijnych wzbogacono z czasem o sceny o świeckim charakterze. Do widowisk wprowadzano wątki patriotyczne i scenki rodzajowe o charakterze satyrycznym, co przyciągało rzesze hałaśliwej publiki, na bieżąco komentującej oglądane wydarzenia. Już Jędrzej Kitowicz, XVIII-wieczny historyk i pamiętnikarz, utyskiwał na żywe reakcje publiczności na przedstawiane historie oraz zamieszki wywołane drażliwymi tematami poruszanymi w teatrzykach.

Z czasem szopki zamieniły się w całkiem świecką, ludową zabawę. Gapie komentowali, kłócili się, jedli, nierzadko śpiewali własne komponowane ad hoc piosenki, jak choćby tę, odnotowaną przez kronikarza:

„Zabił Maciuś wieprzka,
a my o tem wiemy;
Nie pójdziemy nigdzie,
aż kiełbaskę zjemy.
Kiełbaska na rożnie,
śpiewajmy pobożnie:
Hej kolęda, kolęda!".

Właśnie z powodu owej „zbyt żywiołowej publiczności" w 1738 r. Kościół zakazał urządzania szopek w kościołach. Biskupi zezwolili jedynie na montowanie szopek statycznych. Zakaz doprowadził do zaniku wcześniejszych misteriów kościelnych o Bożym Narodzeniu, a jednocześnie przyczynił się do powstania oryginalnych widowisk ludowych.

W pierwszej połowie XIX w. szopki kukiełkowe szczególnie zadomowiły się w Krakowie. Znano je również w Warszawie właśnie pod nazwą „szopki krakowskiej". Odgrywanie scen z użyciem kukiełek w przenośnych szopkach było powszechne na terenach Polski w zaborze rosyjskim i austriackim, w szopkach śląskich figury w szopce osadzane były na specjalnej tarczy, obracanej za pomocą korby.

Okiem widza

W pierwszym tomie „Tygodnika Ilustrowanego" z 1860 r. (str. 115) Wacław Szymanowski, pisarz, a ówcześnie właściciel i redaktor „Kurjera Warszawskiego", popełnił artykuł o szopce polskiej. Zacytujmy: „Była więc osóbka Pana Jezusa, a na boku Marja i Józef, stojący przy kolebce, w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającej. W górze szopki, pod dachem i nad dachem, aniołowie unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający »Gloria in excelsis Deo«. Toż dopiero w niejakiej odległości jednego od drugiego, pasterze padający na kolana przed narodzoną Dzieciną, ofiarujący mu dary swoje, ten baranka, ów kózkę; dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie, wieśniacy, jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy śpieszący, dźwigając na ramionach barany, kozły, między którymi osóbki rozmaity stan ludzki i ich zabawy wyrażają: panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, przedających chleby, niewiasty dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na ręku trzymających, i tym podobne akcje ludzkie".

Szopki żywe i... dziwne

Historia szopek bożonarodzeniowych ewoluuje. W latach 80. w Polsce popularne były szopki polityczne. Czasem wiązało się to z represjami ze strony komunistycznych władz. Na przykład za projekt szopki wystawionej w kościele oo. Jezuitów w Kaliszu w Boże Narodzenie 1981 r. (i komentarz do niego, odczytywany publicznie) o. Stefan Dzierżek został skazany na rok więzienia w zawieszeniu na 3 lata. Według władz PRL jego dzieło mogło wywołać - jak głosił akt oskarżenia - „społecznie szkodliwe emocje i wrogie nastroje".

Obecnie coraz popularniejsze są tzw. żywe szopki, z udziałem zwierząt. Taką od lat można oglądać na terenie dawnego klasztoru oo. Kamedułów na warszawskich Bielanach. Szopka nawiązuje do tradycyjnej rzeźby podhalańskiej (drewnianą stajenkę i figurki ofiarował klasztorowi Józef Wilkoń), zaś dodatkową atrakcją są żywe osiołki.

Co ciekawe, do religijnej tradycji szopek nawiązują też inscenizacje artystyczne, które budzą pytanie o cele, które im przyświecają. W listopadzie tego roku na Grand Place w Brukseli ustawiono taką właśnie „szopkę". Postacie zostały „wymodelowane" z... tandetnych tkanin, pozszywanych metodą patchworkową, żadna nie ma twarzy. Według twórców szopki miała to być „inkluzywna instalacja przedstawiająca ludzi o wszystkich kolorach skóry, tak żeby każdy mógł się w szopce odnaleźć". „To już nie jest betlejemska stajenka, ale jakiś niejasny, niezrozumiały symbol, który nie przekazuje sobą Bożej tajemnicy" - skomentował to portal katolicki „Tribune Chrétienne".

eprasa.pl ea08fe165b

HEROD WIELKI: WŁADCA JUDEI Z FATALNĄ OPINIĄ U POTOMNYCH

Na postać Heroda patrzymy przede wszystkim przez pryzmat Ewangelii św. Mateusza, w której przedstawiony został jako tyran pragnący zgładzić Jezusa i inicjator tzw. rzezi niewiniątek. Prawda o królu Judei z łaski Rzymu wykracza jednak poza religię

Mariusz Grabowska

Nikt oprócz św. Mateusza nie wystawia Herodowi aż tak złej rekomendacji. A o rzezi niewiniątek nie wspominają pozostałe Ewangelie ani apokryfy. Nie pisze o tym także żydowski historyk Józef Flawiusz, który Heroda wręcz nie znosił. Czy zatem Król Judei był władcą dobrym? Nic z tych rzeczy - był zręcznym dyplomatą i gospodarze, lecz cynikiem i okrutnikiem do szpiku kości.

Łaska Rzymu

Zacznijmy od tego, że Herod Wielki (ok. 73 r.p.n.e. - ok. 4 r.p.n.e.) nie był nawet Żydem. Był Idumejczykiem, synem Antypatra i Nabatejki Kypros. Idumejczycy zamieszkiwali tereny położone na południe od Morza Martwego. Byli Semitami, ale z Żydami - choć byli spokrewnieni - bardziej się wadzili niż przyjaźnili. Z kolei Nabatejczycy byli ludem pochodzenia semickiego przybyłym z Półwyspu Arabskiego na tereny obecnego południowego Izraela i południowej Jordanii.

Gdy Herod miał ok. 25 lat dostał od swojego ojca władzę nad północną częścią Palestyny, czyli Galileą. Okazał się bardzo sprawnym władcą. Zaraz na początku swoich rządów złapał i zabił herszta rozbójników na pograniczu Syrii. Ludzie chwalili go wręcz za to, gdyż przyniósł im upragniony spokój. Jednocześnie fakt, że był Idumejczykiem narażał go na konflikt z elitą żydowską. A nawet na niebezpieczeństwo śmierci z ich rąk.

Powiedzenie, że ktoś zrobił błyskawiczną karierę polityczną, ma do Heroda zastosowanie idealne: W 46 r.p.n.e dzięki Oktawianowi Augustowi (i po części Antoniuszowi) był już namiestnikiem Celesyrii i Samarii. A pod koniec 40 r. decyzją senatu rzymskiego został mianowany królem Judei.

Polityczny lawirant

Aby wyjaśnić taką łaskawość cesarza, trzeba odwołać się do splątanych dziejów Judei. Od zawsze toczyła się tam bezwzględna walka o władzę między przedstawicielami żydowskich elit. W Sanhedrynie sadyceusze (arystokraci-kapłani) rywalizowali z faryzeuszami (klasy niższe). Antypater, który chciał utrzymać tron, musiał więc lawirować między elitą żydowską a Rzymem.

Jego uległość wobec Rzymian miała przede wszystkim na celu utrzymanie dotychczasowej pozycji rodu herodiańskiego. W roku 63 p.n.e sprawa się uprościła - Pompejusz zajął Jerozolimę i w konsekwencji królestwo Judei straciło wszystkie tereny oprócz Galilei, Idumei i części Zajordanii. Antypater otrzymał „najważniejszy" okręg Judei, czyli Jerozolimę z prawem poboru podatków na rzecz Rzymu. Mógł on też wprowadzić własną administrację, a także powołać własne prywatne siły zbrojne. Nadano mu nawet tytuł Namiestnika. Później Juliusz Cezar przebił ten tytuł nowym - Prokuratora Judei

Trudną politykę lawirowania stosował także Herod. W konflikcie między Oktawianem i Antoniuszem wziął stronę tego drugiego, ale po jego klęsce pod Akcjum w 31 r. p.n.e. ukorzył się przed Oktawianem, który potwierdził jego władzę w Judei i dodatkowo oddał mu ziemie zagarnięte wcześniej przez Kleopatrę. Historyk zapisał, że „Herod z podniesioną głową zaproponował mu swoją przyjaźń". W latach 20. I w. p.n.e. królestwo Heroda obejmowało, prócz Palestyny, też część dzisiejszej Jordanii, Libanu i Syrii.

„Wołał ją ciągle"

Józef Flawiusz zapisał, że o ile Herodowi dobrze szło politykowanie, to w pozostałych kwestiach było słabo. Był neurastenikiem, megalomanem, miał nieskończoną ilość fobii, bał się spisków do tego stopnia, że nigdzie nie ruszał się bez obstawy. Z czasem atmosfera na jego dworze królewskim stawała się nie do zniesienia. Naukowcy przypuszczają, że przyczyną złego stanu psychicznego króla mogła być choroba nerek, z powodu której ostatecznie zmarł w cierpieniach.

Herod był też kochliwy - miał 10 żon, z których najbardziej kochał Mariamme, Żydówkę z rodu Hasmoneuszy. Jednakże matka i siostra Heroda nienawidziły jej i ciągle oskarżały Mariamme przed Herodem o zdradę. Początkowo Herod nie dawał temu wiary, jednak z czasem dał się przekonać i skazał ją na śmierć. Było to w 29 r. p.n.e. Flawiusz pisze, że Herod tak bardzo żałował tej decyzji, że kazał swoim sługom „wołać jej imię na korytarzach pałacu, żeby sprawiać wrażenie jakoby jeszcze żyła".

Co dużo gadać: Herod był psychopatycznym okrutnikiem. Dopuścił się wielu mordów, poszukując rzeczywistych lub domniemanych spisków mogących pozbawić go władzy. Prócz Mariamme zamordował też swojego pierworodnego syna Antypatra (z pierwszej żony Doris). Zabił też brata i matkę - tę ostatnią w wyjątkowo okrutny sposób, bowiem wydał ją na śmierć głodową w więzieniu.

FOT. CC

Rzeź niewiniątek – fresk Giotto di Bondone z ok. 1305 r. W oknie wieży stoi Herod

Herod budowniczy

Pasją króla było budowanie, a tym samym dodawanie splendoru swojej władzy. Z jego inicjatywy powstało wiele okazałych budowli na terenie Palestyny. Był założycielem takich miast jak Sebaste, Antypatris oraz Cezarei Nadmorskiej, która stała się główną siedzibą prokuratorów rzymskich (jednym z nich będzie później Poncjusz Piłat, który piastował urząd prokuratora w latach 26-36).

Ale na jego rozkaz powstały również wspaniałe twierdze: Masada, Herodium, Macheront, Aleksandrion i Hyrkanium. W Panias (późniejsza Cezarea Filipowa) zbudował świątynię na cześć cesarza Augusta. Najważniejszym jednak przedsięwzięciem budowlanym była jednak rozbudowa świątyni jerozolimskiej.

Prace nad upiększaniem Przybytku rozpoczęły się ok. 19 r. p.n.e. Jego rozmiary zostały powiększone niemalże o połowę tak, że plac świątynny liczył sobie od tego czasu pół kilometra długości i 300 metrów szerokości. Według obliczeń naukowców najmniejszy z kamieni użytych do budowy ważył ok. dwóch ton, a największy o długości ponad 13 metrów ok. 570 ton. Po dekadzie świątynia została oddana do użytku, choć prace były tam kontynuowane. W 70 r. Rzymianie zrównali ją z ziemią.

Pusty grób króla

Herod Wielki - to znów uwaga Józefa Flawiusza - nad wszystko przedkładał luksus. Nic dziwnego, że wybudował sobie kilka wspaniałych pałaców, w których mieszkał w zależności od pory roku.

W okresie pory deszczowej, kiedy temperatury spadają w Judei nawet do kilku stopni powyżej zera, udawał się do swego pałacu w Jerycho (200 metrów pod poziomem morza), gdzie jest cieplej niż w innych miejscach Palestyny. Natomiast w okresie pory suchej, kiedy są silne upały, przebywał w pałacu, który się znajdował pod twierdzą Herodium obok Betlejem (750 metrów nad poziomem morza).

Tu dygresja: to właśnie tam, w 2007 r. został odkryty przez izraelskich archeologów jego rzekomy grób. Znajduje się w ruinach pałacu Herodium, czyli 12 km od Jerozolimy. Sprawa jest jednak dość tajemnicza. Do informacji publicznej podano, że prof. Ehud Necer z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie „odnalazł grób króla Judei Heroda". Naukowiec badał ponoć to miejsce już od 1972 r. W sprofanowanym grobie nie zachowały się jednak szczątki ludzkie.

Herod a Biblia

Sylwetka Heroda, którą znajdujemy w Ewangelii św. Mateusza (por. Mt 2,1-19) doskonale wpisuje się w tę, jaką znamy z dzieł Józefa Flawiusza. Był on królem, który pomimo wspomnianych sukcesów politycznych i budowlanych, wydawał się nieszczęśliwy. Z punktu widzenia historycznego marketingu miał jednakże to niebywałe szczęście, że żył w czasie, kiedy urodził się Jezus. Przypomnijmy: Herod miał ok. 70 lat, kiedy wydał rozkaz zabicia dzieci (Mt 2,16). Jezus zatem w żaden sposób nie mógł stanowić dla niego realnego zagrożenia. Umarł, mniej więcej, dwa lata po narodzeniu Jezusa, wpisując się na stałe w historię jako uosobienie zła.

Św. Mateusz pisze: „Wtedy Herod, widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał (oprawców) do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców. Wtedy spełniły się słowa proroka Jeremiasza:

Krzyk usłyszano w Rama,
płacz i jęk wielki.
Rachel opłakuje swe dzieci
i nie chce utulić się w żalu,
bo ich już nie ma".

Warus i Antypas

Po śmierci Heroda następcą tronu Judei miał zostać jego syn, Herod Archelaos. Gdy po siedmiu dniach skończyła się publiczna żałoba, spora grupa ludzi zaczęła opłakiwać uczonych w piśmie oraz ich zwolenników, którzy zostali zabici przez Heroda za strącenie złotego orła, symbolu Imperium, znad bramy Przybytku. Domagali się więc od Archelaosa pomszczenia ich, karząc tych, którzy byli w łaskach u Heroda. Ten jednak wysłał przeciw nim wojsko, zabijając ok. trzech tys. ludzi. Następnie spokojnie odpłynął do Rzymu, aby otrzymać władzę królewską z rąk cesarza Augusta. Buntujących się dalej Żydów krwawo poskromił Publiusz Kwinktyliusz Warus, namiestnik Syrii. W samej Jerozolimie kazał ukrzyżować ok. dwóch tys. więźniów.

Wspomnijmy jeszcze o Herodzie Antypasie - Tetrarsze Galilei i Perei, synu Heroda Wielkiego i bracie Heroda Archelaosa, założycielu Tyberiady. On też ma swój udział w historii Jezusa: gdy poślubił swoją bratową Herodiadę, czym wywołał oburzenie wśród Żydów, skazał na śmierć krytykującego ten związek św. Jana Chrzciciela. Wedle św. Łukasza był również obecny przy skazaniu Jezusa na śmierć:

„Na widok Jezusa Herod bardzo się ucieszył. Od dawna bowiem chciał Go ujrzeć, ponieważ słyszał o Nim i spodziewał się, że zobaczy jaki znak, zdziałany przez Niego. Zasypał Go też wieloma pytaniami, lecz Jezus nic mu nie odpowiedział. Arcykapłani zaś i uczeni w Piśmie stali i gwałtownie Go oskarżali. Wówczas wzgardził Nim Herod wraz ze swoją strażą; na pośmiewisko kazał ubrać Go w lśniący płaszcz i odesłał do Piłata".

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011450066

Prezydent Rokaszewicz: szpital już powiatowo-miejski.

Rozmowa z Rafaelem Rokaszewiczem, prezydentem Głogowa o sfinalizowaniu procesu przejęcia przez Gminę Miejską Głogów 50% udziałów w głogowskim szpitalu.

Jesteśmy świadkami historycznej chwili. Miasto stało się współwłaścicielem głogowskiego szpitala. Akt notarialny został podpisany i zaczynamy tym samym nowy rozdział. Co to oznacza dla szpitala?

To przede wszystkim zapewnienie bezpieczeństwa dla placówki, co jest wspólnym interesem nas wszystkich. Oczywiście, to nie uleczy wszystkich problemów, z którymi borykają się wszystkie szpitale w Polsce. Mówię tutaj o kontraktowaniu z NFZ-u czy braku lekarzy. Posiadanie dwóch partnerów, dwóch właścicieli w postaci miasta i powiatu, w przypadku jakichkolwiek cięższych czasów daje gwarancję, że szpital będzie dalej funkcjonował. Miasto w poprzednich latach pomagało szpitalowi, mimo że nie było jego współwłaścicielem. Ale dla mnie było to zawsze oczywiste, że trzeba pomagać, wspierać finansowo, bo szpital i powiat sami sobie nie poradzą z taką skalą potrzeb i inwestycji. Dziś związanie miasta ze szpitalem sprawia, że to jest już nie tylko dobra wola, ale też nasz obowiązek. Bez względu na różnice polityczne, bez względu na to, kto będzie w przyszłości rządził miastem i powiatem.

Ale dlaczego nakładać na samorząd miejski takie dodatkowe obowiązki?

Odpowiedź jest prosta: bo większość pacjentów szpitala to mieszkańcy Głogowa. Dlatego też już od początku, kilkanaście lat temu, nie wahałem się rozpocząć rozmów o wzięcie przez miasto współodpowiedzialności za szpital. To nie była prosta sprawa, a sam proces długi, ale wreszcie udało się to sfinalizować.

A co te zmiany oznaczają dla mieszkańców naszego miasta?

Mieszkańców nie interesuje kto jest formalnie właścicielem szpitala. Interesuje ich to, by mieć świadczone usługi zdrowotne, by te usługi były dobrej jakości. Chcą mieć gwarancje tego, że nawet w cięższych czasach i trudnych sytuacjach szpital będzie działał. I taką gwarancję daje współpraca dwóch samorządów. Razem, najzwyczajniej w świecie, jest łatwiej ją zapewnić. Dwóch właścicieli będzie miało mniej problemów z dofinansowaniem czy z dokapitalizowaniem spółki.

Droga do przekazania połowy udziałów przez powiat wiązała się ze sporymi nakładami ze strony miasta.

Tak. Od początku rozmów w sprawie przejęcia poruszana była kwestia wyceny szpitala. Chcąc być współwłaścicielem, musieliśmy za te udziały po prostu zapłacić. Poszliśmy jednak inną drogą, niż zwyczajne zapłacenie powiatowi za udziały. Wspólnie uznaliśmy wtedy, że najlepszą formą będzie bezpośrednie przekazanie tych środków na inwestycje w placówkę. Powstał wówczas program „Nowoczesny Szpital", który zakładał remont i modernizację poszczególnych oddziałów i krok po kroku systematycznie ten program realizowaliśmy. To nie tylko ostatnie 5 lat, podczas których przekazaliśmy z budżetu miasta aż 20 milionów złotych. To także inwestycje poprzedzające ten program, a przypomnę, że wcześniej wydaliśmy kilkanaście milionów złotych na modernizację – czy wręcz stworzenie na nowo Oddziału Intensywnej Terapii, ale także przebudowy i remont Oddziału Ginekologiczno-Położniczego. To pokazało właśnie ten skok cywilizacyjny i jak można przy dużym wsparciu finansowym przebudowywać głogowski szpital i stworzyć go nowoczesnym.

A później przyszedł czas na te docelowe 20 milionów.

Tak, dzięki wsparciu z miasta, środki zostały przeznaczone na modernizację Oddziału Wewnętrznego, Chirurgii Ogólnej, Ortopedii i Neurologii. W ostatnim roku pozwoliło też na remont SOR-u, do którego się dołożyliśmy, do gabinetów lekarskich i apteki szpitalnej. Gdy zsumujemy wszystko – przeznaczyliśmy na szpital ponad 32 miliony złotych! Za to wsparcie powiat przekazał miastu 50 procent udziałów. Szpital do tej pory był powiatowy, teraz jest powiatowo-miejski. Cel jest nakreślony na długie lata: wsparcie głogowskiego szpitala, tak żeby świadczył jak najlepsze usługi dla naszych mieszkańców.

I inwestycje w szpital będą kontynuowane?

Tak, teraz będziemy wspólnie podejmować decyzje o kolejnych przedsięwzięciach, a tych nie brakuje. I o to chodzi, by samorządy ze sobą współpracowały, a jeżeli mamy takie ważne cele właśnie jak szpital i jego rozwój, to chyba nie ma lepszego pola do współpracy jak właśnie służba zdrowia i pomoc mieszkańcom.

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011450068

DZIĘKI WSPARCIU Z MIASTA ZMODERNIZOWANO ODDZIAŁ NEUROLIGICZNY W GŁOGOWSKIM SZPITALU.

GŁOGOWSKI SZPITAL ROZWIJA SIĘ DZIĘKI FINASOWEMU WSPARCIU Z MIASTA.

NA REMONT ODZIAŁU CHORÓB WEWNĘTRZNYCH MIASTO PRZEZNACZYŁO 3,8 MLN ZŁ.

GŁOGÓW

ODREMONTOWANY ODDZIAŁ NEUROLOGICZNY I LECZENIA UDARÓW MÓZGU.

NA REMONT ODDZIAŁU CHIRURGII OGÓLNEJ MIASTO PRZEZNACZYŁO 5,6 MLN ZŁ.

ODDZIAŁ CHIRURGII DZIECIĘCEJ WYREMONTOWANY DZIĘKI WSPARACIU MIASTA GŁOGÓW.

ZMODERNIZOWANY ODDZIAŁ NEUROLIGICZNY W GŁOGOWSKIM SZPITALU .

ODDZIAŁ CHORÓB WEWNĘTRZNYCH PO REMONCIE.

eprasa.pl ea08fe165b

W PERU ŚWIĘTA PACHNĄ PANETÓNEM. TRUDNO JEDNAK NIE WIDZIEĆ BIEDY I WYZYSKU DZIECI

Peru to bardzo rozległy i wielokulturowy kraj, więc święta różnią się w zależności od regionu. Ale wszędzie spędza się je rodzinnie, w gronie najbliższych

Joselyn del Rosario, peruwiańska antropolożka mieszkająca w Słupsku

Żeby to lepiej zrozumieć, zacznę od naszych trzech głównych stref i porównam je z polskimi miejscami. Peruwiańskie wybrzeże, ciepłe i suche, przypomina polskie miasta jak Poznań czy Wrocław latem.

Andy, zimne i górzyste, kojarzą się z Zakopanem.

Peruwiańska dżungla, tropikalna i wilgotna, nie ma dokładnego odpowiednika w Polsce, ale częściowo można ją porównać do gęstych lasów Białowieży czy Mazur, choć te nie są tropikalne.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci", i to prawda. Święta są dla nich

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: są w niej gipsowe figurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami

Święto przywieźli konkwistadorzy

Z powodu różnic klimatycznych i geograficznych, Boże Narodzenie obchodzimy zupełnie inaczej w każdej części Peru. Warto dodać, że to święto nie pochodzi z naszej kultury, przyjęliśmy je z Europy i Ameryki pod wpływem hiszpańskiej inwazji, która siłą narzuciła nam katolicyzm, historię narodzenia Jezusa, msze w kościele, dekoracje, prezenty i kolędy. Później, dzięki globalizacji, poznaliśmy Świętego Mikołaja ze świątecznych filmów - ze śniegiem, kominami i scenami rodzin otwierających paczki przy gorącej czekoladzie.

Wyobraź sobie picie gorącej czekolady w suchym upale wybrzeża czy w dusznej wilgoci dżungli. Brzmi dziwnie, ale tak mamy w Peru. Mimo to w grudniu zawsze czujemy, że coś nie do końca do nas pasuje, bo ta tradycja nie wyrasta z naszej historii ani kultury.

Problem ze Świętym Mikołajem

Jeśli pytacie, czy w Peru wierzymy w Mikołaja, powiem, że większość dzieciaków marzy o nim, ale dorośli często nie, bo u nas nie ma śniegu, kominów, a nasze zwyczaje mieszają się z lokalną tożsamością, tworząc święta inne niż w filmach czy tu, w Polsce. Chociaż większość Peruwiańczyków to katolicy, więc podobieństwa są: dekoracje, wieniec adwentowy, wizyty w kościele, szopki.

Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci", i to prawda. Święta są dla nich, ale trudno utrzymać wiarę w Mikołaja czy świąteczną magię, gdy wiele dzieciaków pracuje od najmłodszych lat. Ameryka Łacińska ma wiele problemów: ogromne nierówności, bogaci obok tych, co nie mają nic.

Na ulicach Peru w grudniu dzieci sprzedają zapałki, petardy, kadzidła czy słodycze albo pomagają matkom na jarmarkach i targach. Często widać sieroty w sklepach, myjące auta czy robiące drobne prace. Myślę, że wiele z nich nie zna tradycji pisania listów do Mikołaja – ich marzenia to nie zabawki, ale zmiana losu, „filmowe święta" czy choć ciepła kolacja i rodzinny uścisk.

Aromaty świąt i szopka

Ale święta i tak przychodzą. Ulice pachną chlebem, kadzidłem i panetónem (słodki chleb bożonarodzeniowy) - po tym aromacie wiemy, że grudzień nastał.

W moim Huancayo większość domów nie ma własnego pieca, ale są komunalne piekarnie, gdzie ludzie zbierają się, by piec panetón i tradycyjną tantę wawę - słodki chleb z mąki kukurydzianej, bez drożdży, w różnych kształtach.

W dni przed świętami rodziny stroją choinkę i szopkę. Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: kupujemy gipsowe figurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami w strojach cholita czy andyjskimi krajobrazami. Dzieciątka nie stawiamy w szopce od razu, czeka do północy 24 grudnia. W niektórych domach urządzamy konkursy na najpiękniejszą dekorację i szopkę.

Wigilijna kolacja

Na Wigilię, o północy, spotykamy się u krewnych, gospodarza losujemy. Tego dnia ulice wypełniają stragany z lampkami, ozdobami, sztucznymi choinkami i fajerwerkami. To wir kolorów, hałasu i zapachów, wysiłek milionów rodzin, by świętować, dużo czy mało.

Rodziny zbierają się na kolację: indyk, pieczona wieprzowina czy asado z puree ziemniaczanym i ryżem. Jedzenie wyjmują z pieca godzinę przed północą. Panie chodzą po swoje wypieki do piekarni. Nie może brakować gorącej czekolady z cynamonem, goździkami i mlekiem, plus panetón.

O północy dorośli dają prezenty dzieciom. Rodzice mówią: „Mikołaj był zajęty, poprosił nas o pomoc". Dzieci otwierają paczki po jedzeniu, dlatego Mikołaj u nas to bardziej iluzja.

Świętowanie od północy

W Peru nie odpoczywamy po kolacji. Odliczamy: 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1... i jest północ, 25 grudnia. Ludzie wychodzą na ulice, witają sąsiadów, sklepy otwarte, dzieciaki puszczają fajerwerki. W domach gra muzyka, często cumbia, choć to zależy od rodziny.

Rano odwiedzamy tych krewnych, z którymi nie było nas o północy, i szykujemy słynną pachamancę - flagowe danie Huancayo.

Pachamanca symbolizuje rodzinę, bo wszyscy muszą pomóc. Mężczyźni kopią dół, wybierają specjalne kamienie (złe pękają od żaru), palą drewno, aż się rozgrzeją. Kobiety marynują jagnięcinę, wieprzowinę, kurczaka czy wołowinę w andyjskich ziołach, ají, czosnku i soli. Przygotowują ziemniaki, kukurydzę, fasolę. Dzieci pomagają - ich małe rączki są idealne do obierania kukurydzy i humitas. Na gorące kamienie idą mięsa i warzywa, przykryte liśćmi, mokrymi workami i ziemią. Gotuje się kilka godzin. Gdy otwieramy, wszyscy dzielimy się jedzeniem. To piękny rytuał jedności rodzinnej.

Mój pierwszy śnieg

Na wybrzeżu 25 grudnia to plaża - letni dzień nad morzem z ceviche (sałatka z owocami morza). Nikt nie próżnuje: chaos, ale piękny, wciągający. Inaczej niż w Polsce, gdzie święta są cichsze, bardziej kameralne.

Mieszkam w Polsce trzy lata, w Słupsku, i pamiętam pierwszy śnieg. Pracowałam w fabryce ryb, w porze lunchu stanęliśmy, patrząc, jak pada przy pomarańczowym zachodzie. Pierwszy raz dotknęłam śniegu, czułam się jak w filmie: biel i błysk to czysta magia.

Potem znienawidziłam zimno, ale ten moment został. Przeżyłam to, co znałam z filmów, choć bez rodziny, tylko z peruwiańskimi kumplami, którzy jak ja przyjechali tu po lepsze życie i by pomóc bliskim.

Chciałabym, by moja rodzina zobaczyła i poczuła to, co ja, choć czasem melancholijnie. W Słupsku tworzymy więzi: przyjaciele stają się rodziną. Razem próbujemy odtworzyć nasze święta, by być bliżej domu.

©℗

eprasa.pl ea08fe165b

KTO WSTANIE OD STOŁU, TEN UMRZE, CZYLI ŚWIĘTA W CZECHACH

– U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. W naszej tradycji Bożego Narodzenia są też wróżby. A jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć – mówi Jakub Medek, Czech mieszkający od 20 lat w Białymstoku

Andrzej Kłopotowski

Czesi nie uchodzą za naród wierzący.
Czesi nie są narodem wierzącym instytucjonalnie. Mamy problem z religiami instytucjonalnymi, głównie z katolicyzmem, choć kościołów w Czechach trochę funkcjonuje, w tym kościołów rodzimych, protestanckich. Z ostatniego spisu powszechnego wynika, że do kościołów – jakichkolwiek – chadza 17 czy 18 procent Czechów. I to nie jest oczywiście europejski rekord, są bardziej laickie narody. Natomiast z punktu widzenia Polski – no to Jezu Chryste – ateiści. Temat jest jednak bardziej złożony. To, że Czesi nie wierzą w religię instytucjonalną, nie znaczy, że odrzucają fakt istnienia siły wyższej. Jakieś 60-70 procent ludzi uważa, że coś tam jest. Mamy fajnego filozofa – księdza katolickiego swoją drogą – Tomáša Halíka, który mówi, że religią podstawową w Czechach jest „cosizm". Wiara w coś.

Jak wygląda więc czeskie Boże Narodzenie?
Boże Narodzenie jest w Czechach świętem bardzo rodzinnym, obchodzonym masowo. Powiedziałbym, że obchodzonym nawet bardziej masowo niż w Polsce.

Mówisz o rodzinnych zjazdach, wspólnym spędzaniu czasu przy stole, bez instytucjonalnego kościoła?
Tak. Co nie znaczy, że bez symboliki charakterystycznej dla klasycznego, chrześcijańskiego kościoła. Jest szopka, aniołek. Mikołaj akurat nie, ponieważ Mikołaj przychodzi u nas w wigilię mikołajek, czyli 5 grudnia. U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. Dodatkowo Wigilię mamy ustawowo wolną już od dawna. Pierwszy i drugi dzień świąt też. Te święta – i do tego zmierzam – są obchodzone bardzo mocno w duchu tradycji świąt Bożego Narodzenia. Z jednej strony wierzymy w „cosizm", a nie wierzymy w kościoły instytucjonalne. Z drugiej strony to chrześcijaństwo jest bardzo mocno zakotwiczone w naszej kulturze. Podam przykład. W Pradze jest taki event: w pasterkę, w holu

FOT. 123RF

– Historia o czeskim ateizmie jest dużym uproszczeniem – mówi Medek (na zdjęciu: ikoniczny Most Karola w Pradze)

kolejowego dworca głównego zbiera się kilkaset osób, by razem z orkiestrą śpiewać pieśni z barokowej mszy bożonarodzeniowej Jakuba Jana Ryby.

Wierzyć można wszędzie...
Wierzyć można wszędzie. Świętować można wszędzie. To też pokazuje, że ta historia o czeskim ateizmie jest bardzo dużym uproszczeniem.

Z czego biorą się więc te stwierdzenia o Czechach ateistach?
Myślę, że z braku kościoła instytucjonalnego i tego, jak radykalną jest to różnicą z polskiej perspektywy. Często stereotypy – a w tym się specjalizuję, w tym prostowaniu czy dyskutowaniu o stereotypach – biorą się z różnic. Z tego, że przykładamy swoją miarę, swoje doświadczenia do rzeczy, które wyrastają z totalnie innej rzeczywistości, odmiennych doświadczeń choćby historycznych.

Chodzi ci o podziały Kościoła?
O podziały, które sprawiły, że Czechy dzisiaj są takie, jakie są. Korzeni można szukać już w XIV wieku. Kościół katolicki w Polsce historycznie zawsze był ostoją polskości, przynajmniej na tym poziomie kościoła podstawowego, bo z hierarchami to różnie bywało. W Czechach Kościół katolicki od XIX wieku, od momentu budzenia się nowoczesnej świadomości narodowej, był symbolem habsburskiej opresji. Religia narzucona z zewnątrz. Chociaż to też jest znacznie bardziej złożone. Żeby nie wchodzić w głęboki wykład historyczny – to, że Polacy uważają Czechów za ateistów, jest typowym przykładem na popadanie w pułapkę stereotypizacji, gdy próbujemy coś mierzyć własną miarą.

Prezenty przynosi wam słynny praski Jezusek – Pražské Jezulátko?
Nie, przynosi je uniwersalny Jezusek.

Pytam, bo ten jest chyba najbardziej znany...
W dodatku jest czarny.

Jest opisywany we wszystkich przewodnikach.
To święta figura Jezuska, która jest ubierana. Przypomina taką dużą lalkę. Dla prażan nie jest to ważna postać. Kulturowo jest znana. Sam praski Jezunio to historia z okresu rekatolizacji Czech po tym, jak na początku XVII wieku upadło powstanie czeskich protestanckich stanów generalnych przeciwko Habsburgom. Habsburgowie zakazali działalności protestanckich, rodzimych kościołów i zaczęli wielką akcję rekatolizacyjną. Z jednej strony polegała na tym, że przymusowo wyrzucano za granicę albo poddawano egzekucjom protestancką szlachtę. Przymusowo rekatolicyzowano protestancki lud, ale jednocześnie prowadzono ogromną ofensywę kulturalną. Zresztą to, jak Praga dzisiaj wygląda, to, co tak bardzo wszystkich zachwyca – Polaków również – zawdzięczamy tak naprawdę habsburskiej rekatolizacji. Temu, że wszystko miało być wielkie, imponujące i pokazywać buntującym się poddanym: Zobaczcie, jaki ten katolicyzm jest piękny, wspaniały, złoty, cudowny itd. Częścią tej ofensywy był też ten Jezusek.

Jak wygląda świętowanie Czechów? Katolicy świętują inaczej, ewangelicy inaczej?
Powiedziałbym, że w zasadniczych rysach jest podobnie. Mamy choinkę. No ale choinkę w niemieckim kręgu kulturowym mają wszyscy, Polacy zresztą też. Wbrew popularnym, szczególnie ostatnio, narracjom – kulturowe wpływy niemieckie w Polsce są tak samo mocne jak w Czechach. Mamy też sałatkę jarzynową. To jest kolejny, zmutowany niemiecki wpływ, bo przecież to Kartoffelsalat. W Polsce dodano do niej parę rzeczy. W Czechach, ponieważ związki z germańską kulturą są mocniejsze, sałatka jarzynowa bardziej przypomina oryginalny Kartoffelsalat.

Czyli nie ma groszku?
Groszek może być. Akurat kwestia sałatki jarzynowej upodabnia narodowe spory Czechów do sporów Polaków. Polacy kłócą się o to, czy placki ziemniaczane powinny być z cukrem, czy solą. Czesi o sałatkę jarzynową kłócą się tak samo. O to, co powinno się w niej znaleźć, a co nie. Na stole zawsze jest karp. Karp jest bardzo mocno zakotwiczony w czeskiej kulturze. Czechy są krajem o największej liczbie stawów na świecie. W całym kraju mamy tylko osiem jezior. Zrobiliśmy więc sobie własne jeziora. Obecnie w Czechach mamy około 25 tysięcy stawów, przy czym w Polsce staw rybny kojarzy się z wykopaną prostokątną albo okrągłą dziurą. U nas to są stawy na groblach, w dolinach i często to stawy zakładane w średniowieczu. Bardzo często wyglądają więc jak zwykłe jeziora. Stawów mamy od groma i hodujemy od groma tych ryb, których właściwie nie jemy, chyba że jest Wigilia. W Wigilię karp smażony w panierce – obok sałatki jarzynowej – jest elementem nieodzownym.

A kolędy?
Jak najbardziej. Rodzime, w tym z czasów husyckich, jak chyba najpopularniejsza czeska kolęda „Narodził się Chrystus pan". Oczywiście też kolędy niemieckie – jak w Polsce, ale śpiewane po czesku. Zresztą – a propos wpływów niemieckich – po czesku Boże Narodzenie to są Vánoce, czyli staroniemiecki Weihnacht. Co tam jeszcze jest... Jest ciasto, nazywa się Vánočka, czyli ciasto bożonarodzeniowe. Przypomina trochę chałkę, choć jest trochę cięższe, bardziej zwarte. Też splatane jest jak chałka, robione z drożdżowego ciasta, z dużą ilością bakalii. Tak jak w Polsce tradycyjnie jest dwanaście wigilijnych potraw, w Czechach powinno być jak najwięcej rodzajów Vánočního cukroví, czyli słodyczy, bożonarodzeniowych ciasteczek. Piecze się je na potęgę, w milionach różnych rodzajów. Jest trochę zwyczajów, które w Polsce byśmy łączyli z andrzejkami. W tradycji Bożego Narodzenia są wróżby, jak rzucanie butem przez ramię, krojenie jabłek, itd. Ważnym obyczajem jest zakaz wstawania od stołu. Jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć, bo kto wstanie, ten umrze (śmiech). W moim domu ten obyczaj jest bardzo restrykcyjnie przestrzegany.

To ile musisz siedzieć przy stole?
Siedzisz, dopóki nie zjesz wieczerzy. Jest coś takiego, że dba się, by przynieść wszystko, by wszystko na stole było. Wstanie od stołu, żeby np. donieść coś na stół, to niezłe faux pas. Bardzo mocną czeską tradycją wigilijną jest zlaté prasátko – złota świnka. Generalnie chodzi o to, że jak pościsz cały dzień – do wigilijnej kolacji, to masz szansę zobaczyć złotą świnkę. A kto zobaczy złotą świnkę, ten w nadchodzącym roku będzie miał dużo szczęścia, powodzenia i oczywiście pieniędzy.

Domyślam się, że co roku widzisz złotą świnkę?
Zasadniczo to bardzo praktyczny obyczaj. Chodzi o to, żeby ludzie – szczególnie dzieci – nie podjadali przez cały dzień i potem jedli wszystko, co na wigilijnym stole się znajduje. U mnie w domu, żeby nas motywować, zawsze brali taką świnkę-skarbonkę, owijali ją pazłotkiem, wieczorem stawiali gdzieś na szafie i pokazywali: „Patrz, złota świnka!". Na wigilijnym stole bywa – choć nie u każdego – schabowy. Ale rzadziej bywa, niż nie bywa.

Wigilia jest więc mega rodzinna, mega tradycyjna. A pierwszy i drugi dzień świąt?
Pierwszy i drugi dzień świąt również.

Znowu siadacie do stołu i jak wstaniesz, to umrzesz?
Tak. Znowu siadamy do stołu, tylko ze wstawaniem to tradycja stricte wigilijna. Ale święta to czas bardzo rodzinny, przy czym jeszcze Święty Szczepan – czyli pierwszy dzień świąt – to czas odwiedzin. Rodziny się odwiedzają, organizują rodzinne obiady.

Czy Czesi mają świeckie tradycje związane ze świętami?
Mówiłem o pasterce na dworcu w Pradze. Mówiłem o bojach o sałatkę jarzynową. Od kilkudziesięciu lat mamy obyczaj produkcji fabularnych bajek bożonarodzeniowych przez telewizję. Od lat 50. tych bajek wyprodukowaliśmy chyba 700 czy 800. W Wigilię pokazywane są od 1989 roku. To są zwykle pełnometrażowe bajki. I nowa bajka zawsze ma premierę w Wigilię o godz. 20. Jak tylko się skończy, rozpoczyna się o niej dyskusja.

CV

FOT. W. WOJTKIELEWICZ

Jakub Medek
Dziennikarz radia Tok FM. Prowadzi podcast „Czechostacja". Autor książki „Dobrý den. Chmiel, tożsamość i luz. Polskie mity o Czechach" (wyd. Mando, 2025)

eprasa.pl ea08fe165b

SIOSTRA CHMIELEWSKA: TRZEBA ODPOWIEDZIEĆ SOBIE NA PYTANIE: W JAKIM CELU DAJĘ Z SIEBIE WIĘCEJ?

– Czy rzeczywiście celem naszego życia musi być zdobywanie coraz większych pieniędzy, coraz nowszych dóbr materialnych, coraz wyższego statusu społecznego? Można się oczywiście zarżnąć, tylko po co? – pyta siostra Małgorzata Chmielewska, katolicka działaczka społeczna, prezes Fundacji „Domy Wspólnoty Chleb Życia"

Dorota Kowalska

Nie ma siostra wrażenia, że żyjemy zamknięci w swoich własnych bańkach i nie chcemy wyściubić z nich nosa?
Oczywiście, że tak. Te bańki są podtrzymywane także przez środki masowego przekazu, głównie przez internet. To nasze w nich tkwienie jest spowodowane sianiem nienawiści i podziałów. Mamy walczące ze sobą strony, w Polsce szczególnie, mówię tutaj o walce politycznej, walce, nazwijmy to ideologicznej albo po prostu walce głupiej. I będąc w takiej sytuacji, staramy się trzymać bańki, która nam odpowiada, bo to zapewnia nam złudne poczucie bezpieczeństwa.

Ale wydaje mi się, że tkwimy nie tylko w bańkach politycznych, ale i społecznych.
To jedno z drugim jest niezwykle powiązane. Sytuacja ekonomiczna, która zresztą wcale nie jest zła, to jedna sprawa. Z drugiej strony mamy podziały, które istniały od zawsze: na tych, którym się powiodło i na tych, którym się nie powiodło. Ci, którym się powiodło, starają się trzymać razem. Co nie znaczy, że jest im łatwo, bo to są często bardzo ciężko pracujący ludzie, więc oni starają się trzymać swojej bańki, zapewniając sobie właśnie to poczucie bezpieczeństwa. Nie muszą patrzeć na tych, którym się gorzej wiedzie. W związku z powyższym nie muszą mieć wyrzutów sumienia. Proste!

Często ci ludzie nie mają świadomości, że istnieje zupełnie inny świat, prawda?
Zgadza się, nie mają tej świadomości i nie chcą jej mieć.

To kwestia tylko wyrzutów sumienia?
Myślę, że przede wszystkim to jest kwestia indywidualna. Każdy z nas może się zamknąć, może nie zauważyć drugiego człowieka. Mówił o tym ostatnio papież Leon XI, a powiedział, że wszyscy jesteśmy między ludźmi, że obowiązuje nas braterstwo. To poczucie braterstwa jest niezwykle ważne. Uczymy się go od najmłodszych lat. Bo bardzo istotny jest przekaz, jaki dajemy naszym dzieciom, to, co im pokazujemy, jak wychowuje nas szkoła. Może się pani roześmiać, byłam wychowana w czasach komunizmu i broń Boże w najgorszych snach nie pochwalam tego systemu, ale na przykład tak zwane prace społeczne, podczas których robiliśmy różne rzeczy, sadziliśmy chociażby drzewa w warszawskim parku na Szczęśliwicach, innym razem sprzątaliśmy jakiś teren – to dawało poczucie współodpowiedzialności. Harcerstwo, które istnieje dzisiaj, nie wychowuje już tak do solidarności, właśnie do współodpowiedzialności. A chodzi o wychowanie obywatelskie, powinniśmy wychowywać młodzież i sami siebie do współodpowiedzialności. Tyle że nam lepiej siedzieć w swojej bańce i konsumować. Ci, którzy siedzą w bańce pięć pięter niżej, nie mają czego konsumować. Wobec tego zazdroszczą tym, którzy konsumują.

Mam wrażenie, że to nie chodzi tylko o wyrzuty sumienia, ale o swego rodzaju wygodę. Lepiej pewnych rzeczy nie dostrzegać, udawać, że ich nie ma – wtedy żyje się lepiej.
Tak, nie widzieć, nie dostrzegać, to ogromna wygoda. Przy czym ta wygoda nie jest nam dana na wieczność. Nasza sytuacja może się zmienić, bo nikt nie jest nieśmiertelny, nikt nie jest odporny na wydarzenia losowe, często tragiczne – to jedna rzecz. Druga – nigdy nie wiemy, co spotka naszych najbliższych. Czasami nas albo naszych bliskich spotyka coś przykrego i wtedy bańka pęka. Jednocześnie, przykład idzie z góry. Nastawienie społeczne, polityka kształtują dzisiaj postawy ogromnie roszczeniowe. To wielki problem. Dlatego że ci, którzy mogą i potrafią, powinni jednak zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Tę roszczeniowość widzimy u mieszkańców naszych domów, u ludzi bezdomnych, nie wszystkich oczywiście. Ich nastawienie kompletnie się zmieniło. W tej chwili mieszkańcy naszych domów dostają po prostu luksusy, nie doceniają tego, wciąż chcą więcej. Tak zostali wychowani przez ostatnie lata w konsumpcyjnym społeczeństwie. Najzwyczajniej w świecie nie mają ochoty przyłożyć się w miarę swoich możliwości do wspólnego dobra, jakim jest dom, w którym mieszkają. Oczekują, że wszystko zostanie im podane na tacy. Mamy do czynienia z ludźmi, którzy, co tu dużo mówić, w jakimś sensie są ludźmi bezdomnymi, a więc w ogromnej większości, nie podzielają wartości, które są dla nas ważne. Staramy się im je przekazać, ale przykładowo, kiedy podjeżdża kierownik domu z transportem jedzenia, które wyżebrał bardzo często po nocach w marketach, to mieszkańcy chowają się, żeby nie pomóc w rozładunku. Dawniej to było nie do pomyślenia.

STARAMY SIĘ TRZYMAĆ BAŃKI, KTÓRA NAM ODPOWIADA, BO TO ZAPEWNIA NAM ZŁUDNE POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA

Chce siostra się powiedzieć, że coraz mniej dajemy, a chcemy wyłącznie brać?
Dokładnie tak – mniej dajemy, chcemy wyłącznie brać. Co więcej, wcale nie chcemy się dzielić jako społeczeństwo, oczywiście nie chcę generalizować, ale tak jest w zdecydowanej większości. Nie chcemy się dzielić z tymi, którym się nie powiodło, dlatego że albo gorzej się urodzili, albo też popełnili w życiu błędy. Podam pani przykład: kiedy odbywały się strajki niepełnosprawnych z opiekunami w Sejmie, to w internecie pojawiały się komentarze: „Jak se kalekę urodziłaś, to nie z moich podatków będziesz ją utrzymywać". Naprawdę, autentyczne! I to nie jeden był taki komentarz, były ich dziesiątki. Podobna sytuacja wygląda w tej chwili z nagonką na uchodźców z Ukrainy, którzy zresztą, jak wiemy, wprowadzają do budżetu swoją ciężką pracą ogromne pieniądze. Nie chcemy się dzielić.

Ale skąd to się bierze? Dlaczego?
Z egoizmu, z braku wartości wpojonych przez rodzinę. Nie ukrywam, że wina leży również po stronie Kościoła, w którym się o tym nie mówiło w czasie chociażby katechizacji. To, jeszcze raz podkreślam, nie oznacza, że nie ma tysięcy młodych i starszych ludzi pracujących jako wolontariusze, starających się wspierać najsłabszych, osoby niepełnosprawne, staruszków. To ogromny ruch społeczny, ale ciągle za mały, bo to są wyspy dobroci, wsparcia, empatii.

Oglądała siostra film „Wysokie i niskie tony", właśnie wszedł do kin?
Nie.

Opowiada o dwóch braciach, którzy o sobie nie wiedzą, a żyją w zupełnie różnych światach, w zupełnie różnych bańkach, ale los chce, żeby się ze sobą spotkali. I przekaz jest tego filmu taki, że te bańki mogą się połączyć, mogą współistnieć, a mieszkańcy jednej i drugiej mogą sobie nawzajem bardzo dużo dać.
Ale oczywiście! Mamy wielu przyjaciół, którzy naprawdę dzielą się z nami pieniędzmi, bo dzięki temu utrzymujemy te dziewięć domów i wspieramy ogromnie dużo ludzi także poza nimi. Przykładowo mamy przyjaciół, małżeństwo ludzi niezwykle zamożnych, którzy mówią tak: „My mamy pieniądze, ty wiesz, na co je wydać". I ci ludzie wybudowali dwa przepiękne schroniska dla ludzi starszych, chorych i niepełnosprawnych, ponieważ uważają, zresztą podobnie jak ja – tylko, żeby zrealizować to założenie trzeba mieć pieniądze – że najsłabsi nie mogą żyć w warunkach niegodnych. Jeśli już możemy im coś zapewnić, to zapewnijmy im naprawdę porządne, piękne warunki. To małżeństwo, dorobiło się bardzo ciężką i uczciwą pracą, to są właściciele zakładów przemysłowych. Oni mówią tak: „Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, ale to tylko kwestia przypadku, mieliśmy zdolności, możliwości, bomby nie leciały i nie lecą nam na głowę i to jest podwód naszego sukcesu. A pomaganie innym to nasze zadanie". I gdybyśmy wszyscy, każdy z nas traktował to, co ma, co robi jako zadanie polepszania tego świata, to ten świat byłby dużo piękniejszy.

Wydaje mi się też, że ludzie z tych różnych baniek mogą się, wbrew pozorom, bardzo wiele od siebie nauczyć, prawda?
Ci państwo, którzy wybudowali te budynki – zresztą sami mają swoją fundację wspierającą edukację młodzieży – więc ci ludzie również się ogromnie dużo nauczyli w kontaktach z naszymi mieszkańcami. To nie jest tak, że rzucili pieniądze i koniec, oni bywają w naszych domach. Śmiejemy się czasami, że w naszych domach siedzą przy jednym stole książę i żebrak, bo tak rzeczywiście jest. Bywa też, że rodowity książę, z papierami. Natomiast część naszych mieszkańców, zanim do nas trafiła, próbowała się utrzymać, żebrząc o pieniądze po prostu. Tak, korzystają jedni i drudzy.

Tylko ktoś zapyta: cóż taki biznesmen, któremu się udało, który jest spełniony, może się nauczyć od bezdomnego albo człowieka, któremu się w życiu nie powiodło po prostu?
Bardzo wiele. Żyjąc z naszymi mieszkańcami, uczymy się od nich nieustannie. Uczymy się od matek samotnych, które walczą zażarcie o własne dzieci. Od naszych mieszkańców, którzy ostatnią resztką sił, mimo najrozmaitszych upadków i uzależnień, o siebie walczą, potrafią się cieszyć z drobnych rzeczy. Nie wszyscy przecież są roszczeniowi. Mój niepełnosprawny, przybrany syn Artur cieszy się, kiedy dostanie zapalniczkę. On nie pali papierosów, ale kocha mieć zapalniczki. Nie wiem dlaczego, może to kwestia kształtu. Lubi też długopisy, chociaż nie potrafi pisać. To radość z małych rzeczy. Kolejna sprawa: umiejętność wykorzystywania tego, co się ma. Dalej: walka o poczucie godności, zaradność, którą wykazują

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. MAATERIAŁY PRASOWE

S. Małgorzata Chmielewska: Podstawą pokoju jest spotkanie, rozmowa. Ważne jest spotkanie, zobaczenie w człowieku czegoś dobrego

często ludzie, nasi mieszkańcy, chociażby po to, żeby móc przetrwać. Zdolność dzielenia się ostatnim papierosem, troski jeden o drugiego. Oni są biedni, a mimo to nie siedzą i nie płaczą. Człowiek, który trafia do naszego domu, tak naprawdę nie ma nic oprócz łóżka. Nie ma niczego, co do niego należy. I mimo wszystko ten człowiek stara się podnieść głowę, stara się zadbać o siebie, nie rezygnuje z siebie. Walczy. To jest niezwykle ważne.

Zauważyła siostra, że ci, którym się powiodło, często nie potrafią się cieszyć z małych rzeczy?

I to jest właśnie niesamowite! Nie tylko Artur, mój syn przybrany, ale także nasi mieszkańcy uczą nas, jak cieszyć się z małych rzeczy. Jesteśmy społeczeństwem konsumpcyjnym. Chcemy więcej i więcej, chcemy coraz nowszych rzeczy. A mieszkaniec naszego domu dostanie używany telefon i jest radość niezwykła. Dostanie ubranie czyste, porządne, czasami używane, czasami nowe i jest radość niezwykła. Przygotowujemy naszym podwładnym paczki na święta, wkładamy do nich drobiazgi – i jest radość niezwykła. Opowiem pani historię z zupełnie innej bajki: jestem w chińskim sklepie tu niedaleko i widzę panią, wychowawczynię i kilku chłopców. Ewidentnie były to dzieciaki z któregoś z ośrodków opiekuńczych tu w pobliżu. Dwóch chłopców oglądało piłkę futbolową, nagle zaczęli coś tam liczyć. Piłka kosztowała chyba piętnaście złotych. Widziałam, jak bardzo chcieli mieć tę piłkę, ale z drugiej strony nie mieli pieniędzy. Znam obsługę tego sklepu, policzyłam tych chłopców. Było ich czterech. Kupiłam cztery piłki. Ich wychowawczyni, zresztą bardzo miła, mówi, że przecież mają piłki w ośrodku. A ja jej na to: „Proszę panią, ale to nie są ich piłki". Teraz każdy z nich ma swoją prywatną piłkę. Kiwnęła głową. Zrozumiała, o co chodzi. I była wielka radość chłopców z piłki za piętnaście złotych. Proszę mi pokazać rodzinę średnio zamożną, nie mówię już o bogatej, w której dziecko ucieszyłoby się z piłki za piętnaście złotych.

A może to jest tak, że goniąc za tym więcej, więcej tracimy z oczu drugiego człowieka?

Tracimy z oczu drugiego człowieka, już nie cieszymy się na zwyczajne ludzkie spotkania, nie doceniamy, że ktoś poświęcił nam czas na rozmowę nawet o głupstwach, na wspólną kawę, herbatę. Bardzo często nie zauważamy przeróżnych rzeczy, nie mamy czasu, bo chcemy więcej, więcej, więcej. Bywa, że zaniedbujemy rodziny, goniąc za statusem, zapominając przy tym, że dzieciom status jest mniej potrzebny niż tata czy mama w domu.

Tyle tylko, że ludzie, którzy za czymś gonią, są tak zapracowani, tak dużo z siebie dają, że po prostu nie mają już siły na nic więcej.

Zgadza się. Tylko jeszcze trzeba wiedzieć, na co się daje z siebie tak dużo? W jakim celu? I to jest, myślę, podstawa naszego życia. Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: w jakim celu daję z siebie więcej? Ludzie, z którymi współpracowałam na początku wojny w Ukrainie, pracowali dzień i noc, dzień i noc. Mieli w tym jakiś cel, prawda? Podobnie było podczas wielkiej powodzi. Natomiast, czy rzeczywiście celem naszego życia musi być zdobywanie coraz większych pieniędzy, coraz nowszych dóbr materialnych, coraz wyższego statusu społecznego? Można się oczywiście zarżnąć, tylko po co? Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: jaki jest sens mojego życia? Czy jest nim miłość, pokój, solidarność czy też posiadanie? Bo na koniec zostajemy z pełną szafą, pełnym mieszkaniem albo willą, z trzema samochodami i pustym sercem pogrążeni w ogromnej samotności.

Przesłaniem tego filmu, o którym wspomniałam, jest też to, o czym właściwie często się mówi, że nieważny jest cel, ważna jest droga.

Nie, cel też jest ważny. Dlatego że, jak mówię, można poświęcić życie złym celom. Przede wszystkim trzeba mieć cel, a potem dobrać odpowiednią do tego drogę. Celem Putina jest zdobycie Ukrainy. I wiemy, jaką robi to drogą. Zdobycie władzy jest dla wielu celem. Nie, absolutnie musi być cel, a potem odpowiednio do tego dobrana droga oparta na wartościach.

Tylko potrzebny jest taki moment, żeby się zatrzymać i zadać sobie to pytanie: po co? Wydaje mi się, wspomniała siostra o tym, że bardzo często takim momentem jest jakaś tragedia, która nas spotyka, nas albo naszych bliskich.

Niestety, tak. Jako człowiek wierzący mówię, że oczywiście pan Bóg nie zsyła nam nieszczęść. Natomiast, jeśli potrafimy wykorzystać sytuację, w której spotkało nas jakieś nieszczęście, niepowodzenie, zdobywamy się wtedy na refleksję, na zmianę swojego życia, to jest nasz wielki sukces. W naszych domach bywali i bywają ludzie naprawdę znani, a w każdym razie tacy, którym się bardzo dobrze wiodło i którzy z różnych powodów wszystko to stracili. Uzależnienie, choroba, nieszczęście, najrozmaitsze złe inwestycje – znaleźli się na ulicy. I znam też dobrych paru, którzy znajdując się w domu dla ludzi bezdomnych, zaczęli myśleć: po co to wszystko było? O co w tym życiu tak naprawdę chodzi?

Znam takie osoby, które spotkało jakieś nieszczęście, ale później dziękowali za nie, bo dzięki niemu otrząsnęli się, zrozumieli, co jest w życiu ważne.

Dokładnie tak. I, jak mówię, pan Bóg nie zsyła nam nieszczęść. Natomiast cieszy się, jeśli potrafimy te nieszczęścia wykorzystać. Nikt nie obiecał nam raju na ziemi. Trzeba te nieszczęścia wykorzystać po to, żebyśmy sami wewnętrznie urośli, żebyśmy się uwolnili od pożądania. Są trzy tak naprawdę opisane, zresztą w liście świętego Jana, czyli w Nowym Testamencie, trzy rzeczy, które powodują w nas destrukcję to jest pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota. Jeśli spojrzymy na zło, które się dzieje wokół, to zawsze znajdziemy źródło, w której z tych trzech pożądliwości. Pożądliwość ciała, pożądliwość oczu, czyli chęć posiadania, pożerania rzeczy materialnych i pycha. Jeśli się od nich uwolnimy, będziemy ludźmi może biedniejszymi, ale za to wolnymi.

Myśli siostra, że takie pozbycie się pożądliwości i pychy daje ludziom wolność?

Myślę, że tak. Walka z nimi jest ważna. Kiedy je zwalczymy, wtedy będziemy szczęśliwi. Co oczywiście nie oznacza, że mamy wszyscy żyć w nędzy i nie korzystać z dóbr materialnych. To absolutnie nie o to chodzi. Chodzi o to, żebyśmy byli wolni, brali to, co nam jest naprawdę potrzebne, a nawet to, co sprawia nam przyjemność. To bardzo ważne. Często wydaje nam się, że przyjemności to zbytek, oznaka jakiegoś luksusu. Widać to chociażby w naszym stosunku do uchodźców z Ukrainy. Bo jak to, uchodźczyni ma pomalowane paznokcie? Podobnie matka niepełnosprawnego dziecka. Jak to poszła do fryzjera? Mamy prawo żyć, cieszyć się życiem, korzystać z tego, co mamy jako ludzie wolni. A jak trzeba, to podzielić się tym lub oddać innym.

Zawsze sobie myślę, że czas świąteczny to dobry moment, żeby zacząć rozmawiać także z ludźmi z tych innych baniek politycznych, społecznych.

Podstawą pokoju jest spotkanie, rozmowa. To nie oznacza, że musimy natychmiast nawrócić muzułmanina na wiarę chrześcijańską lub że muzułmanin nawróci mnie na islam. Ważne jest spotkanie, zobaczenie w człowieku, nawet jeśli jest z tej innej bajki, czegoś dobrego, bo to dobre też w nim jest. Osobiście, widzę w naszych mieszkańcach bardzo często takie dobro, na które mnie nie stać. Naprawdę! Mój syn, niepełnosprawny autystyk nauczył mnie absolutnego ubóstwa. On zgarnia wszystko. Nie umie czytać, ale zabiera książki, zapalniczki, długopisy. I cieszy się. Właśnie wybieramy się do chińskiego marketu, jest już prawie ubrany na kolejne, które mu sprawią nieprawdopodobną radość. A są to takie rzeczy, które kto inny wyrzuciłby do śmieci po prostu.

Czyli tak naprawdę powinniśmy się otworzyć na innych i cieszyć z małych rzeczy.

Cieszyć z małych rzeczy i nie bać się spotkania z tym innym. Obojętne czy jest to muzułmanin, Ukrainka, człowiek bezdomny. Co nie oznacza oczywiście, że nie należy być uważnym, nie każdy, kto jest ubogi jest aniołem. Tu jest dokładnie tak jak wśród tych, którym się powiodło, jest jakiś procent ludzi nieuczciwych czy manipulantów, czy chcących nas wykorzystać, więc spotkanie, ale nie naiwność. Spotkanie, życzliwość, przede wszystkim wzajemna życzliwość. Uśmiechnijmy się do drugiego człowieka w sklepie, do staruszki, która powoli wyciąga pieniądze przy kasie, do pani, która przy tej kasie siedzi. Życzliwości na co dzień ogromnie nam w Polsce brakuje. Jesteśmy tak naprawdę narodem ponurym, no niestety muszę to powiedzieć.

Zatem więcej uśmiechu także!

Więcej uśmiechu, więcej życzliwości i więcej cierpliwości. Mniej osądzania. Po francusku to się nazywa: „bienveillance" – dobre spojrzenie, a po polsku życzliwość właśnie.

eprasa.pl ea08fe165b

HISTORIA O MAŁYM CHŁOPCU KTÓRY MARZY, BY UROSNĄĆ

Każdego ranka 10-letni Jurek z Limanowej toczy walkę z bólem. Choruje na dysplazję przynasadową Schmida – schorzenie tak rzadkie, że wielu lekarzy zna je tylko z podręczników. Rodzina mieszka na co dzień w Hiszpanii. By uzbierać na operację synka, mama Karolina napisała książkę, ebook: ,,Walencja moimi oczami". Historia Jurka to opowieść o cierpieniu i nadziei, która kosztuje pół miliona złotych, ale i o wdzięczności, rodzącej się z braku

Krystyna Trzupek

W Limanowej, rodzinnej miejscowości Karoliny słońce nieśmiało topi resztki śniegu, z którego korzystają dzieci ciągnące za sobą sanki. W Walencji, we wschodniej Hiszpanii, najbardziej przytulnym mieście Półwyspu Iberyjskiego, pełne słońce. Godzina 13.Pogoda wymarzona na poobiedni spacer. - Kocham to słońce - uśmiecha się Karolina. - Potrafi rozgonić nawet najczarniejsze myśli - dodaje. A czarne chmury w postaci bezsilności i lęku zacieniają nieboskłon. W oddali widać sylwetkę małego chłopca, Jurka. To o nim jest ta historia.

FOT. ARCHIWUM

Pragnienie Jurka, by „choć trochę urosnąć", jest silniejsze niż strach przed kolejną operacją i bólem

Bezsilność

Jurek przyszedł na świat 23 września 2015 roku - zdrowy, wyczekany, otoczony miłością. Nic nie zapowiadało dramatu. Pierwszym sygnałem było to, że chłopiec nie chodził. Nóżki uginały się pod nim jak zapałki, każdy krok kończył się upadkiem. Podejrzewano krzywicę, wykonano badania - bezskutecznie. Mijały kolejne miesiące, a Jurek coraz bardziej cierpiał.- Najgorsze było to, że nikt nie potrafił nam powiedzieć, na co choruje nasze dziecko - wspomina mama, Karolina Carrera. Problem narastał, ale żaden z lekarzy nie był w stanie postawić diagnozy.

Przełom nastąpił, gdy Jurek skończył 18 miesięcy. Lekarz, u którego rodzice konsultowali synka wypowiedział nazwę choroby brzmiącą jak tajemniczy kod: dysplazja przynasadowa Schmida. Niestety nie potrafił powiedzieć, nic więcej: - Muszę poczytać, skonsultować z kolegami traumatologami, którzy mają większe doświadczenie. Ta choroba jest tak rzadka, że nie wiem, jakie są rokowania, nie wiem, czy syn będzie chodził - stwierdził lekarz.

Rodzice zostali sami. Z diagnozą, której nikt nie zna. Z przyszłością, której nikt nie potrafił opisać. Zaczęli szukać podobnych przypadków. Okazało się, że w Limanowej jest chłopiec, który choruje na tę samą chorobę. Skontaktowali się z rodzicami chłopca. Tak trafili do dr. Paleya, który dał nadzieję. Nadzieja jednak miała swoją cenę. I zero refundacji - ani w Polsce, ani w Hiszpanii.

,,Mam okropne nogi?

Do tej pory Jurek przeszedł osiem operacji. Rodzice robili zbiórki, resztę dopłacali sami. Brali kredyty, zadłużali się, pomagali ich bliscy. Dziewiąta operacja, planowana na czerwiec, będzie jedną z najtrudniejszych. - W kości synka zostaną wprowadzone metalowe pręty, które każdego dnia trzeba będzie regulować specjalnym aparatem, by stopniowo wydłużać nogi. To nie jest zabieg „na raz". To proces - bolesny, powolny, wymagający determinacji większej niż ta, którą posiada większość dorosłych. Ale Jurek jest oswojony z bólem - podkreśla mama.

- Jego ciało zachowuje się jak ciało osiemdziesięciolatka. Rano potrzebuje dobrej pół godziny, żeby rozruszać stawy. Bardzo go bolą, bo nie wytwarza kolagenu. Jurek ma 10 lat, a mierzy zaledwie metr siedemnaście. Jego rówieśnicy są od niego wyżsi o dwie głowy. Mimo, że cały czas pracujemy nad jego pewnością siebie, to boli go nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. W tym wieku dzieci zaczynają się porównywać - wyjaśnia mama chłopca.

Pragnienie Jurka, by „choć trochę urosnąć", jest silniejsze niż strach przed kolejną operacją i bólem. W chwilach słabości i buntu mówi: - Mamo, jestem jedynym dzieckiem, które ma takie okropne nogi". A w chwilach siły: „Wiesz co, mama? Życie jest naprawdę piękne".

Wdzięczność

Mimo choroby Jurek jest pogodny, wrażliwy, empatyczny. Ma marzenia - bardzo konkretne. Kocha futbol. Zna historię Messiego na pamięć: niskiego chłopca, który dzięki leczeniu w Barcelonie i własnej determinacji podbił piłkarski świat. - Chyba dlatego tak go lubi - uśmiecha się mama.

Jurek chodzi na treningi. Po zajęciach schodzi z boiska niemal na czworakach - z bólu. A mimo to wraca. Bo kocha grać. Drugą pasją chłopca jest Japonia. Manga, karate, kultura. Chłonie wszystko z dziecięcą ciekawością, ale ma też w sobie dużą dojrzałość.

- Raz przeczytał w komiksie, jak mentor mówi bohaterowi: „Wszystko, czego szukasz, masz w sobie". Jurek długo myślał nad tym przesłaniem, w końcu powiedział: „Może ja też mam wszystko w sobie. Może nie muszę szukać na zewnątrz".

Jurek ma młodszą siostrę, Zosię - wulkan energii. Rodzeństwo jest ze sobą bardzo związane. Kiedy Zosia patrzy na wysiłek brata mówi: „Mamo, jakie on ma biedne nóżki, jaki on biedny, a jak sobie radzi!".

- Czasem przychodzą do głowy ciemne myśli: jak Jurek sobie kiedyś poradzi? Jak będzie prowadził samochód z takim wzrostem, jak założy rodzinę, ale szybko je przeganiam. Ks. Jan Kaczkowski kiedyś powiedział: Nie martw się przez cały dzień. Wyznacz sobie na to godzinę, a potem ciesz się życiem" - uśmiecha się Karolina. Po chwili dodaje: - Wierzę, że ta choroba jest dla nas pewnym błogosławieństwem. Jurek pokazuje nam codziennie, czym jest wytrwałość, konsekwencja i niepoddawanie się, nawet gdy coś idzie nie tak. Wierzę, że wszystko dzieje się po coś. Zawsze staram się widzieć pozytywną stronę. Gdybyśmy skupiali się tylko na negatywach, można by zwariować. Wbrew tej sytuacji, ja jestem pełna wdzięczności – za wszystko, nawet za drobne rzeczy, jak dzisiejszy spacer w słońcu. Bo w życiu nie chodzi o wielkie sprawy, lecz o te małe momenty szczęścia. Liczą się relacje, bliskość. Choroba nauczyła nas widzieć te drobne rzeczy.

I dała impuls do czegoś jeszcze. Do napisania książki.

„Walencja moimi oczami"

Karolina nigdy nie planowała być pisarką. Pomysł zrodził z wdzięczności dla tych, którzy zechcą wspomóc leczenie synka. - Chciałam im cos dać od siebie - dodaje. Żeby zapłacić za operację Jurka, trzeba sprzedać 11 tysięcy egzemplarzy e-booka. Tyle potrzeba, by chłopiec mógł dostać szansę na życie z mniejszym bólem. Koszt to jedyne 49 zł.

Ebook: „Walencja moimi oczami" to nie jest dramatyczny pamiętnik matki chorego dziecka. To ciepła, szczera, często zabawna opowieść o życiu w Hiszpanii z perspektywy Polki. W książce znajdziemy m.in. obserwacje z hiszpańskiej codzienności, ciekawostki, jak ta, że Hiszpanie nie mają czajnika, a wodę podgrzewają w mikrofalówce. 90-latki w pełnym makijażu wychodzą z koleżankami na kawę, życie toczy się luzie, bez spiny, presji posiadania. - Hiszpanie cały dzień chodzą po domu w butach, które potem zdejmują i odkładają pod łóżko. Na szczęście wyleczyłam męża z tego zwyczaju - śmieje się Karolina.

Boże Narodzenie po hiszpańsku

Choinki pojawiają się w Hiszpanii coraz częściej, jednak w wielu domach to szopka pozostaje najważniejszym symbolem świąt. - Rodziny kupują figurki Trzech Króli, Dzieciątka, Maryi i Józefa, a dzieci często własnoręcznie je malują. Szopka bywa rozbudowana o zwierzątka, często oświetlona, a jej przygotowanie to jedna z najważniejszych tradycji - tłumaczy limanowianka.

Hiszpańskie dzieci nie czekają na Świętego Mikołaja, lecz na Trzech Króli, którzy przynoszą prezenty w nocy z 5 na 6 stycznia. To wtedy Trzej Królowie, tradycyjnie jadący na wielbłądach, zostawiają dzieciom prezenty. Jest to wyczekana noc pełna jest magii, dziecięcej ekscytacji i rodzinnych celebracji. 6 grudnia - tak ważny w Polsce - w Hiszpanii właściwie nie istnieje. W Wigilię również nie ma zwyczaju obdarowania się prezentami. Hiszpańska kolacja wigilijna wygląda zupełnie inaczej niż polska. Nie ma dwunastu potraw ani postnych ograniczeń. Mięso jest tu jak najbardziej na miejscu, ale największą popularnością cieszą się owoce morza, szczególnie krewetki - prawdziwy świąteczny rarytas. Zamiast pierników na stołach królują turony - słodkości z migdałów, przypominające nieco polską chałwę. Występują w wielu odmianach i w święta są niemal obowiązkowe. Hiszpanii do kolacji zasiadają późno, zazwyczaj o 22.00 - W Hiszpanii nie ma tradycji składania życzeń, ale ja ten polski zwyczaj przeszczepiłam do naszego domu - uśmiecha się.

To o czym marzy Jurek? - dopytuję.

- Żeby urosnąć - odpowiada Karolina.

Marzenie Jurka kosztuje pół miliona. Mama chłopca powtarza, że w słońcu łatwiej żyć. A jednak większe światło dają ludzie, którzy zechcą pochylić się nad tą historią. Za marzeniem 10-latka stoją nie tylko rodzice i lekarze, ale i wy, drodzy Czytelnicy, którzy zechcecie zatrzymać się na chwilę i dopisać do tej opowieści własny, choćby najmniejszy gest dobra. Święta mają to do siebie, że otwierają serca. Na oścież. A ofiarowane dobro, wraca z powrotem w dwójnasób.

eprasa.pl ea08fe165b

MOJE NOŻE SĄ PRAKTYCZNIE NIEZNISZCZALNE

– Najbardziej nietypowym zleceniem było wykucie maczety – mówi Piotr Kuborek z Rzeszowa, architekt z zawodu, kowal z wyboru. Od lat tworzy noże, które trudno nazwać jedynie narzędziami

Marcin Żminkowski

Kiedy zaczęła się twoja pasja do wykuwania form z metalu?
Zainteresowanie kowalstwem, a w szczególności wykuwaniem noży, towarzyszyło mi od samego dzieciństwa. I to już było takie ukierunkowanie ścisłe, nożyki, miecze strugane z drewna. Potem, w dorosłym życiu, gdy miałem już swój warsztat i możliwość zorganizowania jakiejś przestrzeni na tego typu działalność, zacząłem myśleć o kowalstwie. Pierwsze próby - z nagrzewaniem palnikiem, piecyk elektryczny niewielki, bez kowadła, bez młota, bez prasy - miały pokazać, czy ten temat mi się spodoba, czy faktycznie ta tęsknota gdzieś za tym jest autentyczna. Okazało się, że tak i zaczęło się kompletowanie całego sprzętu i wchodzenie coraz głębiej w wykuwanie noży.

A pamiętasz swój pierwszy nóż?
To nie był nóż wykuwany jeszcze, to był nóż, który był wycinany z kawałka blachy, szlifowany, doklejana była do niego rękojeść, oczywiście wcześniej był hartowany jeszcze na tyle, na ile miałem pojęcie o hartowaniu i on gdzieś tam jeszcze jest. Nie jest to nóż, którym się można pochwalić, tak jak teraz obserwujemy czasami w mediach społecznościowych. Jeśli ktoś wykonuje pierwszy nóż, to naprawdę jest na bardzo wysokim poziomie. To były pierwsze nieudolne próby, ale nauczyły mnie naprawdę bardzo dużo.

Jesteś architektem, czy to pomaga ci w jakiś sposób przy tworzeniu noży?
Studia, które kiedyś rozpocząłem, architektura, dały bardzo mocne podstawy projektowania i kompozycji. I to jest - myślę - taka bardzo uniwersalna dziedzina. Możemy ją wykorzystać w bardzo różnorodny sposób, poprzez sztukę użytkową, wzornictwo użytkowe, projektowanie sztućców, noży, ale też i samochodów, kończąc na budynkach oczywiście. To wszystko ma bardzo duże znaczenie, dobór materiałów, kompozycja kolorystyczna, wrażenia estetyczne, które ten nóż ma też pełnić, oprócz tego, że ma być w pełni użytkowy, myślę, że to jest bardzo ważne.
W miarę rozwoju pasji kowalskiej i robienia kolejnych noży, które były coraz lepsze, pojawiły się pierwsze zamówienia. Miałem satysfakcję, że to, co wytwarzam moimi rękami, znajduje swoich odbiorców i przede wszystkim spełnia ich oczekiwania. Tych zamówień zaczęło się pojawiać coraz więcej. W zasadzie kowalstwo stało się moim drugim zawodem.

Jakie są etapy tworzenia noża, od czego zaczynasz?
Mając pomysł na nowy nóż, zaczynam od samego początku, czyli pierwszych kresek stawianych na papierze. Oczywiście jest to poparte oczekiwaniami klienta, dyspozycją, czy to jest nóż, który ma być nożem myśliwskim czy nożem kuchennym. Potem następuje etap projektowania noża, określania jego proporcji, wymiarów. Wagi na razie nie zakładamy, bo to wszystko będzie później związane na końcu z wykorzystaniem materiałów. Natomiast projekt noża, który powstaje przedstawiam klientowi. To on decyduje, że taka forma, taki kształt, takie przeznaczenie jest dla niego odpowiednie i zleca budowę takiego noża. Następnie trzeba zgromadzić materiały, dobrać poszczególne gatunki stali, materiał na rękojeść, pochewkę do tego noża. Oczywiście zmiany „w trakcie" są możliwe, natomiast jak już odpalę piec kowalski, zacznę skuwać dwa kawałki metalu, to już mamy otwartą drogę do konkretnego modelu noża, do konkretnej formy.

Jaki wpływ na cenę noża ma dobór materiałów?
Materiał jest istotnym elementem w konstrukcji całego noża, ale myślę, że znacznie bardziej takim czynnikiem cenotwórczym jest nakład pracy, jaki wiąże się z wykonaniem noża. Inaczej wykonuje się nóż, który jest z jednorodnego materiału, wycięty z kawałka płaskownika, zahartowany, wyszlifowany. Inaczej wykonuje się nóż, który ma 60-80 warstw stali, jest skuwany, a jego proces tworzenia jest znacznie dłuższy.

Pracujesz nie tylko z metalem, ale także obrabiasz drewno, żeby wykonać rękojeść noża?
Nóż i projekt noża to jest połączenie stali i najczęściej drewna. Stal, klinga to elementy, które mają być twarde, ostre. Rękojeść ma być wytrzymała, wygodna. Ja w swojej pracy wykorzystuję różne gatunki drewna. Może to być orzech turecki, mogą to być drewna sprowadzane z Indonezji, quava czy tamarynd, ale mogą to być też nasze rodzime gatunki, czeczot klonu, brzoza karelska, która jest stabilizowana i barwiona. Z takich materiałów wykorzystuję to, co jest dostępne na rękojeści, odpowiednio oczywiście przygotowując i komponując całość mojej pracy.

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Piotr Kuborek w swojej pracowni – miejsce, w którym architektura spotyka się z ogniem i stalą

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Ręcznie wykończone detale – każdy nóż powstaje jako unikat, dopracowany od klingi po rękojeść

Czym jest mozaika damasceńska. Jak dotarłeś do tej techniki?
Idąc po kolei przez takie najprostsze techniki kowalskie, dobrnąłem do etapu mozaik damasceńskich, dzięki mojemu przyjacielowi Bernardowi Górnemu, który jest moim mentorem i nauczycielem. On zapalił mnie tym pomysłem przejścia już na mozaiki, stworzenia mozaik damasceńskich. To jest taka technika, która jest cały czas jeszcze nieodkryta przeze mnie, szalenie trudna i pracochłonna. Wykonanie takiego materiału wyjściowego w postaci płaskownika na nóż zajmuje bardzo dużo czasu. Myślę, że to jest technika, w stronę której będę chciał zdecydowanie się teraz przemieszczać. Polega na wykorzystywaniu tylko dwóch w zasadzie materiałów, dwóch rodzajów stali, ale łączonych w taki sposób, że daje to niesamowite efekty. Wykorzystując materiał, który mamy wcześniej wykuty, możemy stwierdzić, czy jesteśmy w stanie wykorzystać ten bieżący projekt, czy powinniśmy skupić się na wykuciu.

Pamiętasz jakieś niecodzienne zamówienie, które przyszło ci realizować?
Takim chyba najbardziej nietypowym zleceniem dla mnie było wykucie maczety, ale też noża myśliwskiego, tak zwanego ulu, który stanowi bardzo specyficzny typ noża. Kształt literki „u" połączonej rękojeścią, więc kształt bardzo trudny do wykucia, ale udało się. Pod kątem formy, to były najtrudniejsze noże, które wykonywałem, natomiast pod kątem nakładu włożonej pracy, to były jednak ostatnie mozaiki damasceńskie, gdzie naprawdę przy kowadle spędziłem wiele czasu i nie jest to etap, który można rozpocząć i skończyć w tym samym dniu. Jest to wiele etapów kucia, które są porozdzielane czasem na stygnięcie stali, „odpuszczanie" tej stali i dopiero później następuje proces kucia. Był to nóż, który chyba najbardziej mi się podobał spośród noży, które zrobiłem. Wykonany z mozaiki damasceńskiej. Rękojeść stanowił stabilizowany cios mamuta z elementami drewna żelaznego.

Co cię najbardziej satysfakcjonuje w tej pracy?
Myślę, że takim czynnikiem najbardziej satysfakcjonującym jest zadowolenie klienta i to, że docenia nakład pracy włożony w wykonanie noża, że docenia też w pełni jego funkcjonalność i w zasadzie niezniszczalność. Wszystkie klingi, które wykuwam, są praktycznie niezniszczalne. Wiadomo, że przy normalnym użytkowaniu, jeżeli ktoś się uprze, że będzie chciał złamać taki nóż, da sobie radę, ale jeżeli ktoś będzie podchodził w sposób normalny do posługiwania się nożem, ten nóż będzie długowieczny.

Masz plany na rozwinięcie swojej działalności kowalskiej?
Wciąż zdobywam nowe umiejętności. Przechodzę na wyższy poziom wykuwania tych noży poprzez właśnie mozaiki damasceńskie, ale też biorę udział w wielu wystawach. Ostatnio braliśmy udział w wystawie pod Rzymem we Fraskat. To było bardzo bogate doświadczenie w naszym tworzeniu noży i biżuterii, bo w zasadzie tutaj też pod kątem biżuterii z żoną działamy. Myślę, że to jest kierunek, który chcielibyśmy kontynuować, żeby wyjść troszeczkę dalej poza Polskę.

eprasa.pl ea08fe165b

MARYLA RODOWICZ: JESTEM OSOBĄ, KTÓRA SIĘ SZYBKO PODNOSI, BO SZKODA CZASU NA ZAMARTWIANIE SIĘ

Pod tytułem „Niech żyje bal" ukazał się właśnie nowy album Maryli Rodowicz. Zawiera on odświeżone wersje dawnych przebojów królowej polskiej piosenki z udziałem młodych gwiazd popu. Z tej okazji Maryla Rodowicz opowiedziała nam, jak radzi sobie we współczesnym show-biznesie

Paweł Gzyl

8 grudnia obchodziła Pani 80. urodziny. Nowa płyta to prezent, który postanowiła Pani sprawić sama sobie z tej okazji?
Kompletnie nie. Ja staram się nie obchodzić swoich urodzin. W ogóle o tym nie myślę. A płyta była już zaplanowana dwa lata temu. I tak się to toczyło do dzisiaj.

Poprzedni Pani album ukazał się osiem lat temu. Dlaczego tak długo czekaliśmy na kolejny?
Początkowo planowałam wydanie albumu z nowymi utworami, których mam bardzo dużo. Może nie są one kompletne, bo to głównie sama muzyka, ale jest ich już ponad trzydzieści. Stało się tak, ponieważ kompozytorzy przysyłali mi je przez długi czas – choćby jeszcze za swego życia Romek Lipko. Kiedy jednak porozmawiałam z moim menedżerem i z wytwórnią, stanęło na tym, że najpierw nagrywamy płytę z duetami.

„Niech żyje bal" przynosi nowe wersje Pani przebojów nagrane z młodymi gwiazdami polskiego popu. Skąd taki pomysł?
Zawsze chciałam zrobić coś z młodymi artystami. A co jak nie moje największe hity?

Jak Pani wybrała dziesięcioro wokalistów do zaśpiewania tych duetów?
To była bardzo filmowa scena. Siedziałam w hotelu Bristol w Warszawie z moimi menedżerami przy dużym stole i rozłożyliśmy na nim koperty. Miałam złoty flamaster i pisałam ręcznie na czerwonym papierze nazwiska wykonawców, których chciałabym zaprosić do tego projektu. Potem włożyliśmy te kartki do kopert i wysłaliśmy do wszystkich tych wykonawców. Pięknie to wszystko wyglądało, tym bardziej że Bristol to mój ulubiony hotel w Warszawie.

Dlaczego?
W hotelu Bristol pisałam swoją pracę magisterską. Nie miałam wtedy gdzie mieszkać w Warszawie, więc wylądowałam właśnie tam. Miałam pokój z widokiem na ulicę i pamiętam, jak maszerował nią pierwszomajowy pochód. Towarzyszył mi mały piesek, którego kupił mi w Pradze mój ówczesny menedżer i narzeczony František Janečki. Ktoś sprzedawał szczeniaczki bokserki na ulicy i ponieważ mi się spodobały, dostałam jednego w prezencie. I ten piesek pogryzł wszystkie meble w tym hotelowym pokoju. W efekcie dostałam dożywotni zakaz rezydowania w Bristolu. (śmiech)

Wróćmy do płyty. Dała Pani wolną rękę każdemu z artystów i artystek w kwestii aranżacji i produkcji?
Nie tylko: również wybór utworów. Oni sami decydowali, co zaśpiewają. Był tylko jeden wyjątek: Ralph Kaminski chciał pierwotnie zaśpiewać „Bossanovę do poduszki". To bardzo trudny muzycznie utwór. Dlatego mówię do niego: „Ralphiku, jak wybierzesz tę piosenkę, to kiedy będziemy go wykonywać na scenie, będziesz tylko stał i śpiewał. Zaśpiewajmy lepiej „Nie ma jak pompa". Bo Ralph uwielbia inscenizować swoje występy w niemal teatralny sposób. „Będziesz miał wtedy pole do popisu: zaśpiewasz, zatańczysz, zaszalejesz". Zgodził się i zaśpiewaliśmy w tym roku wspólnie „Nie ma jak pompa" na festiwalu Polsatu w Sopocie. No i wyszło naprawdę efektownie.

Która z tych nowych wersji, jakie przygotowali zaproszeni artyści, zrobiła na Pani największe wrażenie?
Najpierw „Sing-Sing" w wykonaniu Mroza. Kiedy tylko pierwszy raz usłyszałam tę wersję, od razu podjarałam się tymi brzmieniami, które wymyślił ze swoim producentem. To było niesamowicie rajcujące. Może dlatego, że to była pierwsza z tych wersji, które otrzymałam. A potem „Wielka woda" Dawida Kwiatkowskiego. Zaskoczyła mnie jego wizja tego utworu. Jestem przyzwyczajona do jego orkiestrowej wersji, którą zawsze śpiewa ze mną publiczność. A tutaj on gra jednym palcem na fortepianie przez pół piosenki. To było dla mnie szokujące. Ale potem, kiedy zaczęłam tego uważnie słuchać i weszły smyczki, rozkleiłam się zupełnie. Dlatego powiedziałam: „Dobrze, idziemy w to!".

Zawsze Pani mówi, że najbardziej wymagającą wokalnie piosenką z Pani repertuaru jest „Małgośka". Zmierzyła się z nią Lanberry. Jak sobie poradziła Pani zdaniem?
Zaczęło się od tego, że Lanberry poprosiła: „Wejdź ty pierwsza do studia i nagraj swoją partię". Tak też zrobiłem i od razu z przyzwyczajenia ryknęłam na początku „To był maj!". A ona natychmiast się włączyła i mówi do słuchawek: „Hola, hola, stop, nie tak! Nie takim wokalem. Spróbuj zaśpiewać to spokojnie". „No ale ja jestem przyzwyczajona, że muszę tu ryknąć" – tłumaczę. „Ale spróbuj teraz inaczej" – ona na to. Zgodziłam się i ponieważ nie wychodziło mi w pierwotnej tonacji, zaczęło się jej obniżanie. „Twoja »Małgośka« to stara wersja, a teraz będzie »Małgośka 2025«. Taka miła, spokojna, płynąca" – tłumaczyła Lanberry. No i stanęło na tym, że obniżyliśmy tonację i cały ogólny wyraz tego utworu jest teraz zupełnie inny niż ta stara wersja.

Z wszystkimi tymi wokalistami spotykała się Pani w studiu na wspólnych nagraniach?
Tak. Oni najpierw produkowali podkład, a potem rejestrowaliśmy do tego w studiu nasze wokale.

Czy jest taka piosenka z Pani bogatego repertuaru, której zabrakło na tym albumie?
Ojej, ja mam ponad dwa tysiące piosenek w repertuarze. Wszystko to piękne kompozycje i piękne teksty. Oczywiście ci zaproszeni artyści nie przekopali całego mojego repertuaru. Krzysiek Zalewski od razu mi powiedział: „Chcę śpiewać »Remedium«, bo to była ulubiona piosenka mojej mamy, która niedawno zmarła". I nagrałam z nim ten utwór, który teraz hula w rozgłośniach radiowych.

No właśnie: dzięki tym piosenkom wróciła Pani pod długiej nieobecności do radia.
Bardzo się z tego cieszę. Od końca lat 90. nagrywałam regularnie płyty i uważam, że był to starannie dobrany repertuar. Ale rozgłośnie radiowe wypięły się na mnie. „Utwór nie przeszedł badań" – słyszałam za każdym razem. Ale co to za badania? Nikt nie wie. Było mi więc bardzo przykro. Potem przyszły lata dwutysięczne i nagrywałam nową płytę co dwa lata. To były wszystko świetne produkcje: jedną produkował Marcin Bors, drugą Andrzej Smolik, a trzecią Bogdan Kondracki. A ja nadal słyszałam: „Utwór nie przeszedł badań". Mało tego: nawet branża się na mnie wypięła i nigdy w życiu nie zostałam nominowana do Fryderyka jako wokalistka. Kiedyś nagrałam płytę z piosenkami, do których teksty napisała Kasia Nosowska. I myślę sobie wtedy: „Pal licho, że mnie olewają jako wokalistkę, ale Kasię na pewno docenią jako autorkę tekstów". A tu nic z tego – żadnej nominacji. A wcześniej co by Kasia nie napisała, to była nominowana. Tutaj napisała całą płytę i nikt tego nie dostrzegł. Dlatego było mi bardzo przykro.

Raz tylko, w 2008 roku, chciano wręczyć Pani Fryderyka za całokształt twórczości, ale odmówiła Pani jego przyjęcia.
Dlatego, że ja przecież cały czas tworzę i nie kończę swojej kariery. To bardzo łatwe wręczyć artyście, który dla nich nie istnieje, nagrodę za całokształt. „Złoty Fryderyk? Nie, wypchajcie się" – stwierdziłam.

Co sprawiło, że tym razem rozgłośnie radiowe sięgnęły po piosenki z „Niech żyje bal"?
Może spodobała się szefom muzycznym rozgłośni nowoczesna produkcja tych utworów? Kiedy wychodzi nowa piosenka, robi się taką rundkę po najważniejszych radiach. I kiedy przywiozłam „Sing-Sing" z Mrozem, od razu pojawiły się entuzjastyczne reakcje: „Jakie to jest fantastyczne! Jak to hula!". Pomyślałam sobie wtedy: „Nareszcie!". W efekcie ten singiel pokrył się złotem. „To teraz będzie tylko lepiej" – stwierdziłam. I potem „Damą być" z Roxie Węgiel też została bardzo dobrze przyjęta przez radia. „Wielkiej wody" z Dawidem Kwiatkowskim już jednak nie chcieli grać, bo „to jest za smutne i za powoli się toczy". Te kryteria doboru piosenek do radia są krzywdzące, bo odtrącają bardziej oryginalne i niebanalne utwory.

Niektóre z tych piosenek powstały ponad pół wieku temu. Co sprawia, że są nadal atrakcyjne dla współczesnego słuchacza?
To świetnie napisane piosenki. Weźmy takie „Remedium" – muzykę skomponował Seweryn Krajewski, a tekst napisała Magda Czapińska. I tam się wszystko zgadza. Ktoś mógłby pomyśleć: „Nie, to za spokojny utwór, teraz są inne czasy, my potrzebujemy bardziej dynamicznych utworów". A jednak słuchacze to kupili. To dla mnie wielka satysfakcja. Liczy się też oczywiście wykonanie. Jak Igor Herbut ryknął w „Niech żyje bal", to aż miałam ciary.

Za sprawą tej płyty miała Pani okazję poznać bliżej młode gwiazdy polskiego popu. Czego się Pani od nich nauczyła?
Kiedy nagrywaliśmy, siedziałam z otwartymi ustami i słuchałam wręcz z nabożeństwem tych wokalistów. Wszyscy oni powalili mnie swymi możliwościami, swoim zaangażowaniem, swoją wyobraźnią. Jestem dla nich pełna podziwu i szczęśliwa, że zgodzili się ze mną zaśpiewać.

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE WARNER MUSIC POLSKA

Maryla Rodowicz: Mam ponad dwa tysiące piosenek w repertuarze. Wszystko to piękne kompozycje i piękne teksty

Usłyszymy któryś z tych duetów podczas Pani występu na tegorocznym Sylwestrze z Dwójką?
Pojawią się duety, ale nie z tej płyty, czyli coś zupełnie nowego. Będzie naprawdę zabawnie.

Niedawno wystąpiła Pani na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie. Jak przyjęła Panią dzisiejsza młodzież?
Bardzo ciepło. Zresztą tak się dzieje teraz na każdym moim koncercie. Gram ich bardzo dużo, a jeszcze do niedawna było zupełnie inaczej. Jakieś dwa lata temu przyszli do mnie moi muzycy i mówią: „Szefowo, dlaczego my tak mało gramy koncertów?". Mówię więc do mojego ówczesnego menedżera: „Dlaczego tak mało gramy koncertów?". A on na to: „No wiesz, przyszło młode pokolenie i zabrało ci rynek". Kiedy jednak zmieniłam menedżerów i pojawili się nowi ludzie, okazało się, że gram tyle koncertów, iż ledwo wyrabiam. Czyli okazało się, że młodzi wcale mi nie zabrali rynku, tylko wystarczyło się trochę postarać i wymyślić jakąś inną formułę. Do tego bardzo budujące jest dla mnie, że na te moje koncerty przychodzi dużo młodzieży. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

Dzisiejszy show-biznes jest zupełnie inny niż ten sprzed lat. Obecnie rządzi nie telewizja i Opole, tylko Spotify, YouTube i TikTok. Jak sobie Pani z tym radzi?
Musiałam się tego nauczyć. Dalej niewiele umiem, ale mam podstawowe umiejętności. Zaczęło się pod koniec lat 90. Mój fan Konrad, który wtedy mieszkał w Niemczech, założył mi pierwszą stronę internetową Marylomania. I poprosił mnie, żebym tam coś od czasu do czasu napisała. A ja nie umiałam tego zrobić. Siedziałam w nocy i próbowałam to rozkminić, ale mi nie wychodziło. Wpadłam więc na pomysł i zadzwoniłam do syna, który wtedy studiował w Stanach. U mnie była noc, a u niego rano. I mówię: „Synek, pomóż!". Dzięki jego wsparciu jakoś sobie z tym poradziłam. I dzisiaj jest tak samo: są wokół mnie młodzi ludzie, dla których te nowe media nie mają tajemnic i zawsze mogę liczyć na ich wsparcie.

Woli Pani ten dzisiejszy show-biznes, czy ten, który był kiedyś?
Kiedyś wszystko toczyło się leniwie i utartymi drogami. Za dawnych lat nie było koncertów plenerowych, bo zaczęto je organizować dopiero pod koniec lat 90. Trzeba było więc sobie radzić inaczej. Kiedy na początku lat 80. urodziłam pierwsze dziecko, od razu opuścił mnie cały zespół. Bo wiadomo: pomyśleli, że będę karmić i nie ruszę się z domu. Wtedy niespodziewanie Teatr Buffo zaproponował mi dziesięć koncertów pod rząd, a to było pół roku po urodzeniu dziecka. Znalazłam więc za czyjąś podpowiedzią świetnego gitarzystę, Andrzeja Kleszczewskiego, i zagraliśmy te dziesięć koncertów tylko we dwójkę. Pamiętam, że wystąpiłam w haftowanej sukience, którą podarował mi mój ówczesny narzeczony, wyciągając ją ze skrzyni swojej babci. Jedna z fanek dokleiła do tej sukienki ozdoby z połamanego lustra z pawimi piórami i było oryginalnie.

Kiedy w Polsce było ciężko, występowała Pani za granicą?
Tak. Mój ówczesny menedżer przyszedł do mnie i mówi: „Ja cię przetestuję w ZSRR, czy ty się będziesz tam sprzedawać". Zorganizował mi dwa koncerty – w Leningradzie i w Moskwie – i okazało się, że to zażarło. Wtedy radziecka agencja zakontraktowała mnie na sześciotygodniową trasę na wszystkie republiki: od Kazachstanu do Litwy. To mi dało możliwość utrzymania się. Po tych sześciu tygodniach wróciłam do Polski i mogłam siedzieć z dzieckiem, nie martwiąc się o nic.

Dzisiaj nie ma Pani możliwości odwiedzenia tych fanów w Rosji.
Mam jednak w Moskwie fanklub, który przysyła mi regularnie wiadomości, jest więc jakiś kontakt. Mam też w Polsce takiego fana, który jest marynarzem i miesiąc pływa, a miesiąc jeździ na moje koncerty. A ponieważ bardzo kocha Wschód, często podróżuje na Ukrainę i do Rosji. Kiedy tam jest, spotyka się z ludźmi z tamtego fanklubu i opowiada im, co u mnie słychać.

Niebawem powstanie film fabularny o Pani życiu. To dobry pomysł?
Oczywiście. Bardzo się z tego cieszę. Najbardziej interesuje mnie casting na główną rolę. (śmiech)

Kogo by Pani widziała najchętniej jako Marylę Rodowicz?
Nie mam takiego konkretnego typu. To nie będzie proste, bo ta aktorka będzie musiała choć trochę mnie fizycznie przypominać, ale też będzie musiała umieć śpiewać i mieć dużo wdzięku. Będę na tych castingach, bo mam to w umowie, więc zobaczymy.

Ma Pani jakiś wpływ na scenariusz tego filmu?
Scenariusz jest już gotowy i zdjęcia ruszą wkrótce. Oni chcą zrobić premierę już pod koniec przyszłego roku.

Ten film będzie opowiadał o Pani karierze, ale pewnie też o burzliwym życiu miłosnym.
Głównie o życiu miłosnym. (śmiech) Kariera będzie się jedynie przeplatać. Moje dzieci, które też czytały ten scenariusz, powiedziały, że za mało jest tam o muzyce, a za dużo o tych wszystkich moich miłościach. Ale wiadomo – ludzi to właśnie najbardziej ciekawi.

Skoro jesteśmy przy tym życiu miłosnym, przypomniało mi się, że kiedyś powiedziała Pani w jednym z wywiadów: „Zakochiwałam się w trudnych mężczyznach, zwykle artystach". Z czego to wynikało?
Bo mi imponowali. Weźmy takiego Krzysztofa Jasińskiego. Kiedy poznaliśmy się bliżej w 1977 roku podczas prób do spektaklu „Szalona lokomotywa" w namiocie Teatru STU w Krakowie na ulicy Rydla, był nie tylko przystojnym mężczyzną, ale również fenomenalnym twórcą. Pamiętam upalne lato, mieszkałam wtedy w hotelu Francuskim, do którego mam od tamtej pory wielką słabość. Kupiłam sobie nieco wcześniej czerwone Porsche 911 i przyjechałam nim do Krakowa. Pozwolili mi zaparkować vis a vis hotelu i ludzie przychodzili tam robić sobie zdjęcia z tym autem. Nikt nie wiedział, że tam w środku jest rozpadający się silnik. Co gorsza, nie umiałam jeździć tym samochodem, bo jak się dało gazu, to stawał bokiem. Kiedy jechałam do Krakowa, lał ulewny deszcz i bałam się, że nie dojadę. Ale udało się i co rano szłam do Teatru STU na próbę. Tam spotkałam Marka Grechutę, który grał w tym przedstawieniu obok mnie główną rolę. Po próbach szliśmy do jego domu, tam poznałam jego żonę Danusię i ich dwuletniego synka. Robiłam wtedy dużo zdjęć, można je znaleźć do dziś w archiwum teatru. To był piękny czas no i trudno było się nie zakochać w pięknym Jasińskim.

Po tych wszystkich miłosnych perypetiach powiedziała Pani ostatnio, że nie uwierzy już nigdy żadnemu mężczyźnie. Trzyma się Pani dalej tego?
To nie jest kwestia uwierzenia mężczyźnie. Kiedy kobieta zakochuje się, zawsze rzuca się do pustego basenu na główkę. (śmiech) Nigdy przecież nie wiadomo, co będzie.

Na pewno nie brakuje Pani propozycji matrymonialnych.
To prawda. Rzecz w tym, że ci moi absztyfikanci są coraz młodsi, nawet osiemnastoletni chłopcy. I co z tym robić?

Jak sobie Pani radzi jako singielka?
Świetnie. Uwielbiam być sama. Teraz wreszcie sama o sobie decyduję: o której wstanę, co zjem, do której posiedzę sobie w nocy, bo ja jestem nocnym markiem. Nikt nie przychodzi i nie mówi mi: „Maryś, kładź się spać!". I jest super.

Mieszka Pani sama w wielkiej willi w Konstancinie. Nie doskwiera Pani czasem samotność?
Nie, wręcz przeciwnie.

Pewnie ma Pani dużo przyjaciół?
Jestem osobą towarzyską, ale nie biegnę codziennie, żeby się z kimś spotkać. Takie sytuacje zdarzają się jedynie od czasu do czasu. Ostatnio moja córka wymyśliła, żebym zorganizowała spotkanie wigilijne z tymi kolegami i koleżankami z nowej płyty. I tak będzie. Córka wydrukuje teksty kolęd i jak Igor Herbut ryknie „Triumfy króla niebieskiego", to będzie coś! Mają być też Kayah i Krzysiek Zalewski, szykuje się więc wspaniała impreza.

Ma Pani bardzo pogodną naturę. To pomaga w życiowych nawałnicach?
Oczywiście. Naturalnie są takie momenty, że człowiekowi jest przykro czy coś go smuci. Ale ja jestem osobą, która się szybko podnosi, bo szkoda czasu na leżenie i zamartwianie się.

Kiedyś stwierdziła Pani: „Postanowiłam, że będę sprawna i w formie przez całe życie". I chyba się udaje.
Powiem panu, co mnie ostatnio zmobilizowało. Zostałam zaproszona przez Sobka Zasadę na jego 95. urodziny. Poszłam na tę imprezę, patrzę, a on rześki, sprawny, stoi, biega, śmieje się. Składam mu życzenia i pytam: „Co ty robisz, że jesteś w takiej formie"? „Nie jesteś na nic chory? Może chociaż kolano cię boli? Bo ja mam problem z kolanem" – sugeruję z nadzieją w głosie. A on: „Nie. Nic mi nie dolega". Dopytuję zatem: „Co robisz, że jesteś w takiej formie?". „Codziennie ćwiczę" – odpowiada. Wróciłam więc z tych urodzin, spojrzałam na mój pokrywający się kurzem rowerek stacjonarny, który dzieci zniosły mi z góry na parter i postawiły naprzeciw telewizora, i powiedziałam do niego: „Oj, będziesz używany".

I tak się stało?
Nie. (śmiech) Teraz pan mi dopiero o tym przypomniał. (śmiech)

Kiedyś grała Pani dużo w tenisa.
To prawda. Grałam dwie godziny dziennie przez pięć dni w tygodniu i jeszcze było mi mało. Powiedziałam więc do mojego trenera: „Tak pykamy sobie i pykamy i jakieś to takie nieefektowne. Zróbmy trening profesjonalny". A on mówi: „Dobrze". Graliśmy więc tak intensywnie, aż zerwałam sobie mięsień i musiałam się poddać operacji.

Gra Pani jednak obecnie bardzo dużo koncertów. Zarówno same występy, jak i podróże w trasie są na pewno wyczerpujące. Jak sobie Pani daje z tym radę?
Jak muszę, to muszę. (śmiech) Wszystko zależy od siły woli.

No właśnie: w jednym z wywiadów zadeklarowała Pani kiedyś: „Jestem nieśmiertelna. I tego się trzymam". Jak chce Pani przekonać Boga, aby pozwolił dotrzymać tego postanowienia?
Rozmawiam z Nim i On mi powiedział: „Dobrze, daję ci tę szansę". (śmiech) Tak naprawdę to rozmawiam z Duchem Świętym. Pamiętam z lekcji religii, że są trzy osoby Trójcy Świętej: Bój Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Czyli jak rozmawiam z Duchem Świętym, to rozmawiam z samym Bogiem.

A dlaczego wybrała Pani akurat Ducha Świętego?
Stało się to za sprawą nieżyjącej już dziś Marysi Sapiehy z Krakowa. Pamiętam, to był dzień, kiedy mój starszy syn czekał na wynik egzaminów na Uniwersytet Warszawski. Spotkałam się akurat z Marysią i powiedziałam jej o tym, a ona mówi: „Nie martw się, porozmawiaj z Duchem Świętym, bo On jest od spraw naukowych. Powiedz mu, że ci zależy, aby syn dostał się na studia". Tak też zrobiłam,a po chwili dzwoni do mnie syn i mówi: „Mamo, dostałem się! Co prawda z ostatniego miejsca, ale dostałem się!". Może więc to była interwencja tego Ducha Świętego?

eprasa.pl ea08fe165b

AGNIESZKA GROCHOWSKA: KTOŚ, KTO BIJE DZIECKO, JEST POZA MOJĄ SKALĄ ROZUMIENIA

W filmie „Brat” wchodzi w skórę kobiety, która z bezradności sięga po przemoc. – Ten film jest o wielu rodzinach. Wielu matkach i wielu ojcach. Myślę, że przejrzy się w nim bardzo dużo osób – mówi aktorka Agnieszka Grochowska

Anita Czupryn

Filmowi krytycy piszą, że postać Agnieszki, matki dwóch synów w filmie „Brat”, jest jedną z najbardziej poruszających ról w Pani karierze, a sam film uderza prosto w serce. Gdy po raz pierwszy czytała Pani scenariusz, też pomyślała Pani: „To będzie dla mnie ważna rola”? I jak Pani wewnętrznie mierzy wagę tej roli? Po czym się poznaje, że rola może zostać z aktorką na długo?
Trudno jest mi to oceniać w taki sposób. Pewnie mogę patrzeć na tę rolę przez pryzmat tego, jak ona się różni od tego, co w moim aktorskim życiu zrobiłam wcześniej, i czy ja sama nie jestem czasem zaskoczona takim obszarem emocjonalnym, w który miałam wejść. Na pewno od początku wiedziałam, że chcę w tym filmie zagrać i że on ma szansę być dobry. Niezmiernie cenię Maćka Sobieszczańskiego. Uważam, że jest wybitnym scenarzystą, wybitnym reżyserem; wszystko właściwie, co Maciek zrobił, było dla mnie interesujące. Zaczęliśmy się spotykać w sprawie innego projektu, a potem on nagle przyszedł z tym filmem i pomyślałam: „Ojej, jaka ciekawa propozycja”. Zwłaszcza że wtedy, kiedy pierwszy raz czytałam scenariusz, moje dzieci były dużo młodsze; można powiedzieć, że byłam świeżo upieczoną mamą.

I nie miała Pani takich problemów jak filmowa Agnieszka.
Tak, to po pierwsze. A po drugie, ktoś, kto bije dziecko, kto w ogóle potrafi podnieść na nie rękę, jest kompletnie poza moją skalą rozumienia. Obawiałam się, że będę potrafiła wejść w skórę osoby, która tak bardzo sobie nie radzi, że sięga po przemoc. Ale to był wyraz bezradności, nie sadyzmu. To były myśli, które wtedy mi towarzyszyły. Kiedy zaczęły się zdjęcia, wydawało mi się, że filmowa Agnieszka jest zupełnie inną matką niż ja. Myślę, że skrajnie inną. Paradoks polega na tym, że dziś - kiedy oglądam film ponownie - moje własne dzieci są już w wieku bohaterów. Mają 13 i 9 lat, czyli mniej więcej tyle, co moi filmowi synowie. Zbiegło się to w czasie z premierą „Brata” i nagle sama zaczynam rozumieć, że czasem trzeba dzieciom stawiać większe granice. I wyciągam z tego różne ciekawe wnioski.

Czy teraz też dostrzega Pani u siebie podobieństwa? W czym jest Pani podobna do Agnieszki z filmu, do matki, która za wszelką cenę próbuje chronić swoich synów?
Myślę, że to dotyczy większości matek, które starają się chronić własne dzieci. Pewnie też taka jestem. Jest w tym filmie parę takich scen, w których sama byłam sobą zaskoczona i wydaje mi się, że udało się reżyserowi znaleźć moją zupełnie inną twarz. Naprawdę weszłam w tę historię, uwierzyłam w ten scenariusz, bardzo zaufałam Maćkowi. Mało się wtedy posiłkowałam własnym, stricte macierzyńskim doświadczeniem w stylu, że ja jako mama robię to tak i tak, tylko rzeczywiście byłam wariantem matki: matką ze scenariusza, z filmu. Dlatego może to tak działa. Jestem w zawodzie ponad dwadzieścia lat. Wiele ról już zagrałam. Wiele z nich było rolami matek - naturalne jest, że w pewnym wieku gra się postacie mające dzieci. Tu, w filmowej Agnieszce, wydaje mi się, że jest bardzo dużo tonów, których wcześniej po prostu nie używałam. To mądrość reżysera, świeżość tego scenariusza i to, jak dobry to tekst, sprawiają, że ten ton momentami jest bardzo oszczędny.

FOT. MAT.PRAS. MPNOLITH

Agnieszka Grochowska: Wiele ról już zagrałam. Wiele z nich było rolami matek. Tu, w filmowej Agnieszce, jest bardzo dużo tonów, których wcześniej nie używałam.

W filmie dużo się dzieje w samym spojrzeniu, dużo się dzieje w atmosferze samochodu, którym rano zawożę moich filmowych synów do szkoły, tej ciszy pomiędzy słowami. To są też kompletnie inne środki wyrazu. Ale, jak mówię, są one podyktowane i samym scenariuszem, i genialną reżyserią Maćka, i tym, w jaki sposób prowadzeni są chłopcy w tym filmie, a oni są po prostu wspaniali.

Kiedy rozmawiałyśmy rok temu, przy okazji zdjęć do tego filmu, mówiła Pani, że ta kobieta, ta postać, którą Pani gra, stoi na rozdrożu. I że nigdy nie jest za późno na dobro, na zmianę, na spotkanie z samą sobą. Gdyby miała Pani teraz, już po skończonej pracy i po premierze, opisać tę kobietę jednym zdaniem, co by Pani powiedziała?
Wydaje mi się, że powiedziałabym to samo. Znów bym się pod tym podpisała. Jeżeli, popełniając błąd, jesteśmy w stanie sami sobie wybaczyć i powiedzieć sobie: „OK, jutro jest nowy dzień, jutro mogę zrobić coś inaczej, mogę zawalczyć o siebie, o jakąś relację”, to myślę, że to jest akt dużej świadomości i dużej odwagi.

Pani bohaterka popełnia błędy, sięga po przemoc, ale potem się z tych błędów nie wycofuje, nie pudruje ich. Jak gra się kogoś, kogo widz raz rozumie, a innym razem chciałby surowo osądzić?
To się chyba po prostu nazywa skomplikowana, ciekawa postać. A to przecież całkiem dobrze (śmiech), bo przecież jako widzowie i twórcy nie lubimy postaci, które są po pierwsze, jednoznaczne, a po drugie, które bardzo szybko można zaklasyfikować, zaszufladkować. Zagranie w tym filmie było dla mnie ciekawe także dlatego, że Maciek znalazł mi tak wspaniałych filmowych synów. To była niesamowita przygoda.

Jak Pani myśli, co o tym zdecydowało? To była ta przestrzeń, klimat Żyrardowa, przychylność miasta, w którym kręciliście zdjęcia?
Pewnie warunki produkcyjne miały znaczenie, ale myślę, że gdyby nie poszukiwania Maćka, gdyby nie jego determinacja w znalezieniu odpowiednich chłopców, gdyby nie przygotowywanie ich potem przez wiele miesięcy do roli, gdyby nie to, jacy ci chłopcy są, jak bardzo są wrażliwi, jaką mają wyobraźnię, a jednocześnie jaki mają hart ducha, to nie byłoby tego efektu. Oni są ze świata sportu, więc dla nich nie było: „Ojej, jeszcze jeden dubel, to strasznie męczące”. Kolejny dubel był po prostu kolejnym zadaniem do wykonania. Oni są przyzwyczajeni do rygoru, do treningów, do dyscypliny, do tego, że przekracza się własne granice i psychiczne, i fizyczne. To naprawdę wyjątkowi młodzi ludzie.

W filmie jest też scena, która dla mnie jest wyjątkowa. Chodzi o moment, kiedy grana przez Panią bohaterka czyta list, bo nie jest w stanie wypowiedzieć na głos tego, co naprawdę czuje. Zna Pani takie momenty z życia? Takie listy, których nie umiemy powiedzieć na głos? I jak przenosi się prywatną wiedzę o bezradności na filmową scenę?
Nie mam konkretnego przełożenia na życie akurat w przypadku tej sceny, ale mogę sobie wyobrazić taki rodzaj bezradności, wstydu. Myślę, że im dłużej człowiek nie mówi prawdy, tym trudniej jest mu ją potem wypowiedzieć. Bo ona zaczyna bardzo ciążyć. Ten list jest dla mojej bohaterki jedynym sposobem, by

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. MAT.PRAS. MONOLITH

„Brat" to historia ciężko pracującej samotnej matki. Jej mąż trafił do więzienia, a ona sama została z dorastającymi synami

w ogóle była w stanie to powiedzieć. Prawdopodobnie gdyby go nie napisała, to słowa by jej uwięzły w gardle, nigdy by nie padły. Pamiętam też bardzo dobrze pierwszy dubel tej sceny. Czytam list i praktycznie nie patrzę na chłopców – tylko szybkie zerknięcia, bo nie jestem w stanie dłużej utrzymać wzroku. Pamiętam, że Maciek powiedział: „Agnieszka, może patrz na nich, mów do nich?". I ten dubel, kiedy na nich patrzę, nie wszedł. Kiedy próbowałam mówić, patrząc im w oczy, natychmiast zaczynałam płakać tak mocno, że nie byłam już w stanie wypowiadać słów. I właśnie o to chodzi: ta kartka, to patrzenie na napisane słowa, podążanie od słowa do słowa za tym, co ona napisała, co chce im wyjawić, jest jedyną metodą, żeby ona mogła to z siebie wydobyć. Bo ilekroć podnosiłam wzrok i próbowałam mówić bezpośrednio to do nich, był tylko płacz, ogromny ciężar, coś bardzo rozdzierającego, co dławi i nie pozwala tych słów wypowiedzieć.

Kiedy Pani poczuła, że między Panią a tą dwójką, filmowymi synami, naprawdę zaiskrzyło? Że nie jesteście już tylko aktorami na planie, ale tworzycie prawdziwą filmową rodzinę?
Nie chciałabym robić takich rozgraniczeń, że próbujemy coś na siłę wyprowadzać poza film, bo jednak wszyscy rozumiemy, że robimy film. Ale jeśli chodzi o chemię, to ona była od początku. Maciek tak wspaniale nam to wszystko poukładał, dał nam tyle miejsca… Razem oglądaliśmy fragmenty „Buntownika z wyboru", tę słynną scenę, w której Robin Williams mówi do Matta Damona: „To nie jest twoja wina" i powtarza to tyle razy, aż ten chłopak w końcu pęka. Chłopcy oglądali to razem z nami, choć może nie do końca rozumieli, o co reżyserowi chodzi. Ale on ich naprawdę traktował poważnie. Robił z nimi czytania, mogli się wypowiadać także o innych scenach, które są w scenariuszu, nie tylko o tych, w których grają. Wydaje mi się, że ta więź zrodziła się dosyć szybko i naturalnie. Z nimi po prostu trzeba było być. Partytura była napisana. Dla mnie bardzo ciekawe było też znalezienie się w skórze innej matki. To było naprawdę interesujące doświadczenie.

Podczas naszej rozmowy sprzed roku powiedziała Pani, że w pracy aktora nie chodzi o zakładanie masek, tylko o ich zdejmowanie. Jak było tym razem? Co Pani zdjęła z siebie w tej roli?
No właśnie, to ciekawe. Bo nagle próbujesz się dokopać do jakiejś bezradności. Do tego momentu, kiedy człowiek bardzo stara się być dzielny, sprawczy, a czasem po prostu ma dosyć. Myślę, że jest to gdzieś, pod którąś z tych masek. Wiadomo, że ja mam trochę lepsze życie niż filmowa bohaterka, jestem kimś innym, ale kiedy zaczyna się z siebie zdejmować te maski, to okazuje się, że nam wszystkim zdarzają się sytuacje, w których po prostu mamy dosyć. I naprawdę nie widzimy wyjścia. I to wcale nie muszą być skrajne sytuacje. Często trudno nam się skonfrontować z rzeczami, które są niby małe: czujemy tylko, że coś nie gra, że coś już nie pasuje, że coś jest dla nas niedobre. A wtedy bardzo trudno jest stanąć i powiedzieć: „To ja dziękuję. Ja zmieniam miejsce". Wiem, że to są bardzo trudne sytuacje. Nie potrzeba do tego jakichś wielkich tragedii, wielkich spraw. Mogą być małe, codzienne, a i tak bardzo trudno jest po prostu stanąć za sobą.

Od lat mówi Pani, że w pracy aktorskiej opiera się na intuicji i że na planie filmowym próbuje Pani porzucić wszystko, co wcześniej sobie zaplanowała. Nigdy nie zdarzyło się Pani wejść w jakąś artystyczną ślepą uliczkę?
W sensie zawodowym? Nie wiem, trudno powiedzieć. Pewnie jedne role są gorsze, jedne filmy są gorsze, a inne lepsze. Ale za taką kompletną ślepą uliczkę uważałabym sytuację, w której spotkałabym się z kimś, kto dopuszcza się jakiegoś nadużycia, albo okazałby się bardzo niefajnym, złym człowiekiem. A tak nie było. To były po prostu przygody, a my wszyscy walczyliśmy, żeby praca była zrobiona jak najlepiej. Jeśli ostateczny efekt nie okazał się „jakiś tam", to też nie jest koniec świata. To nie jest kwestia życia i śmierci. Lubię być lojalna wobec ludzi, z którymi pracowałam i pracuję. Myślę, że byłoby mi bardzo głupio usiąść i powiedzieć: „Nie, praca przy tym filmie była bez sensu, nie warto było tego robić", bo jednak, kurczę, coś razem przeszliśmy, coś razem przeżyliśmy. Więc to trudno powiedzieć. Czasem jest też tak, że doświadczenie z filmu, który nie był aż tak udany, powoduje, że potem jestem w stanie zagrać w filmie, który wyszedł świetnie. Nie jestem w stanie tego policzyć ani zmierzyć.

To co dla Pani znaczy prawdziwość w graniu? Dziś widzowie oglądają setki filmów rocznie i są bardzo wyczuleni na fałsz.
Jezu, nie wiem. Nie mnie to oceniać. Wydaje mi się, że są aktorzy, którzy sięgają po coś w rodzaju czucia. Może to jest kwestia tego, że czasami jesteśmy po prostu jakimś medium. Że trzeba zawierzyć historii, scenariuszowi, zaufać i uwierzyć reżyserowi. Dać się temu ponieść. Wydaje mi się, że w moim konkretnym przypadku ja bardzo rzadko „realizuję scenę" czy z kimś ją „odgrywam". Wiadomo, że się przygotowuję, że wiem, jakie są założenia i co bym chciała osiągnąć. Ale ja nie projektuję, grając. Ja chcę się spotkać z drugim człowiekiem. Kiedy stoję naprzeciw partnera – czy to z chłopcami, jak w tym filmie, czy z kolegą czy koleżanką - jestem ciekawa tego, co oni przynoszą. Co mają w oczach. Bardzo mi zależy na tym, żebyśmy w trakcie sceny się naprawdę spotkali. Żeby coś się między nami wydarzyło. I mam wrażenie, że jak coś naprawdę się wtedy wydarza, to jest dużo większa szansa, że widz w to po prostu uwierzy.

Jeden z krytyków filmowych napisał, że jest Pani aktorką, która rozmawia rolami, a nie glamourem. Był kiedyś w Pani życiu moment, impuls, żeby pójść w stronę większej medialności, rozpoznawalności, kosztem spokojniejszego, własnego wyboru?
Nie, bo nie widzę powodu. Dziś wiadomo: jesteśmy na premierze, trzeba było się jakoś ubrać i to, jak na mnie, już jest wystarczające „wyeksponowanie się". Nie potrzebuję robić tego bardziej. I tak przydarzyło mi się w życiu coś niesamowitego: mogę coś powiedzieć przez role, jakie gram. Z może nieśmiałego dziecka, kogoś, kto miał poczucie, że niesie w sobie coś niesłyszalnego, stałam się osobą, która może mówić do ludzi. Do wielu ludzi. Mogę mówić na głos różne zdania. Wiadomo, mówię to przez role, przez postaci, które gram, ale przecież w tym odbijam się też ja. Dla mnie to już znaczy dużo. Naprawdę dużo. Nie wiem, co jeszcze miałabym pokazywać i dlaczego. Nawet nie mam na to pomysłu.

Przywołam jeszcze raz tę naszą rozmowę sprzed roku, bo bardzo zapadło mi w pamięć, jak mówiła Pani, że nigdy nie jest za późno na dobrą, nawet radykalną życiową zmianę, także w późniejszym wieku, także, dajmy na to, po sześćdziesiątce. Czy w Pani życiu też był taki moment pod tytułem: „nie jest za późno", który coś ustawił zupełnie inaczej?
To są bardzo prywatne sprawy, o których nie chciałabym szerzej opowiadać. Natomiast na pewno uważam, że zwyciężają ludzie odważni i to w małych sprawach również. Ale jednocześnie bardzo dobrze rozumiem, jak niesłychanie trudne to bywa.

No to skąd tę odwagę brać?
Nic złego tak naprawdę nie może się wydarzyć. Nic złego nie może się stać. Jeżeli jesteśmy w sytuacji, która nam teraz nie odpowiada, to nie ma opcji, żeby było gorzej. Każda zmiana jest zmianą na lepsze. Taka jest prawda. Tylko że bardzo trudno w to uwierzyć.

Często te zmiany na lepsze widać dopiero z perspektywy czasu.
No tak, właśnie. Warto uwierzyć, że tak jest.

„Brat" jest filmem o dzieciństwie w cieniu dorosłych problemów. Kiedy Pani myśli: „Moje dzieciństwo", to jaki obraz pojawia się w Pani głowie jako pierwszy?
Wychowywałam się w klimacie, w którym dzieci głosu nie miały. A z drugiej strony wszystko, i też to, kim jestem, prawdopodobnie jednak zawdzięczam moim rodzicom. Temu, że zabierali mnie do teatru, że w domu były książki, że były wyjazdy, że podróżowaliśmy. Temu, że interesowali się, czy zrobiłam lekcje, czy nie. Mama uczyła mnie chodzić po drzewach. W młodości trenowała akrobatykę, balet, pływanie artystyczne. Do dziś pływa dużo lepiej ode mnie, w ogóle najlepiej ze wszystkich w rodzinie (śmiech). Więc dużo tego rodzaju umiejętności, również takiego bycia w ciele, zawdzięczam im, rodzicom. Pamiętam też z dzieciństwa proste obrazy: że jeszcze padał śnieg, że wychodziło się na sanki. Nie było wtedy tak dużo niesamowitych słodyczy. I pamiętam to uczucie: spada pierwszy śnieg, idziemy na sanki, dostaję mambę, i to nie całą paczkę, tylko jedną kosteczkę. I to jest coś, co bardzo lubię pamiętać. Robi mi się dobrze, jak to wspominam. To, że się jest razem. Że nie ma zbyt wiele materialnych rzeczy, ale to, co ma być, jest.

Kiedy patrzy Pani dzisiaj na swoje dzieci, zdarzyło się Pani pomyśleć: „Ta filmowa historia jest też o nas, tylko mamy inne kostiumy"?
Zawsze czegoś dzieciom nie mówimy. Zawsze musimy dokonywać jakiegoś wyboru: do jakiego stopnia je chronimy, a do jakiego pozwalamy im mieć własne przygody. Więc na pewno tak; myślę, że ten film jest o wielu rodzinach, wielu matkach, wielu ojcach. Dlatego jest taki dobry. Bo wydaje mi się, że naprawdę wielu ludzi może się w nim przejrzeć. I to w taki fajny sposób: że nie oceniamy nikogo, tylko widzimy, że jesteśmy ludźmi. Że popełniamy błędy. I że dla każdego z nas ten film będzie trochę innym obrazem.

eprasa.pl ea08fe165b

ZAWÓD: PRYWATNY DETEKTYW. TO WCIĄŻ BRZMI DUMNIE

Wszyscy wszystkich szpiegują. Dziewczyny sprawdzają chłopaków, narzeczeni narzeczone, rodzice przyszłych zięciów i synowe. Ludzie sobie nie ufają. Ale dzisiaj prywatni detektywi nie biegają już tylko po mieście z aparatem fotograficznym i dyktafonem. Specjalizują się w białym wywiadzie, pracują dla banków, wielkich firm, inwestorów

Dorota Kowalska

Krzysztof Szumlas, w zawodzie od 2011 roku. Obecnie w Wanted Polska, w firmie pracuje dziesięć osób: detektywi, analitycy, specjaliści od białego wywiadu - OSINT. To jak mówi, przedsiębiorstwo wyjątkowe w skali kraju z jednej strony - przez skalę usług, jakie oferują, z drugiej - przez możliwości, które posiadają. Niechętnie zgadza się na rozmowę, czasy detektywa Rutkowskiego już dawno minęły. Dzisiaj zasada jest prosta: Im ciszej o ich pracy, tym lepiej.

- Detektyw powinien rozpocząć realizację zlecenia i ją zakończyć, a o tym, że zlecenie było realizowane, osoba czy strona, której zlecenie dotyczyło, powinna się dowiedzieć na sali sądowej z materiału, który dostarczyliśmy, względnie w trakcie negocjacji czy podczas zwolnienia pracownika. Nie powinniśmy zostawić śladów po swojej działalności i ze względu na higienę pracy i ze względu na osobę, której dotyczy zlecenie. Nasza praca nie powinna zakłócać jej życia ani komplikować życia czy działalności zleceniodawcy - tłumaczy.

Z obyczajowych spraw, które prowadził, pamięta zlecenie dane przez pewną kobietę. Podejrzewała, że mąż ma kogoś innego, że przygotowuje się do rozwodu. To byli dosyć majętni ludzie. Jednak znaczna część majątku była efektem jego pracy zawodowej. Klientka zdecydowała się wynająć detektywa, żeby zweryfikował jej podejrzenia. Kobieta ustaliła, że mężczyzna miał przyjaciółkę znacznie od siebie młodszą. Zabrał ją na wczasy na Kubę. Na zlecenie klientki poleciał za nimi na te wakacje. Zebrał materiał, który z jednej strony potwierdził przypuszczenia klientki, z drugiej - pozwolił jej ubiegać się o orzeczenie rozwodu z wyłącznej winy męża, z trzeciej - postawił go w dość nietypowej sytuacji. Sędzia podczas przesłuchiwania Szumlasa w trakcie rozprawy rozwodowej nie mogła uwierzyć, że klientka wysłała go na Kubę. Jego wyjazd kosztował kobietę ponad piętnaście tysięcy złotych.

- To pan miał niezłe wakacje! - wtrącam.

To samo usłyszał od sędzi podczas przesłuchania, więc jej wytłumaczył: „Wysoki Sądzie, nie ma znaczenia, czy pracujemy w Koziej Wólce, czy pracujemy na Antarktydzie, czy na Kubie. Wykonujemy swoje obowiązki, realizujemy zlecenie, do którego zostaliśmy wynajęci i to, co się dzieje wokoło nie ma znaczenia. Celem naszego wyjazdu nie było wylegiwanie się na plaży. To nie były wakacje, tylko praca, gromadzenie informacji ważnych z punktu widzenia realizowanej sprawy. Pojechałem tam, tak samo jak pojechałbym do pracy w Koziej Wólce, nie ujmując niczego Koziej Wólce".

Kobieta otrzymała rozwód z orzeczeniem wyłącznej winy męża. Także dzięki materiałowi, który zgromadził, co, mówiąc szczerze, nie było trudne. Jej mąż wyjątkowo swobodnie zachowywał się na plaży, basenie i w restauracji ze swoją przyjaciółką, zresztą bardzo atrakcyjną kobietą.

Druga sprawa, która zapadła mu w pamięć, była raczej smutna. Rodzinne przedsiębiorstwo zatrudniło studentkę. Ta po zakończeniu studiów została dyrektorem do spraw handlowych. Właściciele nie mieli własnych dzieci, chcieli, żeby z czasem to ona przejęła przedsiębiorstwo. Tyle że w pewnym momencie okazało się, że z firmy zaczynają ginąć drogie, bardzo precyzyjne narzędzia i nikt nie potrafi powiedzieć, co się z nimi dzieje. Za pośrednictwem obsługującej ich kancelarii adwokackiej nawiązali kontakt z detektywem. Po miesiącu prowadzenia sprawy stwierdzili bez żadnych wątpliwości, że to pani dyrektor wynosi z firmy kosztowny sprzęt i sprzedaje go na Allegro przez konto swojej babci. Zresztą pozbywała się tych narzędzi za ułamek ceny, jakiej były warte. To była duża strata dla przedsiębiorstwa.

- Okradała swoich pracodawców i dobroczyńców zarazem. Robiła to od jakiegoś już czasu. To dla moich zleceniodawców było szokujące - mówi.

Sprawy obyczajowe są, z jednej strony, najbardziej angażujące, z drugiej - najmniej opłacalne. Stanowią jakieś czterdzieści procent spraw prowadzonych przez firmy detektywistyczne.

- Detektywi trochę babrają się w ludzkich brudach, co? - pytam.

- Bardzo często, tak - odpowiada Szumlas.

- To nie jest obciążające? Tak psychicznie po prostu.

- To jest pasjonujące.

- Co w tym pasjonującego?

- Pasjonująca jest odpowiedź na pytanie, które zadaje zleceniodawca: dlaczego coś się dzieje? I kolejne: czy może mi pan pomóc? Czy może mi pan pomóc wyjaśnić tą sytuację?

- To dla pana jak rozwiązywanie zagadki?

- To jest problem, który należy rozwiązać. W tym wszystkim jest człowiek, który potrzebuje pomocy: należy z jednej strony dojść do tego, co się wokół niego dzieje, a z drugiej: wskazać, kto to za tym stoi - odpowiada.

Dzisiaj nie prowadzi już spraw obyczajowych, ale po czasie przestał patrzeć na nie w sposób osobisty, po prostu realizował zlecenie. Chociaż dwa razy odmówił klientom.

- Raz zorientowałem się w momencie, kiedy podpisywaliśmy umowę, o co tak naprawdę klientowi chodzi i następnego dnia tę umowę wypowiedziałem. Za drugim razem, chyba po dwóch czy po trzech tygodniach okazało się, że klient chciał zaszkodzić komuś bliskiemu, a sytuacja rodzinna była bardzo szczególna. Prosiłem o spotkanie, zwróciłem zaliczkę, którą pobrałem i rozwiązaliśmy umowę. Powiedziałem wprost, że tego zlecenia realizować nie będę. To nie jest tak, że trzeba robić wszystko dla wszystkich bez względu na okoliczności. Nie trzeba - tego prawie jest pewny.

Sprawy detektywistyczne można podzielić na trzy grupy: obyczajowe i rodzinne właśnie, druga grupa to sprawy kryminalne lub z pogranicza kryminalnych, w których najczęściej przedsiębiorcy mają problem albo z pracownikiem, albo z nieuczciwą konkurencją, albo z nieuczciwym klientem. Kolejną sferą byłyby oczywiście sprawy gospodarcze.

- Uważam, że dla ludzi z naszej branży to przyszłość. Jeżeli ktoś tylko chce i potrafi trochę się w relacjach „business to business" odnaleźć, a nie zamykać się wyłącznie na relacje „business to client", to ten obszar daje o wiele większe możliwości i pracy i współpracy i rozwoju, także finansowego - tłumaczy.

Sprawy biznesowe to często współpraca z bankami, które przed udzieleniem kredytu jakiejś firmie deweloperskiej czy też związanej z importerem samochodów, maszyn, firmie handlowej, chcą mieć pewność, że klient jest rzetelny. Gra idzie przecież o grube miliony.

Weryfikują też potencjalnych kontrahentów, tak banków, jak firm, które na przykład szukają inwestora. Nagle taki inwestor się pojawia, współpraca z nim wydaje się atrakcyjna z punktu widzenia gospodarczo-finansowego, ale klient chce wiedzieć, czy to, co ów inwestor mówi o sobie, jest prawdą.

- Z naszych usług korzystają też firmy windykacyjne, które wykonują swoją działalność w oparciu o portfele dłużników zakupionych od banków. Jesteśmy właściwie kluczowym elementem wsparcia ich działalności w zakresie kontaktu z dłużnikami - przyznaje.

I tu zbliżamy się do sedna spraw: dzisiaj prywatni detektywi to nie są tylko i wyłącznie ludzie biegający po mieście z aparatem fotograficznym i dyktafonem.

To specjaliści od tak zwanego białego wywiadu, open source intelligence z angielska. Jeżeli ktoś nie korzysta z baz jawnych i takich, do których dostęp kosztuje, nie ma właściwie czego szukać w tym zawodzie. Ilość informacji znajdujących się w sieci jest ogromna. Umiejętność ich pozyskiwania - kluczowa.

- Jak się zmienił ten rynek przez ostatnie lata? - dopytuję.

- Naszą pracę reguluje ustawa o usługach detektywistycznych, która w art. 2 opisuje, czym tak naprawdę są usługi detektywistyczne, a czym nie są i czego, jako detektywi, realizować nie powinniśmy. Były trzy zdarzenia, które wpłynęły znacząco na to, co robimy - odpowiada Krzysztof Szumlas.

Pierwsze to zmiana stanu prawnego. W 2015 roku weszła w życie ustawa o deregulacji, która zmieniła zasady uzyskiwania licencji, bardzo je uprościła. Zniosła egzamin państwowy, który obowiązywał do 2015 roku. A to był trudny test, dopuszczający do tego zawodu ludzi z określoną wiedzą i kwalifikacjami. Do 2015 roku dwa razy w roku w komendach wojewódzkich były organizowane takie egzaminy, przechodził je jeden na ośmiu kandydatów. W Polsce w tym czasie pracowało około czterystu licencjonowanych detektywów. Po 2015 roku zasady się zmieniły, egzamin został zniesiony i tak mamy dzisiaj ponad cztery tysiące wydanych licencji. To, jak mówi, wpłynęło destrukcyjnie na ten rynek.

Bo dzisiaj detektywem może zostać praktycznie każdy, o ile nie jest karany, ma minimum średnie wykształcenie i posiada pozytywną opinią lekarską o swoim stanie zdrowia. Może dlatego w sądach spraw przeciwko ludziom z ich branży jest mnóstwo - klienci dowodzą albo zwrotu pieniędzy, albo skarżą się o niewłaściwe wykonanie zlecenia.

- Wiem z doświadczenia, że ludzie, którzy wykonują ten zawód w tej chwili, bardzo często robią to niesumiennie, nierzetelnie, zbyt wiele obiecując klientowi, bez właściwej oceny tak sprawy, jak i swoich możliwości w zakresie jej rozwiązania - mówi Szumlas.

Pieniądze? Stawki są bardzo różne, zależą od charakteru zlecenia. To może być 2 tysiące złotych za wykonanie jednorazowej obserwacji zakończonej sprawozdaniem, jakimś materiałem audio video czy materiałem fotograficznym. Są też zlecenia na 20, 30, 50 tysięcy złotych związane najczęściej z biznesem.

Kolejna sprawa, która zmieniła ich zawód to wejście w życie przepisów o ochronie danych osobowych osób fizycznych, czyli RODO. W 2018 roku wprowadzono w życie ogólne rozporządzenie o ochronie danych osobowych, w efekcie czego znowelizowano również „ich" ustawę.

- Wszystko, co robimy, jest przetwarzaniem danych osobowych osób fizycznych. Te dane są chronione. Musimy podporządkować się pod rygory, które nakłada na nas RODO. Nie potrzebujemy zgody osób, których dane, na podstawie zawartej umowy, przetwarzamy, ale ciążą na nas, jako na podmiotach przetwarzających, czyli tzw. procesorach, określone obowiązki, tak względem klienta - administratora danych, jak i w związku z samymi danymi - tłumaczy.

To ostatnie często generuje konieczność zawarcia z klientem dodatkowej umowy, tzw. Umowy Powierzenia Przetwarzania Danych Osobowych. Bo dane osobowe to nie tylko imię, nazwisko i nr PESEL. Dane osobowe to też wizerunek, zarejestrowany na nagraniu czy na zdjęciach, to głos, to adres e-mail, nr telefonu. To też recepta z zapisanymi lekami (szczególne kategorie danych osobowych), informacje o pobycie osoby w więzieniu, wyroku skazującym i czasie odbywania kary (osobna kategoria danych osobowych). Trzecią sprawą, która zmieniła rynek była pandemia. Zrobiła w ich branży dużo złego. Wielu ludzi opierało się w swojej działalności tylko i wyłącznie na sprawach obyczajowych, sprawach rodzinnych. Te dwa lata zredukowały tego typu zlecenia o 90 procent i jeżeli ktoś bazował tylko i wyłącznie na nich, nie miał szans przetrwać na rynku.

- Lubi pan swoją pracę? - dopytuję.

eprasa.pl ea08fe165b

FOT. 123 RF

Dzisiejsi detektywi oczywiście nie noszą kapeluszy i nie włamują się do biur, by przejrzeć dokumenty. Ich praca to raczej dedukcja, praca z nowoczesnymi gadżetami oraz zbieranie faktów

- Gdybym nie lubił, odszedłbym z tego biznesu - tak odpowiada.

Ale wrócimy trochę do korzeni. Lata 90. i potem początek XXI wieku, to był czas, kiedy w Polsce pojawili się pierwsi detektywi. Świat mocno się zmieniał. Wszyscy szpiegowali wszystkich. Dziewczyny sprawdzały chłopaków, narzeczeni narzeczone, rodzice przyszłych zięciów i synowe. Ludzie sobie nie ufali. A detektyw to taki ksiądz. Ludzie bez większych oporów przyznają mu się do damsko-męskich niepowodzeń. Bez żenady opowiadają o łóżkowych porażkach, awanturach, podejrzeniach. A potem bez skrupułów każą śledzić - współmałżonka, kochanka, partnera.

Wtedy, to trzydzieści lat temu, detektyw - to brzmiało dumnie. Ponad trzy miliony Polaków nałogowo oglądało „Detektywów", w których gliniarze z „W-11" - Maciej Friedek i Marzena Fliegel - założyli biuro detektywistyczne, łapali złodziei, uwalniali porwanych, śledzili małżonków. A jak komuś „Detektywów" było mało, mógł się jeszcze pogapić na „Detektywa", czyli Krzysztofa Rutkowskiego.

Rutkowski zawsze chciał błyszczeć. Absolwent sochaczewskiego liceum ogólnokształcącego, jak zawsze był człowiekiem o wielkich ambicjach i wyobraźni. Karierę zaczynał w Milicji Obywatelskiej i warszawskim oddziale ZOMO. Ale w wolnej Polsce postawił na działalność gospodarczą. Założył firmę detektywistyczną i wziął się za odzyskiwanie skradzionych samochodów. Potem przerzucił się na porwania, ponoć dlatego, że zagraniczne towarzystwa ubezpieczeniowe nie chciały z nim współpracować. Rutkowski od samego początku wiedział, co znaczy dobry PR i doszedł do perfekcji w promocji samego siebie. Kiedy w 2001 roku przejmował siłą od najemców w całym kraju stacje benzynowe należące do koncernu Aral, zawsze dbał o odpowiednią oprawę akcji. Jego ludzie wpadali na stacje uzbrojeni niczym brygada antyterrorystyczna: kamizelki kuloodporne, kominiarki, wyważali drzwi, wybijali szyby i pewnie, gdyby nie kamery, rzucaliby na ziemie oniemiałych pracowników stacji. Bo dziennikarze nie odstępowali Rutkowskiego na krok i każdą z tych akcji filmowali. Skąd wiedzieli o planowanym „wejściu" detektywa? Rutkowski sam dawał zaprzyjaźnionym dziennikarzom cynk.

Potrafił działać z rozmachem i umiał korzystać ze starych znajomości. Od początku to policjanci byli jego głównymi informatorami i pomocnikami. Zawsze kupował gotowe informacje i ukazywał je jako własne sukcesy. Nie można odmówić mu pomysłowości. Bo kiedy już nie miał się czym pochwalić, w prasie pojawiały się nagle super newsy, że oto najsłynniejszy polski detektyw wyjeżdża łapać snajpera do Stanów Zjednoczonych albo Husajna do Iraku.

Tyle że miał też coraz więcej wrogów. Rzucał oskarżeniami na prawo i lewo, słał do komendy policji donosy na swoich byłych kolegów, często działał na granicy prawa. Znany był także, jako „20 tysięcy plus wat", bo tyle żądał od swoich klientów, obiecując pomoc w odbiciu porwanego i taka przylgnęła do niego ksywa.

Zawsze pojawiał się tam, gdzie kamery. Może stąd, kiedy cała Polska szukała małej Madzi w Sosnowcu, był na miejscu i wydobył z Katarzyny W., matki dziewczynki, przyznanie się do winy. Upuściła córkę, potem zakopała w zamarzniętej ziemi. Badał zaginięcie Iwony Wieczorek, potem Ewy Tylman - głośne, medialne sprawy.

Uzależniony od blasku fleszy poszedł do polityki, a konkretnie do Samoobrony. Złośliwi dodają, że z jeszcze jednego powodu: stał się nietykalny, bo chronił go przecież immunitet poselski.

Nie zagrzał na Wiejskiej zbyt długo miejsca. Nie dostał przepustki do Parlamentu Europejskiego w 2004, rok później bezskutecznie startował do Sejmu z listy Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Za to coraz częściej meldował się w prokuratorze, został zatrzymany przez funkcjonariuszy ABW, potem tymczasowo aresztowany w związku z podejrzeniem o pranie brudnych pieniędzy i poświadczanie nieprawdy. Koniec końców, w 2010 roku Rutkowski stracił licencję detektywa, dwukrotnie został prawomocnie skazany. Dzisiaj znany jest głównie z nieoczywistych fryzur. Robi za celebrytę.

Michał Rapacki trzyma się z dala od mediów, na rynku od 2005 roku. Prowadzi firmę detektywistyczną, ale i doradczą. „Obyczajówką" się właściwie nie zajmuje, chyba że ktoś przyjdzie, poprosi. Jedną z takich spraw, bardziej kryminalną zresztą niż obyczajową, pamięta doskonale. Chodzi o głośną już historię Adama Dudały. W 2001 roku Dudała otrzymał wezwanie na jeden z warszawskich komisariatów. Stawił się tam następnego dnia, myślał, że chodzi o jakąś drobnostkę albo pomyłkę. Został oskarżony o zabójstwo dwóch osób. Nie wierzył w to, co się dzieje. Był pewien, że sytuacja zaraz się wyjaśni. Od tamtego dnia już nie wyszedł na wolność. Dudałę obciążył podlaski bandyta Sławomir R. ps. Woźny, który sam był zamieszany w morderstwo. Kiedy poszedł na współpracę i zaczął sypać kolegów, opowiedział śledczym o niejakim „Adamie z Warszawy", który miał odpowiadać za egzekucje właściciela i ochroniarza z dwóch różnych agencji towarzyskich. Sam Dudała w latach 90. działał w warszawskim półświatku, miał być powiązany z gangiem pruszkowskim. Odsiedział pół roku za wymuszenia i rozboje. Po rozbiciu mafii w 2001 roku rozpoczął nowe życie, założył klub bilardowy na warszawskiej Woli. Mimo jego przeszłości, ludzie z jego otoczenia nie wierzyli, że Dudała mógłby kogoś zabić. Innego zdania był prokurator i sąd - Dudała trafił na 25 lat do więzienia.

- O pomoc poprosiła mnie była żona Adama Dudały. Jestem pewien jego niewinności - podkreśla Rapacki. I dodaje, że to historia, której nie zapomni. Ma świadomość, że w więzieniu siedzi niewinny człowiek.

Na co dzień zajmuje się jednak sprawami gospodarczym. W pewien sposób, jak mówi, wyręczają policję. Od kiedy pamięta, przestępczość gospodarcza była w Polsce traktowana przez organa ścigania po macoszemu.

- Policjanci, prokuratorzy, ale i sądy nie rozumieją przestępczości gospodarczej. Karalność za przestępstwa gospodarcze zawsze była niska, tymczasem ona przynosi sprawcom bardzo duże profity. Bardzo łatwo jest przekroczyć granicę między legalnością działania w obrocie gospodarczym między dwoma czy kilkoma podmiotami, a chociażby wprowadzeniem w błąd kontrahenta w celu dokonania oszustwa - tłumaczy Michał Rapacki.

I dodaje, że śledczy najchętniej umarzają sprawy gospodarcze, licząc na to, że pokrzywdzeni nie będą korzystali ze swoich praw, nie będą zaskarżać ich decyzji, a swoich racji będą dochodzić na drodze cywilnej.

- Jeżeli jest oczywiste, że ktoś naruszył prawo, staramy się gromadzić dowody, wykonywać analizy kryminalne, tak żeby to przestępstwo wyjaśnić organom ścigania. Wtedy te mogą podjąć stosowne czynności procesowe - mówi.

Ograniczają go przepisy prawa, bo ich łamać nie wolno. Natomiast jeśli chodzi o mobilność, o rozpoznanie, pracę w terenie, pracę na dokumentach, nie ma takich ograniczeń jakie mają chociażby policjanci, dla których praca poza granicami Polski czy na terenie innych województw to trwająca tygodniami wymiana korespondencji, w czasie, gdy przestępcy zacierają ślady lub uciekają. Policja nie korzysta także z dostępnych komercyjnych narzędzi analitycznych, bez których często dochodzenie do prawdy jest utrudnione lub wręcz niemożliwe. Detektywa gospodarczego ograniczają poza oczywistymi przepisami prawa, wyłącznie chęci i budżet klienta. Nie bawi się w telefonogramy, w przesłuchania na odległość - wykonuje wszystkie czynności, które powinni wykonywać śledczy, żeby dowody zebrać i uprawdopodobnić przestępstwo.

- Nasi klienci często traktowani są nie jak pokrzywdzeni przedsiębiorcy, a jak krwiopijcy, którzy powinni się znać, wszystko wiedzieć, potrafić, nie dać się oszukać - wzrusza ramionami.

- Kto najczęściej jest pana zleceniodawcą? - pytam

- Duże przedsiębiorstwa, spółki giełdowe, spółki prawa handlowego, czasami mniejsi przedsiębiorcy - odpowiada.

Rapacki prowadzi nie tylko działania zaradcze, czy też naprawcze związane z jakimś pokrzywdzeniem klienta. Skupia się również na prewencji, choćby na wywiadzie gospodarczym, coraz częściej wymaganym przez międzynarodowe przepisy.

- Krótko mówiąc, staramy się ocenić ryzyko nawiązania współpracy z taką, a nie inną firmą - tłumaczy.

- Czyli taka praca zza biurka? - dopytuję.

- Nie, nie, absolutnie nie! Od dawna wychodzimy poza biały wywiad. On jest podstawą do tego, żeby wyjść w teren, ale pewnych rzeczy nie da się zrobić zza biurka, więc pracujemy z osobowymi źródłami informacji, skupiamy się na rozpoznaniu, na wywiadzie środowiskowym, na wywiadzie operacyjnym, wykonujemy całą masę czynności w terenie - mówi.

Stawki? Bardzo różne, ale duże, pracochłonne zlecenie, to spore pieniądze.

Dzisiaj niewiele się zmieniło: wszyscy szpiegują wszystkich. Dziewczyny sprawdzają chłopaków, narzeczeni narzeczone, rodzice przyszłych zięciów i synowe. Zawód: prywatny detektyw - wciąż brzmi dumnie. Tyle że dzisiaj to już często zupełnie inna robota.

eprasa.pl ea08fe165b

NIE UCIERPIAŁ ŻADEN SERNIK. JOANNA MATYJEK I JEJ PIĘKNE ZDJĘCIA JEDZENIA

– W fotografii jedzenia światło jest wszystkim – mówi food stylistka i fotografka Joanna Matyjek, autorka bloga „Odczaruj Gary" i książek kulinarnych. Nie marnuje jedzenia, a największym wzruszeniem był dzień, gdy jej zdjęcie ptysia trafiło na billboard

Anita Czupryn

Jak pamięta Pani ten moment, kiedy stwierdziła, że obiektyw będzie Pani narzędziem pracy?
Akurat dobrze to pamiętam, bo tak się składa, że właśnie mija, jeśli dobrze liczę, 13. rok mojego kulinarnego bloga, od którego wszystko się zaczęło. Czuję się czasem przez to trochę jak dinozaur, bo dziś wszyscy kręcą rolki na Instagramie, a ja wciąż prowadzę swojego bloga. Wzięło się to z prawdziwej pasji do gotowania. Kucharką była moja babcia Jadzia; zmarła niedawno, w wieku 96 lat, wspaniale gotowała. Moja mama też kocha gotować, a ja po prostu też uwielbiam to robić. Z tej miłości powstał blog „Odczaruj Gary". A wiadomo, na bloga wrzuca się przepisy, ale warto też wrzucać piękne zdjęcia. I tak obiektyw zaczął coraz mocniej wchodzić mi w życie.

Od dziecka Pani fotografowała, czy musiała się tego nauczyć?
Mam takie czarno-białe zdjęcie taty: jako młody chłopak stoi z aparatem przy oku. Robił zdjęcia amatorsko, nie zawodowo. Pracował w Stoczni Szczecińskiej, mama jest pielęgniarką. Ja skończyłam Zachodniopomorską Szkołę Biznesu, kierunek media i komunikowanie. Praca „normalna", w administracji, z handlowcami; potem miałam swoje biuro, pracowałam też w agencji reklamowej. Ale zawsze było tak, że mnie nosiło. Miałam zespół niespokojnych nóg, strasznie nimi wierciłam pod biurkiem. Kiedy w pewnym momencie zaczęłam gotować i robić zdjęcia temu, co gotuję, uznałam, że nie są takie, jakbym chciała. A że jestem uparta, natychmiast zapisałam się na pierwszy kurs fotografii jedzenia. Trafiłam do Kingi, blogerki z bloga Green Morning. Pamiętam jak dziś, był grudzień, przed świętami. Napisała mi, że pierwsze wolne terminy ma dopiero w lutym. Odpisałam jej, że nie ma takiej opcji, że muszę być u niej w ciągu tygodnia. (śmiech) Byłam tak uparta, że się zgodziła. Spędziłam u niej pięć godzin. I przysięgam: to był dzień, w którym zaczęłam robić inne zdjęcia. Po prostu brakowało mi kogoś, kto podzieli się wiedzą. Kinga powiedziała mi wtedy, że w Polsce nie ma kultury dzielenia się wiedzą. Że ona sama sprowadziła blogerkę z Finlandii, zapłaciła jej, żeby ta pokazała jej, jak fotografować jedzenie. I że czuła taką wdzięczność, iż postanowiła dalej tę wiedzę przekazywać. Powiedziała też inną ważną rzecz: każdy z nas widzi jedzenie i świat inaczej. Nie ma takiego ryzyka, nawet jeśli komuś powiem, jak robić zdjęcia, że zrobi on takie samo zdjęcie, jak ja. Po kursie u Kingi pojechałam do Leroy Merlin, kupiłam dwie płyty pilśniowe, pomalowałam je na biało i zrobiłam swój pierwszy plan zdjęciowy. Wiedziałam już, jak ustawić aparat. A potem zapisałam się do Akademii Fotografii. I muszę pani powiedzieć, że teraz też chodzę do tej samej Akademii. Pytali, czy zapisuję się jako wykładowczyni - odpowiedziałam, że nie, ja wciąż przychodzę się uczyć. Brakuje mi kontaktu z innymi fotografami, chcę podpatrywać, jak pracują, i co mogę zmienić u siebie. Cały czas jestem chłonna wiedzy. Lubię się uczyć.

Kim się Pani dziś czuje: kucharką, fotografką, stylistką jedzenia, opowiadaczką historii, pisarką?
Sama się czasem nad tym zastanawiam. To chyba zależy od dnia, może od hormonów, może od poziomu zmęczenia. (śmiech) Nad życie kocham gotować. Nawet teraz weszłam do domu z torbą zakupów, z jedzeniem, które przygotowałam wcześniej z koleżanką w studiu. Mogłabym karmić ludzi bez przerwy, nawet nie siadając przy stole, tylko cały czas donosząc jedzenie. Ale też uwielbiam fotografować, rozstawiać plan. Wiem, jak chcę sfotografować jedzenie: czy użyć lampy ze światłem stałym, czy z błyskiem. Jaram się talerzami, widelcami, produktami. Kręcą mnę talerze, sezonowe warzywa, owoce, produkty do zdjęć. Lubię to wszystko łączyć: gotowanie, stylizację, fotografię. Szczerze powiem, że gdyby prowadzenie działalności w Polsce nie było takim

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

trudnym biznesem, miałabym pewnie jakąś małą restaurację i karmiłabym wszystkich dookoła. Czytam dużo książek kucharskich, inspiruję się przepisami i dzień w dzień coś gotuję.

Jakimi przepisami się Pani inspiruje? Ma Pani swoich kulinarnych guru z internetu?
Dużo wymyślam sama. Moja mama też ciągle coś gotuje, więc razem modyfikujemy mnóstwo przepisów. Bardzo lubię proste, szybkie dania, a tutaj klasykiem jest Jamie Oliver czy Ottolenghi. Lubię książki, które przywiozłam sobie ze Stanów czy z Wietnamu. W ubiegłym roku znów przywiozłam ich cały stos, przeczytałam je wszystkie i zaznaczyłam przepisy, które albo zrobię dokładnie według książki, albo przerobię po swojemu. Nie lubię skomplikowanych, długich receptur, które wymagają zakupów w kilku sklepach naraz. Mam swoje żelazne klasyki, do których wracam. Uwielbiam kuchnię azjatycką i wszelkie makarony. W domu mam sportowca, który potrzebuje jeść dużo węglowodanów i białka, makarony robimy więc na wszystkie sposoby. Martwi mnie tylko to, że w domu nie mam już czasu na zdjęcia: może dlatego, że szybko robi się ciemno, a ja w studiu jestem od rana do nocy. Tam fotografuję dla klientów ciastka, diety pudełkowe i różne inne pyszności.

Jak się fotografuje jedzenie? Jakie są kulisy, sekrety, a może czasem kłamstewka? Sama słyszałam, że w reklamie kawy nie ma w filiżance kawy, tylko coca-cola albo sos sojowy, a ten dymek to wcale nie para, tylko dym z papierosa. Albo że lody to w istocie puree ziemniaczane. Jak to wygląda u Pani? Używa Pani trików czy stawia na prawdziwe jedzenie?
Wszystko zależy od tego, co jest do zrobienia. W fotografii blogowej, kiedy pisze się przepisy, nie trzeba używać żadnych sztuczek. Po prostu: przygotowuję przepis, robię stylizację, zrobienie zdjęcia trwa kilkanaście minut, wiem, jak to ma wyglądać. Kiedy wykonuję zdjęcia dla klientów do social mediów, też raczej nie korzystamy z farb czy jakichś dziwnych substancji. Na przykład kiedy fotografujemy ciastka Deseo do sklepu internetowego czy social mediów, to są prawdziwe ciastka, które przyjeżdżają z cukierni. Czasem są niedoskonałe, ale zależy nam, żeby pokazać, jak naprawdę wygląda produkt. Uwielbiam taką pracę, bo nie mam poczucia, że kogoś oszukujemy. Mam też wśród klientów restaurację z kebabami, więc fotografuję prawdziwego kebaba. Tyle że na przykład mięso jest czasami pospinane szpilkami, żeby dobrze się trzymało, a sałata bywa podrasowana wodą, olejem, czasem farbkami. To już jest fotografia reklamowa: zrobienie jednego zdjęcia potrafi trwać trzy, cztery godziny. Chodzi o to, żeby to wszystko nam nie umarło, żeby mięso wyglądało świeżo i było dokładnie w tym miejscu, w którym powinno. Zdjęcia reklamowe są bardzo trudne, wyczerpujące fizycznie i psychicznie. To naprawdę ciężka dziedzina. Lubię ją, ale raz na jakiś czas, bo potem przez cały tydzień dochodzę do siebie po takiej sesji. Najbardziej na świecie lubię fotografowanie przepisów na bloga czy przygotowywanie książek kulinarnych, bo to wszystko jest ugotowane do zjedzenia. Jestem w stanie zrobić i sfotografować dwadzieścia przepisów dziennie. To jest naprawdę fajna robota. Mój nowy klient, Foodify, robi inteligentny, domowy catering i widzę, że kucharze gotują dokładnie to, co klient dostaje potem w pudełku. Ja dostaję to samo danie na talerzu, robię zdjęcie w kilka minut. Nie

eprasa.pl ea08fe165b

ma żadnej ściemy – wszystko jest bardzo szczere wobec klienta i odbiorcy, i to mi się ogromnie podoba. Bardzo lubię też sezonowo fotografować warzywa i owoce. Idę na targ, widzę czerwoną kapustę i mam wrażenie, że ona się do mnie uśmiecha. To już chyba jakiś rodzaj choroby. (śmiech)

Teraz jest wielka moda na fotografowanie jedzenia. Fotografuje każdy: w restauracji często najpierw robimy zdjęcie i wysyłamy na social media, dopiero potem jemy.
Jest taki trend. Zauważyłam, że im bardziej ktoś kocha jedzenie, szanuje produkt, wie, z czego to jest zrobione, tym lepsze zrobi zdjęcie. Jeśli ktoś fotografuje śluby czy modelki i w ogóle nie ma nic wspólnego z kuchnią, od razu widzę, że nie zrobi naprawdę dobrego zdjęcia jedzenia. Ja się nie pcham w modę ani w śluby, bo tego tak nie czuję. Za to wiem, że zdjęcie jedzenia potrafię zrobić najlepiej jak się da, bo ja po prostu fizycznie czuję każdy okruszek na talerzu. Wiem, z której strony pokazać stek, żeby dobrze wyglądał, jak ułożyć puree, żeby światło idealnie się na nim odbiło. Po prostu tym żyję.

Ma Pani swoje własne triki fotograficzno-stylistyczne, dzięki którym zwykłe danie wygląda jak z okładki książki?
Po tych kilkunastu latach wiem, że światło jest wszystkim. I to powtarzam na każdych warsztatach: to światło sprawia, że i człowiek, i jedzenie wyglądają lepiej. Jeśli wiemy, w jakim świetle postawić talerz, połowa sukcesu jest za nami. Mam swoje ulubione miejsce w domu, w kuchni, przy dużym oknie. Światło wpada tam na blat w określony sposób i ja dokładnie wiem, że jeśli robię kurczaka w sosie kokosowym jesienią, to muszę go ugotować i sfotografować o konkretnej godzinie. Latem o innej. To może być zwykła pomidorowa, parujący krupnik, który mama zamyka mi w słoikach jak prawdziwemu słowikowi; wszystko zależy od światła. Zimą i jesienią zdjęcia będą chłodniejsze, wiosną i latem po południu stają się złote, ciepłe, pełne życia. To w fotografii lubię najbardziej: światło, a niekoniecznie idealne danie. A jeśli chodzi o ułożenie na talerzu, mam oczywiście swoje małe patenty.

Fotografuje Pani tylko to, co sama by zjadła? Czy są rzeczy, których Pani nie tknie, bo wymagałoby to za dużego fałszu w pracy?
Fotografuję wszystko: i wątróbkę, za którą nie przepadam, i pewnie flaki, gdyby było trzeba. (śmiech) Nie wszystko jem, co fotografuję, ale serce oddaję każdej sesji. W domu, kiedy gotuję, to jest inna historia. Działam w trybie: „Podziel się z czytelnikami fajnym przepisem". Na blogu nie ma przepisu, do którego nie byłabym przekonana. Każdy jest przetestowany. W moich książkach nie ma ani jednego przepisu, którego bym sama nie ugotowała i nie spróbowała. To jest dla mnie bardzo ważne: to ma być szczere. Wiem, że różnie bywa z książkami kulinarnymi: sama często gotuję z cudzych przepisów i dania po prostu nie wychodzą. W przypadku moich trzech książek mogę spokojnie powiedzieć, że tam wszystko jest z serca i superuczciwe. Tak samo z polecaniem miejsc: nie polecam tych, których nie lubię. I odwrotnie: jeśli mówię, że coś jest świetne, to naprawdę tak uważam.

Często, oglądając znanych kucharzy, widzimy, jak obierają cebulę czy czosnek, tak że połowa ląduje w koszu. Podobnie jak gotowe, zrobione już danie. Jak to wygląda u Pani? Czy na sesjach coś z jedzenia jednak się marnuje?
Nienawidzę wyrzucać jedzenia. Czasem po prostu nie ma wyjścia – jeśli jedzenie stoi kilka godzin na planie, mięso jest całe pospinane szpilkami czy innymi akcesoriami do stylizacji, to nie można tego nikomu dać do zjedzenia. Wtedy wyrzucamy. Taka specyfika pracy. Natomiast przy sesjach z przepisami dla klientów naprawdę pilnuję, żeby jak najmniej się marnowało. Pakuję jedzenie w pudełka, zabieram do domu albo rozdaję. Serio, może pani wpaść do mojego studia i popytać sąsiadów – oni dobrze wiedzą, że często przynoszę im resztki z planu (śmiech). Część mrożę. Jeżeli mam jakiekolwiek wątpliwości, czy coś jest świeże, wtedy bez dyskusji wyrzucam, bo bezpieczeństwo jest ważniejsze. Gdy zostają czasem pokrojone marchewki, to trzymam je w lodówce – przydadzą się na kolejną sesję. Fotografia kulinarna i gotowanie pod zdjęcia to jest zupełnie inny świat niż zwykłe domowe gotowanie. Fotografuję też dania w restauracjach i kiedy widzę, jak tam pracują szefowie kuchni, mam ogromną ochotę zapisać się do nich choćby na półroczny staż. To jest czysta przyjemność patrzeć, jak oni gotują: bez marnowania, wszystko poukładane, wykorzystane do końca. Mogłabym o tym opowiadać godzinami. Bardzo mnie to fascynuje.

Nawiążę do jednej z Pani książek, „Samej słodyczy". Opowiadała Pani, że w studiu szły w ruch setki jajek, kilogramy masła i cukru, piekarniki chodziły pełną parą. Jak się organizuje taką wielodniową, intensywną sesję, żeby nie utonąć w chaosie?
Można utonąć. (śmiech) Dokładnie pamiętam, jak powstawała ta książka. Najpierw był plan. Książka podzielona została na rozdziały: bezy, ptysie, serniki. Trzeba było rozpisać każdy dzień. Wiadomo, że ciasto piecze się mniej więcej godzinę, ale bezę nawet trzy. Razem z moją wspaniałą koleżanką Martą Mankiewicz, świetną kucharką i cukierniczką, planowałyśmy: jeden dzień to zakupy i rozłożenie wszystkiego w studiu. Drugi dzień: wypieki, czyli ptysie, eklerki, serniki. Trzeci dzień: sesja zdjęciowa. Potem to wszystko było mrożone albo rozdawane i naprawdę żaden sernik nie ucierpiał, nic się nie zmarnowało. Ale było to gigantyczne wyzwanie. Praca w studiu jest fizycznie bardzo wymagająca. Przez cały dzień jestem na nogach z ciężkim aparatem w ręku, przestawiam światło, noszę talerze, dekoracje. A potem jeszcze sprzątanie, ogarnianie studia, mycie podłóg… Kocham to miejsce: jest bardzo ciepłe, domowe, a jeszcze teraz mamy tam klimat świąteczny, ale bywam potwornie zmęczona. Bo praca fotografa kulinarnego to nie jest tylko „pstrykanie serniczków". To ogrom pracy przed, w trakcie i po. Kiedy wracam do domu, to odpalam komputer i zaczyna się obróbka zdjęć. Bez pracoholizmu naprawdę by się to nie udało.

FOT. JOANNA MATYJEK

FOT. JOANNA MATYJEK

Jakie są trendy w fotografii kulinarnej? Które Panią bawią, a które irytują: obowiązkowy „artystyczny bałagan" na stole? Listki posypane na każdym daniu…
– …albo prześwietlone zdjęcia, jakby robione analogiem z lampą błyskową. (śmiech) Ja chyba jestem dinozaurem, albo po prostu uczono mnie inaczej. Miałam wielu nauczycieli fotografii stricte kulinarnej i innej, i zawsze słyszałam, że trzeba niwelować cienie, panować nad światłem, pilnować, żeby zdjęcie jedzenia było dobrze doświetlone, ostre, apetyczne. Bo co my chcemy pokazać? Jeśli na talerzu jest piękne danie, to nie chodzi o to, żeby ostry był jeden listek, tylko żeby cały talerz był czytelny. Tak widzę fotografię jedzenia: chcę wiedzieć, na jakie danie idę do restauracji, chcę rozumieć, co widzę w książce. Na zdjęciu interesuje mnie porządek i elegancja. Nie lubię brudnych talerzy, bylejakości. Oczywiście, artystyczny nieład też może być elegancki, ale trzeba nad nim panować. Mam wrażenie, że dziś ludzie żyją tak szybko, że wmawia się nam, iż w trendach jest bałagan, prześwietlenia, kilometrowe cienie. Jasne, ja też robię zdjęcia z cieniem i wiem, że to modne, ale dla mnie talerz ma pozostać talerzem z jedzeniem. Ktoś to ugotował, ktoś zrobił zakupy, włożył w to czas – uszanujmy to. Niech jedzenie będzie na zdjęciu pięknym jedzeniem. Światło – znów wracamy do światła – jest wszystkim. Muszę być przygotowana: mieć lampę błyskową albo światło stałe, albo wiedzieć, że będzie świetna pogoda i wykorzystam światło dzienne. Chodzi o profesjonalizm i świadomość tego, co się robi. Czasem myślę, że te wszystkie trendy biorą się z niewiedzy. Z tego, że ludziom nie chce się szkolić albo uczą się wyłącznie z YouTube'a czy Instagrama. I potem mamy mnóstwo zdjęć, które są po prostu średniej jakości.

Jak sfotografować świąteczny stół po polsku: pierogi, barszcz, rybę po grecku, karpia? To trudne zadanie?
Jest trudne, bo te dania… są trudne. (śmiech) Im bardziej zwykłe, mało dynamiczne, przykryte sosem, tym trudniej. Weźmy taką rybę po grecku: przykryta marchewką w pomidorach, niby nic się nie dzieje. I tu trzeba się zatrzymać i zadać sobie pytanie, o co w tym daniu chodzi. Przecież to jest ryba, więc warto pokazać piękny, biały kawałek mięsa. Można ją przekroić, odsłonić strukturę, pozwolić, żeby ta marchew z cebulą, pietruszką i sosem pomidorowym zagrała razem z nią. Ale w święta gra nie tylko samo danie, gra cała oprawa: zastawa, sztućce, obrus, szkło, świeczki. Mam fioła na punkcie talerzy, sztućców, obrusów, lampek, bombek. Moim zdaniem klimat świąteczny robią właśnie te wszystkie gadżety: bordowa kokarda, lampki, które migocą w tle, mały bałwanek, renifer. Najbardziej udało mi się ten klimat złapać chyba przy sesjach świątecznych dla Deseo: dziewczyny dają mi tam totalnie wolną rękę. Rozsypuję sztuczny śnieg, w ten śnieg wbijam choinki, między nimi wyrasta bombka… Kocham taką zabawę. Pierwszą świąteczną sesję robiłam już w sierpniu – wszystko było w śniegu (śmiech). Jeśli chcemy piękne świąteczne zdjęcia wigilijnego stołu, polecam kadr z góry. Stół z tej perspektywy wygląda naprawdę świetnie: talerze, serwetki, półmiski, świece, drobiazgi. Nawet w najprostszych, tanich sklepach, od Pepco po sieciówki z dekoracjami, można znaleźć rzeczy, które zrobią magię na stole. Przy pierogach czy rybie po grecku zagrałabym właśnie gadżetami, oprawą. Wczoraj wrzuciłam na Instagram rolkę mojej koleżanki, Karein, która opowiadała, jak podać pierogi na święta. Mówiła o paterach, świątecznych talerzach, półmiskach w kształcie pierogów. To było dla mnie bardzo inspirujące, bo ja w pracy dokładnie tego właśnie szukam: połączenia designu stołu – czyli talerzy, serwetek, szkła – z jedzeniem. I bardzo lubię tą oprawą grać.

Co roku zastrzegam się, że dużo na święta nie będziemy gotować, ale potem: „A, dorobię jeszcze pierogów, bo wujek Kazik przyjedzie z rodziną". I w rezultacie po świętach w polskich domach zostają góry jedzenia. Jak połączyć pięknie nakryty stół z odpowiedzialnym podejściem do niemarnowania? Jakie są Pani sposoby?
Mam wrażenie, że pokolenie naszych mam i babć jest już nie do uratowania ani do zreformowania. One zawsze będą gotowały za dużo. Mają w sobie misję nakarmienia wszystkich, a potem jeszcze zapakowania pojemników i słoików na wynos. Zawsze wracam z bagażnikiem pełnym jedzenia od rodziców. I sprytnie to rozwiązuję: mrożę. Kiedy miesiąc później mam ochotę na pierogi mamy, po prostu wyjmuję je z zamrażarki. Moi rodzice mieszkają 500 kilometrów od Warszawy, więc to jest dla mnie taki smak domu. W studiu mam wielką zamrażarkę i jestem fanką mrożenia. Naprawdę polecam mrożenie – to jedno z najlepszych narzędzi niemarnowania jedzenia. Druga rzecz to jadłodzielnie, czyli społeczne lodówki na osiedlach. Można tam zanieść świąteczne jedzenie i ktoś inny je po prostu zje. Sama bardzo chętnie dzielę się jedzeniem. Nie miałabym serca wyrzucić pierogów od mamy, prędzej by mi serce pękło. Mam poczucie, że nasze pokolenie i pokolenie naszych dzieci będą gotowały inaczej. Już teraz często kupujemy gotowe śledzie czy rybę po grecku – dokładnie tyle, ile zjemy. Jedzenie jest drogie, więc myślimy o tym, co i ile kupujemy. Z czasem, kiedy to my będziemy robić święta u siebie, te stoły będą piękne, ale bardziej odpowiedzialne.

Co jest Pani największym sukcesem?
Kiedyś zrobiłam zdjęcie ptysia kokosowego w przekroju dla Deseo - ze środka wylewała się pralina. Łukasz Smoliński z Deseo powiedział wtedy, że to zdjęcie pójdzie na billboard. Stanęło przy wjeździe do centrum, przy nocnym markecie. Przysięgam: stałam pod tym billboardem i miałam łzy w oczach. Byłam wzruszona. To było coś, co wydawało mi się wcześniej kompletnie nieosiągalne. Podobnie miałam ze swoją książką, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ją w Empiku. Pomyślałam: „Jakim cudem mi się to udało? Jak to się wydarzyło?". Szczerze mówiąc, dopiero z czasem do mnie dociera, jaką mam świetną robotę i naprawdę fajne życie.

eprasa.pl ea08fe165b

Krzyżówka panoramiczna

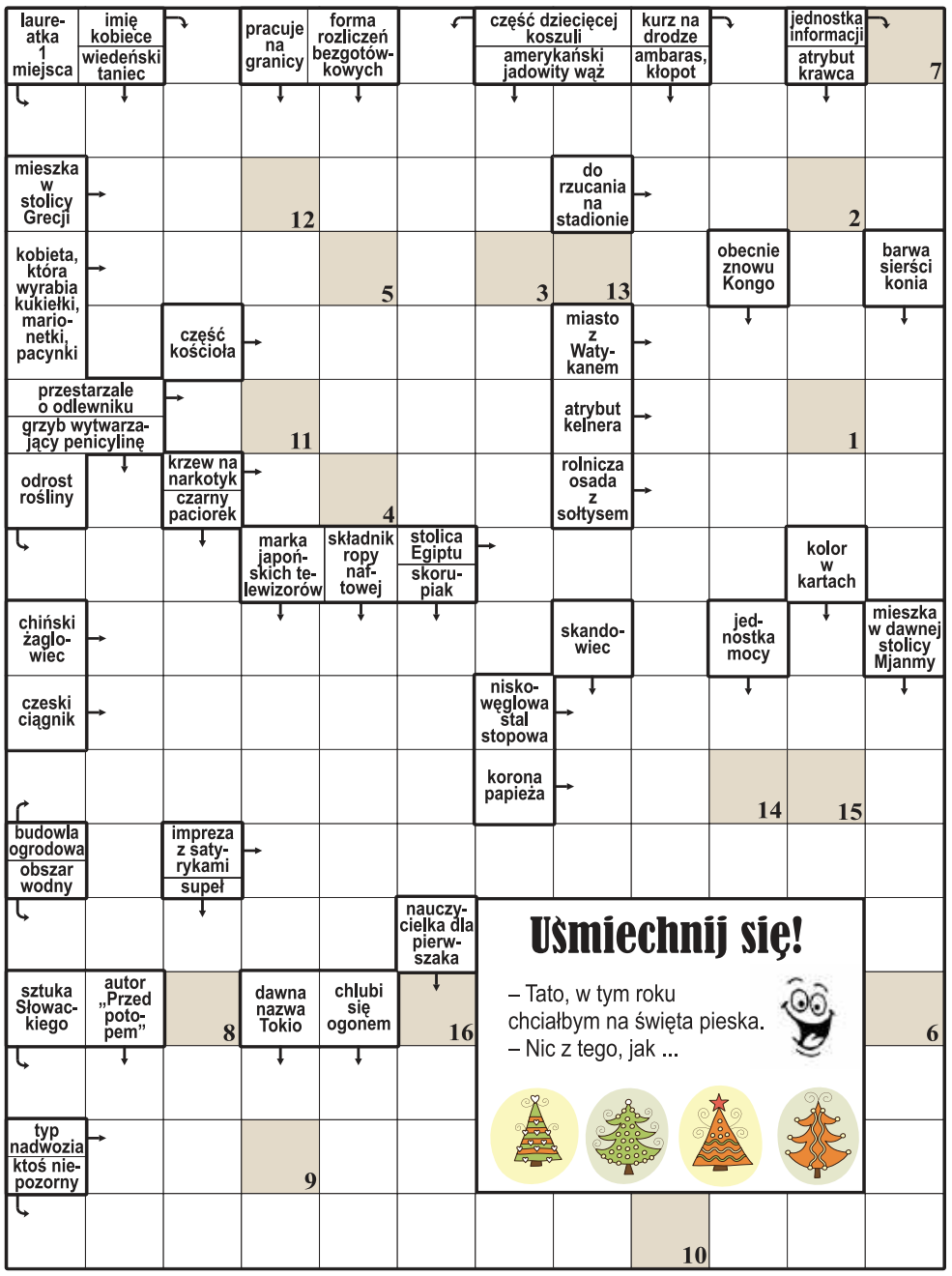

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

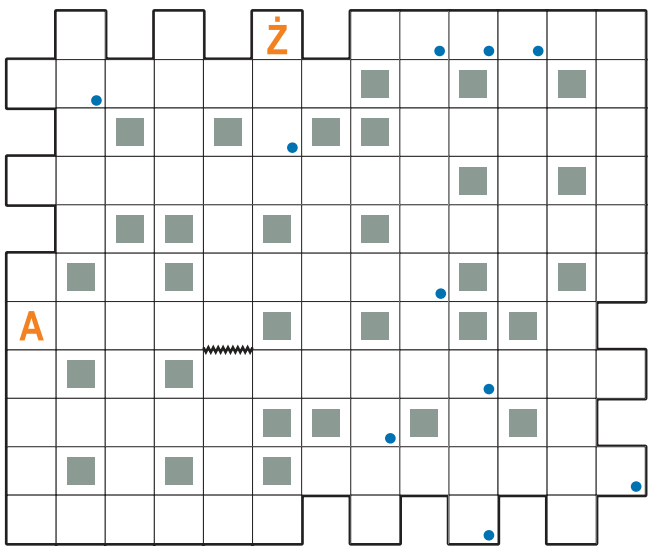

A) staropolski zwrot grzecznościowy (5).
B) ... Sandomierski, miasto na Podkarpaciu (7).
C) sieć do połowu płastug (4).
D) Paweł, aktor z filmu „Planeta singli” (8).
E) „kontynentalny” lantanowiec (5).
F) Mia, aktorka z filmu „Dziecko Rosemary” (6).
G) egzotyczna jaszczurka (5).
H) oddział w hucie (9).
I) książeczka studenta (6).
J) dawna danina ściągana z ludów Syberii (5).
K) Bretania lub Gaskonia (6).
L) piłkarski klub z Łazienkowskiej (5).
Ł) np. Robin Hood z Sherwood (7).
M) środki masowego przekazu zwane czwartą władzą (5).
N) wafel z masą miodową i orzechami (5).
O) przesadna i nieuzasadniona skłonność do trwania przy swoim postanowieniu (4,4).
P) z diabłem - podpisany własną krwią (4).
R) za trzy punkty w koszykówce (4).
S) ostra część buta (5).
T) głęboki w zastawie (6).
U) zasady i poglądy posunięte do skrajności (9).
W) niewieści czar i urok (6).
Z) ruchoma sztabka do ryglowania (6).
Ż) gad z Galapagos (4).

Krzyżówka skojarzeniowa

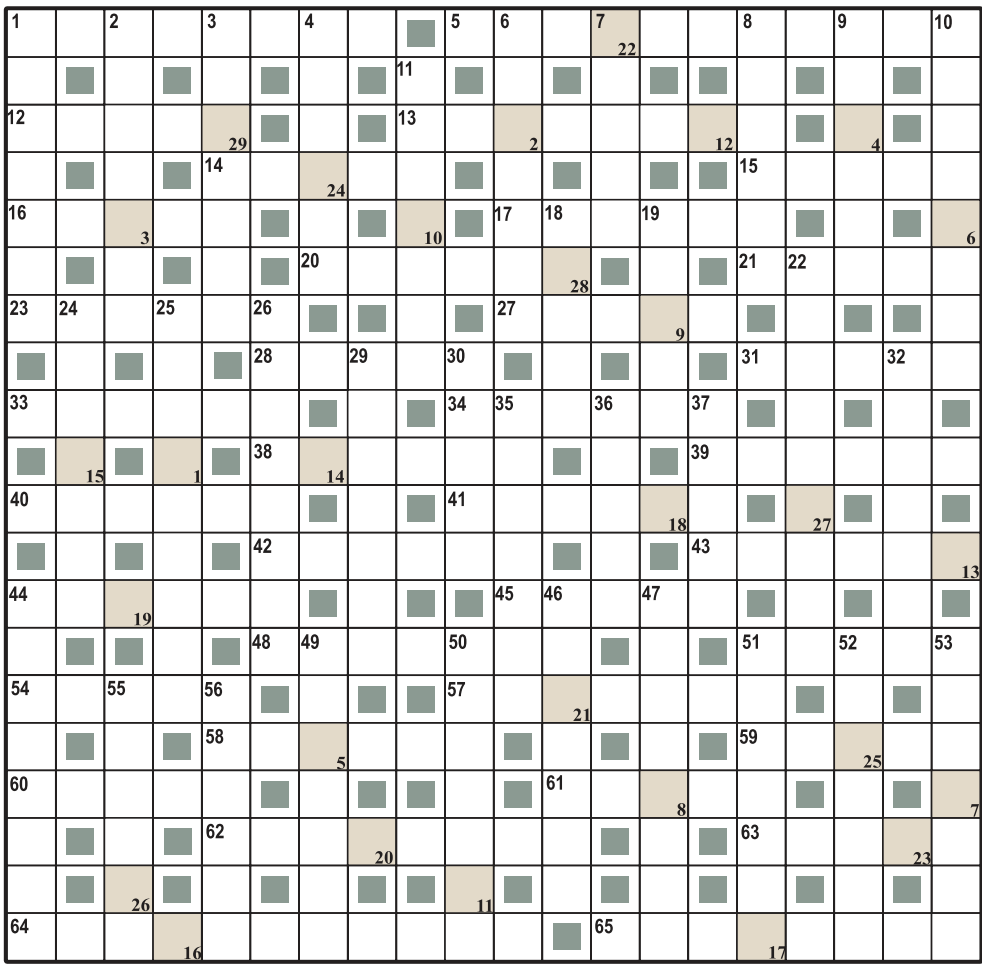

Do diagramu należy wpisać wyrazy kojarzące się z podanym zestawem słów. Litery z pól ponumerowanych dodatkowo od 1 do 29 utworzą rozwiązanie – fragment polskiej kolędy.

Poziomo:
1) król, Wiedeń, Marysieńka,
5) nauka, beneficjent, fundator,
12) Roger, Bond, Święty,
13) Egipt, Cheops, grobowiec,
14) grzyb, dziewczyna, naiwność,
15) pies, nożyczki, strzyżenie,
16) firma, połączenie, myśliwy,
17) pokuta, fakir, Indie,
20) mężczyzna, sutanna, msza,
21) agent, Hans, Mikulski,
23) polityk, diabeł, wierzba,
27) stażysta, praca, próba,
28) orkiestra, wirtuoz, nuty,
31) kuśnierz, surowiec, skaj,
33) kwiecień, zieleń, jaśmin,
34) trąbka, papieros, wargi,
38) rycerz, stal, ochrona,
39) słowo, obraza, potwarz,
40) las, korona, kora,
41) grafit, rysunek, gumka,
42) informacja, fakty, dziennik,
43) łańcuch, kółko, element,
44) chłopiec, smyk, berbeć,
45) Sarmata, talar, portfel,
48) wywiad, szpieg, spódnica,
51) kanikuła, gorąco, Sahara,
54) muzyka, praca, wydajność,
57) obraz, oprawa, fach,
58) pracuś, obibok, kret,
59) młyn, worek, mąka,
60) kraj, Atakama, saletra,
61) owad, woda, staw,
62) praca, tura, następca,
63) złoto, moneta, Wenecja,
64) obiad, zupa, ziemniak,
65) napój, śmietana, masło.

Pionowo:
1) kolej, tor, sygnalizator,
2) Joanna, aktorka, „Dom nad rozlewiskiem”,
3) mężczyzna, szyk, moda,
4) artysta, uznanie, wiek,
6) Kuba, trąba, demolka,
7) odsiecz, wolontariusz, futbol,
8) miotła, zużycie, kosz,
9) szewc, stojak, stopa,
10) nauczyciel, język, Wielka Brytania,
11) silnik, gaz, smog,
18) Glasgow, krata, Connery,
19) Grecja, Polska, piosenkarka,
22) samochód, kraksa, karoseria,
24) kartofel, łupina, skrawek,
25) policja, urzędnik, kontrola,
26) rzeka, kobieta, papuga,
29) człowiek, organizm, lekarz,
30) uczeń, nauka, kowal,
32) oko, błona, gałka,
35) potrawa, warzywa, mieszanka,
36) gleba, obornik, urodzaj,
37) owoc, palma, interes,
44) Mikołaj, aktor, serial,
46) audycje, telewizja, schemat,
47) napój, gaz, cukier,
49) imię, anioł, Narutowicz,
50) miasto, zieleń, kosiarka,
51) ziemia, dół, działkowicz,
52) Rzym, enklawa, papież,
53) kasyno, krupier, kulka,
55) wojsko, ranga, major,
56) Niemcy, miasto, naloty dywanowe.

Duet jolek

W diagramach ujawniono niektóre litery. Litery w polach z kropką, czytane rzędami – osobno w każdym diagramie, utworzą rozwiązanie: dwa tytuły filmów.
W przypadkowej kolejności:
– wagon kolejowy
– hinduski biedak
– główny posiłek dnia
– nakrycie konia
– obrzeże drogi
– ruchoma część wagi
– wojskowe pieczywo
– zamieniał wszystko w złoto
– imię z konopi
– do siekania mięsa
– dobry gust
– marnotrawny z Biblii
– człowiek bez aspiracji
– węgierski strój narodowy
– dawna nazwa stożka
– węgierski powóz konny
– nocna przy łóżku
– rezerwowany w hotelu
– ciężki oddech niemowlaka

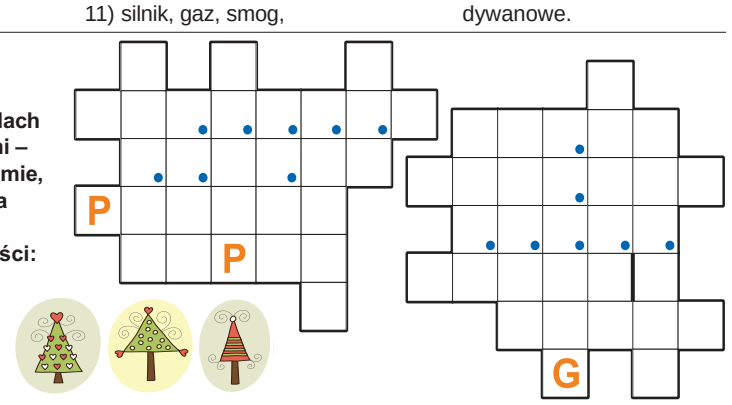

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: ... co roku, będzie kap; **krzyżówka skojarzeniowa:** Przybieżeli do Betlejem pasterze; **duet jolek:** „Listy do M.”, „Cicha noc”; **krzyżówka A-Ż:** dziaracka.

eprasa.pl ea08fe165b

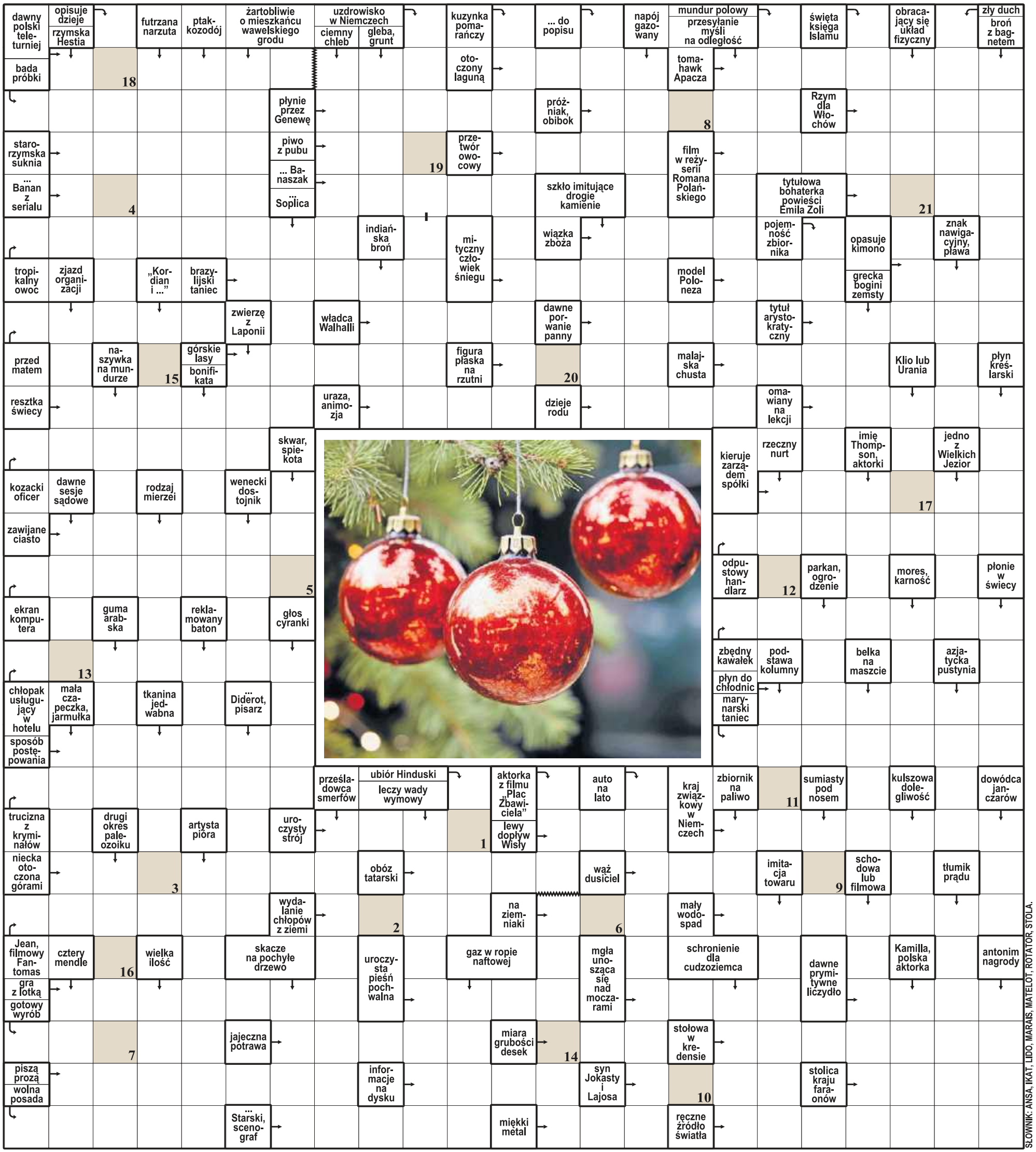

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą rozwiązanie – myśl Cypriana Kamila Norwida.

ROZWIĄZANIE: AUTORÓW SĄDZĄ ICH DZIEŁA.

eprasa.pl ea08fe165b

REKLAMA 0011450042

PREZYDENT GŁOGOWA RAFAEL ROKASZEWICZ

ZAPRASZA NA

Sylwestra

NA BULWARZE

2025

2026

Bawimy się od 21:00 do 1:00!

W STREFIE KONCERTOWEJ OBOWIĄZUJE CAŁKOWITY ZAKAZ UŻYWANIA FAJERWERKÓW

W PROGRAMIE:

występy DJ'ów z Głogowa:
DJ DOMIN – Dominik Nabożny
& DJ DMC Damian Marciszak,

występ Sylwii Drzewieckiej
& Damiana Szajkowskiego,

dyskoteka retro,
największe przeboje lat 80' & 90'!

O północy – życzenia Prezydenta
Głogowa Rafaela Rokaszewicza

MOK w Głogowie

eprasa.pl ea08fe165b